EMERYTURY: CZY STAĆ NAS NA STAROŚĆ

KREMLOWSKI ŁĄCZNIK: KOGO SŁUCHA PAPIEŻ

PRAWDZIWA CENA POMIDORÓW

Kraków 19 marca 2023 nr 12 (3845)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

NATALIA DE BARBARO

Daj sobie wolność

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Albatros travel

Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej

Festiwal Puccniego

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bolonii i przejazd do Toskanii. **Dz. 2** Zwiedzanie Montecatini Terme i urokliwego miasta Lukki – miejsca urodzenia Puccniego. Wieczorem – opera. **Dz. 3** Relaks w Montecatini Terme lub opcjonalna wycieczka do Florencji lub Pistoi. Wieczór z operą. **Dz. 4** Średniowieczne San Gimignano oraz wizyta w winnicy wraz z obiadem. **Dz. 5** Powrót do domu.

La Boheme i Turandot
wylot z Warszawy | 13/07 2023

Madame Butterfly i La Boheme
wylot z Warszawy | 27/07 2023

4.698,-

USA – Wschodnie Wybrzeże

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Nowy Jork – Filadelfia. Zameldowanie w hotelu. **Dz. 2** Filadelfia – Baltimore – Waszyngton. Dzwon Wolności i Waszyngton by night. **Dz. 3** Waszyngton. Wycieczka po mieście, The Mall, cmentarz w Arlington oraz Air & Space Museum. **Dz. 4** Waszyngton, D.C. – Gettysburg – Lancaster – Williamsport. Wizyta w wiosce amiszów. **Dz. 5** Williamsport – Wodospad Niagara, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dz. 6** Niagara Falls – stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dz. 7** Framingham – Boston – Hyannis na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dz. 8** Hyannis – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dz. 9** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dz. 10** Nowy Jork i wylot. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy
08/09 2023

13.498,-

Gościnna Gruzja

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Tbilisi. **Dz. 2** Przylot do Tbilisi w Gruzji. Zwiedzanie miasta – w programie stare miasto, łaźnie, twierdza Narikala i Aleja Rustawelego. **Dz. 3** Tbilisi – Dawit Garedża – Tbilisi. Wykuty w skale zespół klasztorny Dawit Garedża, położony na granicy z Azerbejdżanem. **Dz. 4** Tbilisi – Gori – Uplisciche – Mccheta – Tbilisi. Muzeum Stalina w Gori, starożytne skalne miasto Uplisciche, monastyr Dżwari (UNESCO) i katedra Sweti Cchoweli. **Dz. 5** Tbilisi – Gremi – Kvareli – Tbilisi. Warownia Gremi, degustacja wina i tradycyjny posiłek w gruzińskiej wiosce. **Dz. 6** Tbilisi – czas wolny lub wycieczka do Kazbegi (dodatkowo płatna). **Dz. 7** Wylot z Tbilisi do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy
29/09 2023

4.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP06

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Brzemię mitu*

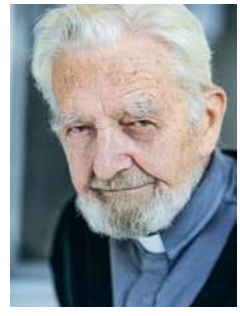

Książki żyją swoim życiem. W życie jednej z nich włączam się dopiero teraz, bo po ukazaniu się „Maxima culpa" Ekkego Overbeeka okazało się, że „albo święty, albo zbrodniarz" – Karol Wojtyła, Jan Paweł II jest poszukiwany. Zaczynam od tej wziętej w cudzysłów alternatywy, bo mówimy o człowieku, który najdłużej ze wszystkich Polaków wierzył, że wymyśliliśmy sposób na nowy ład świata – solidarność. Natchnioną Ewangelią alternatywną więź społeczną. Z bólem się z tym romantycznym projektem żegnał (pielgrzymka w 1991 r.), gorzko i pewnie długo godził, że wizja – wizją, ale polityka – polityką, a życie – życiem. Byłbym pewnie do tego nie wracał, gdyby nie fakt, że okazał się dzisiaj postacią służącą do dzielenia Polaków, jak nikt dotąd w III RP. Sprawa Wałęsy to był przy tym drobiazg.

Inne czasy, trochę inne podziały – media społecznościowe były w powijakach, a polityka gryzła się w język. No i jednak tamte spory były ograniczone pokoleniowo. Teraz zbieramy żniwo robienia z niego idola wszystkich pokoleń, a czasem – zasłony dla szemranych interesów. Tyle razy pisaliśmy tu o polskim Kościele bez wizji i bez głowy, zawieszonym wyłącznie na autorytecie „świętego papieża", przydającym sobie z jego powodu wzniosłości i klasy. Kult był często czysto rytualny, wtedy zawsze prosi się o szyderstwo. Politykom to nie przeszkadzało, sami się grzali światłem „największego Polaka w historii", czyniąc z niego pośmiewisko na swoją skalę. Dziś powielają ten chwyt, czekając doraźnej korzyści. Wybory blisko.

Zapomnijmy o nich na chwilę. Moje pierwsze wspomnienie, które wiąże Jana Pawła II z tą sprawa? Spotkanie z biskupami Stanów Zjednoczonych. Jasno powiedział, co myśli o przestępstwach duchownych. Przekazał ich badanie Kongregacji Nauki Wiary. Stolica Apostolska weszła wtedy w tę sprawę nieodwracalnie.

Ale nie o tym jest książka, chodzi w niej o zachowanie arcybiskupa krakowskiego Wojtyły, który był skłonny przyjmować deklaracje gotowości poprawy kapłanów dokonujących przestępstw seksualnych. Overbeek ocenia to krytycznie, Wojtyła ludzi traktował poważnie, czując się za nich odpowiedzialny. Jak postępował? Z książki „Maxima culpa" nie dowiemy się tego, bo dziennikarz nie miał dostępu do archiwów krakowskiej kurii (ponoć nawet nie prosił o nie). Oparta przede wszystkim na esbeckich archiwach praca nie jest tu wystarczającą odpowiedzią. Jednak przypadki w książce omówione stawiają czytelnika przed poważnym pytaniem, czy wyrozumiałość brała górę nad sprawiedliwością, wiara w przemianę nad ponurym realizmem? Nic nie wiemy o decyzjach surowych, być może dane na ich temat są w zamkniętych archiwach archidiecezji. Ale książka Overbeeka nie jest o Kościele, choć jest o nadużyciach seksualnych. O wszystkim, co się w Kościele dzieje, w esbeckich dokumentach po prostu nie pisano, bo nie miało to operacyjnego znaczenia, a także dlatego, że wszystkiego nie wiedziano.

Czy „Polski Papież" rzeczywiście był, jak pisał w poprzednim numerze Artur Sporniak, zaślepiony „wyidealizowaną i odklejoną od rzeczywistości etyką norm"? Czy „mistyczno-klerykalne postrzeganie Kościoła i kleru powodowało, że nie dostrzegał ciemnej strony w człowieku, który nosił koloratkę, a co dopiero piuskę"? Nie sądzę, nie mieści mi się to w głowie, ale widzę, że instytucja się chwieje, zdaniem wielu wręcz wali. Nie ma co płakać ani drżeć ze strachu. Będzie żyć, ale zupełnie inaczej. Popatrzmy tylko, ileśmy wbudowali własnych, ludzkich pomysłów w pomysł Pana Boga. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

„Nietoksyczna męskość jest nie tylko możliwa, ale to jedyna męskość, która jest trwała"

– esej poety i prozaika Bartosza Sadulskiego oraz najciekawsze książki i komiksy, które przeczytacie tej wiosny.

Już w następnym numerze dodatek „Książki w Tygodniku" – zapraszamy do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Ballada o ubezpieczeniach społecznych
MAREK RABIJ
Jak doszło do tego, że pokolenie dzisiejszych 40- i 50-latków przez lata godziło się pracować na sukces polskiej gospodarki kosztem własnej starości?

30 Kremlowski łącznik
EDWARD AUGUSTYN
Kim jest Leonid Sewastianow, który ma swobodny dostęp do papieża i krąży między Watykanem a Moskwą? I dlaczego Franciszek powtarza jego wypowiedzi?

42 Prawdziwa cena pomidorów
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII
Almería zwana jest „ogrodem Europy". Rośnie liczba szklarni, a burzy się domy ich pracowników. Dlaczego? Pojechaliśmy tam z wizytą.

52 Specjalsi roku 1919
KRZYSZTOF PIĘCIAK
Odważny manewr, pomysłowa taktyka: ponad sto lat temu Stanisław Maczek był prekursorem tego, co później nazwano elitarnymi wojskami specjalnymi.

64 Doniosły akt wolności
ROZMOWA Z NATALIĄ DE BARBARO:
Jeżeli nasze życie toczy się w celi zbudowanej z osądów, to mogę sobie siedzieć na połoninie i patrzeć na Bukowe Berdo, ale nadal będę w więzieniu.

78 Jak być sokołem
ADAM ROBIŃSKI
Dlaczego ktoś miałby chcieć przeistoczyć się w ptaka? Trudno o gromadę zwierząt, w której kolejność dziobania zaznaczona byłaby równie dobitnie.

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE / ZRZUT EKRANU // ZBIORY MUZEUM HISTORYCZNEGO W SANOKU // MARKUS VARESVUO / BE&W // AGATA SZYMANOWICZ / WYDAWNICTWO AGORA // DAVID RAMOS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

6 Polityczne gry papieżem
JAROSŁAW FLIS

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Ballada o ubezpieczeniach społecznych
MAREK RABIJ

24 Docenić życie
ROZMOWA Z IZĄ FALKOWSKĄ-TYLISZCZAK, PSYCHOTERAPEUTKĄ: *Odsłonięcie się przed kimś jest możliwe dopiero wtedy, gdy poczujemy się bezpiecznie we własnej skórze*

27 Mięsny opór
PIOTR WÓJCIK: *Dla wielu polskich konserwatystów spożywanie mięsa stało się elementem katalogu wartości*

■ ■ WIARA

30 Kremlowski łącznik
EDWARD AUGUSTYN

35 Kiedy brak słów
ROZMOWA Z KAROLEM TARNOWSKIM: *Wzrastanie w świętości nie chroni przed mimowolną ślepotą. To się, moim zdaniem, przytrafiło Wojtyle*

38 Prawie ostatni biskup
DOMA MATEJKO: *„Kościół to mafia" – twierdzi dyktator Nikaragui i zmusza do wyjazdu opozycjonistów, w tym księży*

■ ■ ŚWIAT

42 Prawdziwa cena pomidorów
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII

46 Zaplanuj śmierć na czwartek
MAŁGORZATA SIDZ: *Prawo, które wkrótce zacznie obowiązywać w Kanadzie, rozszerza przepisy dopuszczające eutanazję*

TEMAT TYGODNIKA

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

12 Zaniedbani w stopniu znacznym
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Głodowa renta, o której podwyższenie walczą przy Wiejskiej, to jeden z punktów na długiej liście win III RP wobec osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów.

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI **41** ZUZANNA RADZIK **57** ELIZA KĄCKA **76** OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
NATALIA DE BARBARO
FOT. AGATA SZYMANOWICZ / WYDAWNICTWO AGORA

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

49 Wyroki jak z taśmy
BARTOSZ RUMIEŃCZYK: *Laureat Pokojowego Nobla Aleś Bialacki dostał 10 lat kolonii karnej. Skazano też troje innych działaczy białoruskiego Centrum Praw Człowieka „Wiasna"*

50 Ojciec chrzestny prezydentem
WOJCIECH JAGIELSKI: *Bola Ahmed Tinubu, szara eminencja nigeryjskiej polityki, został ogłoszony nowym przywódcą tego najludniejszego kraju Afryki. Ale o tym, czy utrzyma się na tronie, rozstrzygnie sąd*

■ ■ HISTORIA

52 Specjalsi roku 1919
KRZYSZTOF PIĘCIAK

■ ■ NAUKA

58 Mój sąsiad niedźwiedź
ROZMOWA Z NIKITĄ OVSYANNIKOVEM, ZOOLOGIEM: *Spotkałem się z nimi tysiące razy i tylko w czterech sytuacjach próbowały mnie zabić*

■ ■ KULTURA

64 Doniosły akt wolności
ROZMOWA Z NATALIĄ DE BARBARO

69 Potęga zmysłów
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Nowoczesny, technologicznie wzmocniony teatr bogaty stanowi atrakcję i ostatni krzyk mody. Ale u Łukasza Twarkowskiego nie polega on jedynie na oszałamiającym widowisku*

72 W pralni, czyli w Matriksie
ANITA PIOTROWSKA: *Tegoroczne Oscary nieznacznie poprzesuwały akcenty na kulturowej mapie świata*

75 Poeta wolny
LEKTOR *o książce „Boso po tłuczonym szkle. 222 czterowiersze" Jana Skácela*

■ ■ ZMYSŁY

78 Jak być sokołem
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Ramzan Kadyrow buduje dynastię [Rosyjska Ruletka]
Niepodzielnie rządzi Czeczenią od prawie 20 lat. Teraz na następcę lansuje swojego najstarszego syna – o rodzie Kadyrowów pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

Dekada Franciszka
Czy naruszył porządek, który Kościół budował od wieków? Czy zmieniło się coś więcej niż tylko wizerunek papieża?
Czytaj w **SERWISIE SPECJALNYM** | **tygodnikpowszechny.pl/franciszek**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

Przed Pałacem Prezydenckim. Warszawa, 9 marca 2023 r.

OBRAZ TYGODNIA

POLITYCZNE GRY PAPIEŻEM

Za fasadą sporu o Karola Wojtyłę kryją się chybione kalkulacje polityczne, manipulacje i próby demonizowania przeciwnika. Panuje moralne wzmożenie, ale krzywda ofiar zeszła na daleki plan.

JAROSŁAW FLIS

Sprawa reakcji polskiego papieża na przypadki pedofilii wśród podległych mu księży dostarczyła kolejnych odważników, rzucanych na szalę naszej polityki. Pętla rozgorączkowania zacisnęła się mocniej niż kiedykolwiek. Atmosfera stała się tak ciężka, że trudno uciekać od pytań w duchu: „kto za tym stoi i komu to służy?". Sprawa nie milknie w mediach – czy to tożsamościowych, wojujących, czy starających się zachować choćby cień umiaru. Wraca przy rodzinnych stołach i w pracy, w przerwach na kawę. Na nic chyba się nie zda argument, że samo roztrząsanie takich problemów jest nadużyciem, zarówno wobec ofiar, jak wobec papieskiego nauczania.

Temat doskonale wpasowuje się w potrzeby „pyskursu" – emocjonalnego, moralnie wzmożonego dyskursu, który pozwala jeszcze bardziej zdemonizować przeciwnika. Pomagają w tym rzucające się w oczy po obu stronach przypadki instrumentalizacji krzywdy, nadinterpre-

tacje i wybiórcze uznawanie wiarygodności źródeł. Wygląda na to, że skrajnie odmienne nurty mają tę samą przypadłość. Zaczyna się ona od porzucenia opowieści o źdźble i belce w oku.

Po obu stronach podziału „rządzący–opozycja" najbardziej zagorzali rzucili się do szarży, głęboko wierząc, że racja jest po ich stronie. W swojej zapalczywości nie zadają sobie podstawowego pytania: „co, jeśli przegramy?". Wydaje im się, że odważnik, który rzucili na szalę, ma taką wagę, że nic nie jest w stanie się z nim równać. Jednak nawet najnowsza polityczna historia pełna jest przykładów takich chybionych kalkulacji. Gdy wiosną 2019 r. ukazał się film „Tylko nie mów nikomu", wśród opozycyjnego komentariatu panowało przekonanie, że to obali i Kościół, i PiS. Wyników wyborów z kolejnych 15 miesięcy nie trzeba chyba nikomu przypominać. Z kolei osiem lat wcześniej PiS głęboko wierzył, że sprawa katastrofy smoleńskiej jest tak oczywista, iż nie sposób nie uczynić z niej jednego z głównych przesłań kampanii wyborczej. Też z wiadomym skutkiem. Dopiero cztery lata później, gdy temat został na czas wyborów odsunięty w głęboki cień, partii udało się przebić „szklany sufit". Sam Smoleńsk zaś, choć pozostał dzielącą społeczeństwo zadrą, nawet po objęciu rządów przez PiS nie wpłynął już na zmianę niczyjego zdania – ani w jedną, ani w drugą stronę.

Język polski ma na chybione rozochocenie specjalne słowo – przeszarżować. Czy któraś ze stron tak zrobi? Dziś nie da się tego przewidzieć. Tak jak przy każdych wcześniejszych wyborach, o ostatecznym balansie zadecydują dziesiątki mniejszych odważników. Sprawa jednak doskonale pokazuje, czym różni się sytuacja obozu władzy i opozycji. Dla PiS nie jest problemem raz jeszcze ustawić się w jeden szereg. Tymczasem poszczególne nurty opozycji – idąc za głosem zarówno swoich wyborców, jak za osobistymi poglądami posłów – wybrały trzy różne rozwiązania. Nie jest to jednak wcale wyrazem słabości. Wręcz przeciwnie: jeśli wczytać się w sondaże, właśnie to dużo lepiej oddaje zróżnicowane odczucia polskiego społeczeństwa. Choć są jeszcze tacy, którym zwarcie dwóch obozów jest na rękę, bo liczą, że oba przegrają. Nadzieją Konfederacji są np. wyborcy, dla których autorytetem nie jest już Kościół, lecz którzy reagują alergicznie na wszelkie przejawy postępowej „cancel culture".

Wielu ludziom pozostaje jedna, stara modlitwa – w której złączyć mogłaby się ta część Kościoła, którą mierzą sojusze ołtarza z tronem, i ta część opozycji, która chciałaby przywrócenia ładu, nie zaś jego przenicowania – „chroń nas, Panie Boże, od przyjaciół". ©

Kościół o Janie Pawle II: kto waży słowa

ARTUR SPORNIAK

W TAMTYCH CZASACH WSZYSTKO było tuszowane" – tak papież Franciszek próbował bronić Jana Pawła II w rozmowie z argentyńską gazetą „La Nación", właściwie pogrążając politykę swoich poprzedników. Na pewno nie pomoże to w uspokojeniu burzy, którą rozpętał film Marcina Gutowskiego i książka Ekkego Overbeeka. Abp Marek Jędraszewski mówi o „drugim zamachu na Jana Pawła II" i identyfikuje zamachowca: są to środowiska, „które nie mogą zgodzić się na głoszoną przez niego z jednoznacznością i mocą wizję małżeństwa i rodziny, szacunek do ludzkiego życia od poczęcia aż do naturalnej śmierci i głoszoną wszędzie godność osoby ludzkiej". Tę narrację już podjęło Radio Maryja. Kilku biskupów w swoich diecezjach ogłosiło nabożeństwa modlitewne w intencji Kościoła. W czytanym w wielu diecezjach oświadczeniu przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki oskarżył obu autorów o próbę zdyskredytowania Karola Wojtyły.

Przez tę wrzawę próbują się przebić nieliczne głosy rozsądku. „Nikomu nie jest potrzebna dzisiaj nowa odsłona wojny polsko-polskiej, którą od lat fundują nam środowiska polityczne – zauważył na swoim Facebooku bp Damian Muskus. – Ani trzymanie w dłoni obrazka z jego wizerunkiem, ani wieszanie go na ścianach instytucji publicznych nie odmieni oblicza tej ziemi". Krakowski biskup pomocniczy zwraca też uwagę, że „obecne spory uderzają w osoby skrzywdzone w Kościele". Z podobnym apelem o „ważenie słów" zwróciła się założona przez episkopat i wspomagająca osoby skrzywdzone Fundacja św. Józefa. Te apele nie są gołosłowne – np. Rada Administracyjna watykańskiej Fundacji Jana Pawła II podważyła wiarygodność osób skrzywdzonych wypowiadających się w filmie Gutowskiego i książce Overbeeka, nazywając je w swoim oświadczeniu w obronie papieża „samozwańczymi świadkami".

Zapewne wiele środowisk i duża część biskupów będzie za wszelką cenę bronić mitu Jana Pawła II, nie oglądając się na fakty i merytoryczną dyskusję, gdyż swoją katolicką tożsamość te osoby ściśle związały z nieskazitelnym wizerunkiem „Wielkiego Papieża Polaka". Niektórzy jednak zdają sobie sprawę, że od efektu tej dyskusji w dużej mierze zależy przyszłość Kościoła w Polsce. Jeśli nie zostanie przeprowadzona rzetelna kwerenda w archiwum krakowskim w sprawie Wojtyły, Kościół straci resztki wiarygodności. O konieczności spojrzenia na źródła archiwalne mówi zarówno bp Muskus, jak i abp Gądecki. Metropolita krakowski, uprzedzając to oczekiwanie, polecił swojemu rzecznikowi, by poinformował, że taka kwerenda już się dokonała. Zabrzmiało to jednak jak ponury żart. ©℗

Ul. Franciszkańska 3, Kraków, 10 marca 2023 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Republikańska zapobiegliwość już w prokuraturze

JACEK ŻALEK, wiceminister funduszy i polityki regionalnej, podał się do dymisji po spotkaniu z Jarosławem Kaczyńskim. Co prawda polityk należy do Partii Republikańskiej, a nie do PiS, ale sytuacja jego partii przypomina statek, którego pokład lepiej już opuścić. A to z powodu afery z podejrzanymi kryteriami przyznawania dotacji przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Jak ujawnił Onet, nadzorujący jego działalność i wyraźnie skruszony Żalek zeznawał trzykrotnie w prokuraturze. Miał w niej zdeponować nagrania, jakich jego podwładni dokonali podczas rozmów z ludźmi szefa Partii Republikańskiej, Adama Bielana (określany jest na nich ksywą „Sponsor"). Ujawniają one brudną kuchnię polityczną, wewnętrzną walkę o stołki w NCBiR, a także plany zabezpieczenia partii na wypadek przegranych wyborów. Akcja pod kryptonimem „Czarny węgiel" ma rzekomo polegać na docieraniu do prominentnych szefów spółek Skarbu Państwa i pozyskiwaniu od nich środków na działalność.

Afera jest pokłosiem przyznania przez NCBiR 55 mln zł dla firmy niespełna 26-letniego Kacpra Wiśniewskiego, który założył ją ledwie 10 dni przed końcem składania wniosków i zaproponował projekt śledzenia łańcuchów dostaw (czyli znanego od lat monitoringu GPS). Druga podejrzana dotacja to 123 mln dla wykazującej nikłe przychody spółki znajomego Żalka, Piotra Maziewskiego. Miała ona tworzyć projekt „podmorskiego cyberbezpieczeństwa".

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

VAT złapał zadyszkę

RZECZYWISTOŚĆ BYWA BEZLITOSNA dla Mateusza Morawieckiego. W ubiegłym tygodniu, kiedy premier i podległe mu służby przy niemal każdej okazji podkreślali doskonałą kondycję polskich finansów publicznych, w świat popłynął niepozorny komunikat resortu finansów o realizacji założeń budżetowych. Wynika z niego, że w styczniu 2023 r. dochody fiskusa z podatku VAT wyniosły 25,7 mld zł i były niższe w porównaniu ze styczniem 2022 r. aż o 7 mld zł – czyli o 21,4 proc.

Urzędnicy od razu zaznaczyli, że spadek istnieje tylko na papierze. VAT rozliczany jest z miesięcznym opóźnieniem, styczniowe wyniki w tym roku odzwierciedlają zatem pobór podatku należnego za grudzień 2021 r., kiedy nie obowiązywały przepisy tarczy antyinflacyjnej, oraz za grudzień 2022 r. – kiedy w mocy były jeszcze obniżki VAT m.in. na paliwa.

Część ekonomistów widzi jednak w tych danych coś groźniejszego od zabaw bazą statystyczną. Ich zdaniem, nawet z uwzględnieniem poprawki na efekt tarczy antyinflacyjnej, spadek poboru VAT jest zbyt głęboki. Tłumaczą go hamowaniem konsumpcji wywołanym przez inflację – czyli pierwszymi oznakami kryzysu. ©℗ MR

KRAJ W SKRÓCIE

O TELEWIZJI

TVP o TVN, TVN o TVP – wynika z pobieżnego oglądu „Wiadomości" i „Faktów" nadawanych przez te stacje w minionym tygodniu. TVP mówiła o TVN po emisji reportażu „Franciszkańska 3", TVN o TVP po próbie sejmowej likwidacji informacyjnego kanału telewizji publicznej, a także po desperackich próbach TVP przerzucenia odpowiedzialności na PO za śmierć Mikołaja Filiksa.

MAREK DYBAS / REPORTER

O PREMIERZE

À propos przerzucania: premier Morawiecki podczas spotkania z mieszkańcami Jasła wielokrotnie wymieniał nazwę PO i jej lidera. „Mateusz, ty masz promować swojego obecnego szefa, nie poprzedniego" – skomentował Donald Tusk.

O GROBACH

„Janina Ochojska rzuca oszczerstwa na polskich leśników, że chowali ciała uchodźców w masowych grobach. Poleciłem prokuraturze wszcząć postępowanie karne" – napisał Zbigniew Ziobro, komentując słowa europosłanki o usuwaniu ciał z granicy polsko-białoruskiej. Zdaniem Grupy Granica w nadgranicznych lasach zmarło 37 osób.

O SONDAŻACH

56,8 proc. badanych uważa, że aborcja powinna być możliwa do 12. tygodnia, a 26,9 proc. wolałoby powrócić do tzw. kompromisu aborcyjnego – wynika z sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej".

Na ratunek klientom

MAREK RABIJ

Szefowa amerykańskiego resortu finansów, Janet Yellen, pogrzebała w minioną niedzielę nadzieje właścicieli Silicon Valley Bank na pomoc finansową od rządu USA. „Postawmy sprawę jasno: podczas ostatniego kryzysu finansowego byli inwestorzy i właściciele dużych banków, którzy zostali uratowani, i z pewnością nie zrobimy tego ponownie" – mówiła Yellen. Ten kalifornijski bank, który 10 marca został przez amerykański nadzór finansowy zamknięty i *de facto* znacjonalizowany (kontrolę nad nim przejęła Federalna Korporacja Gwarancji Depozytowych), zapewne zakończy działalność. To największe bankructwo instytucji finansowej w USA od 2008 r., gdy upadłość banku Lehman Brothers zapoczątkowała globalny kryzys finansowy. Kosztował on światową gospodarkę ok. 50 bilionów dolarów.

Silicon Valley Bank był o wiele mniejszy od Lehmana (o którym mówiono wcześniej, że jest „zbyt duży, by upaść"), ale działał w istotnym dla gospodarki USA sektorze nowych technologii, finansując m.in. start-upy. Na koniec 2022 r. SVB miał 209 mld dolarów aktywów i 175,4 mld dolarów depozytów (w tym także klientów z Polski). Nie wiadomo, ile z nich przekraczało limit amerykańskich gwarancji bankowych, które zabezpieczają lokaty do 250 tys. dolarów. Władze federalne zapowiedziały jednak teraz, że gwarantują wypłaty wszystkich depozytów do pełnej wysokości, by nie doprowadzić do paniki na rynku i nie sparaliżować całego sektora. W Wielkiej Brytanii lokalny oddział SVB zostanie przejęty za symbolicznego funta przez bank HSBC, który w zamian weźmie na siebie ciężar wypłaty depozytów – to zapewne ukłon jego właścicieli w stronę administracji USA, która pochodzącemu z Hongkongu HSBC od dawna przygląda się podejrzliwie i zarzuca mu kontrowersyjne praktyki finansowe.

W chwili zamykania tego wydania „Tygodnika" wydawało się, że USA poradziły sobie z największym tąpnięciem na swoim rynku bankowym – tym razem jednak skupiając się na klientach banku, a nie na jego właścicielach. ©℗

SALAMPIX / ABACA / EAST NEWS

KOBIETY W IRANIE walczą o prawo do edukacji, a władze Republiki Islamskiej robią wiele, by to utrudnić. W ostatnich tygodniach w całym kraju setki uczennic (dokładne liczby nie są znane) zostało otrutych toksycznym gazem – wprawdzie żadna nie zmarła, ale wiele ma problem z oddychaniem i zawroty głowy. Celem ataków może być zasianie przez rządzących strachu wśród uczennic i ich rodzin oraz zamknięcie szkół dla dziewcząt. Może to być też zemsta za antyrządowe protesty, kierowane często przez kobiety, które wybuchły po śmierci Mahsy Amini we wrześniu 2022 r. Na zdjęciu: uczennice z miasta Kom ratują podtrutą koleżankę. ©℗ MaG

Gruzja: starcia na ulicach

PROJEKT USTAWY o tzw. zagranicznych agentach, lansowany przez obóz władzy w Gruzji, doprowadził do wybuchu społecznego. W minionym tygodniu, 7 i 8 marca, w Tbilisi odbyły się kilkudziesięciotysięczne protesty, które zakończyły się starciami z policją. Protestujący próbowali szturmować budynek parlamentu i budować zapory z koszy i ławek.

Nowe prawo zakładało wprowadzenie rejestru „zagranicznych agentów", do którego miały być wpisywane organizacje pozarządowe i media finansowane przynajmniej w 20 procentach ze środków zagranicznych. Rządząca partia Gruzińskie Marzenie twierdzi, że ma to służyć zwiększeniu transparentności trzeciego sektora i czwartej władzy. Sami zainteresowani, jak też opozycja, uważali, że projekt ma na celu stłamszenie NGO-sów i mediów przed wyborami parlamentarnymi w 2024 r. Przeciwnicy rządu podkreślali, że projekt wzorowany jest na rozwiązaniu przyjętym w Rosji w 2012 r., i że jest kolejnym przejawem putinizacji Gruzji oraz zmiany wektora jej polityki zagranicznej. Projekt potępiła prezydentka Salome Zurabiszwili. Również UE i USA wyraziły dezaprobatę, twierdząc, że pozostaje on w kontrze do wartości demokratycznych. Ostatecznie Gruzińskie Marzenie wycofało się z forsowania projektu – z pewnością pod naporem zarówno ulicy, jak i zachodnich partnerów.

Tbilisi czeka na decyzję Brukseli w sprawie przyznania statusu kandydata do Unii. W czerwcu 2022 r. Gruzja, w przeciwieństwie do Ukrainy i Mołdawii, otrzymała żółtą kartkę ze strony Unii, głównie za brak pełnego wsparcia Ukrainy zaatakowanej przez Rosję. Obecnie jest w trakcie realizacji dwunastu rekomendacji. Projekt ustawy o „agentach" nie wpisywał się w oczekiwania Brukseli. Ponadto od blisko półtora roku w więzieniu przebywa Micheil Saakaszwili. Były prezydent uznawany jest za więźnia politycznego. W ostatnich tygodniach, mimo zabiegów jego adwokatów i przedstawicieli Zachodu, sąd w Tbilisi nie zgodził się na jego zagraniczne leczenie ze względu na pogarszający się stan zdrowia (stracił ponad 50 kg). Te wszystkie okoliczności każą stawiać pytanie o stan gruzińskiej demokracji oraz o to, czy rząd w Tbilisi chce utrzymać prozachodni kurs. Dziś opozycja i społeczeństwo obywatelskie wygrali potyczkę, ale wynik walki o przyszłość Gruzji pozostaje otwarty.

© WOJCIECH WOJTASIEWICZ

Traktat wszystkich mórz

STATEK DOPŁYNĄŁ DO BRZEGU – takimi słowami Rena Lee, ambasadorka Singapuru ds. oceanów i prawa morskiego, ogłosiła koniec prawie 20-letnich negocjacji. Sukces jest oczywisty: wszystkie 193 państwa należące do ONZ porozumiały się w sprawie ochrony mórz i oceanów. Ogłoszony 4 marca traktat o otwartych wodach to dokument równie ważny co klimatyczne porozumienie paryskie z 2015 r. Będzie kluczowy dla ochrony ponad 60 proc. naszej planety, bo tyle zajmują otwarte wody pozostające poza kontrolą państw. Dziś często trwa tam wyścig po zasoby: ryby, paliwa kopalne i komponenty leków (na genomach morskich organizmów w 2018 r. opartych było ponad 13 tys. patentów w branży chemicznej).

Traktat ustala ramy prawne dla tworzenia rezerwatów na wodach międzynarodowych i potwierdza cel, który w 2022 r. wyznaczono na szczycie ONZ w Montrealu dotyczącym bioróżnorodności: „30x30", czyli objęcie ochroną 30 proc. powierzchni ziemi przed 2030 r. Cel ambitny, a bez skutecznej ochrony oceanów – nierealny.

Dokument uzgodniony przez ONZ to początek długiej drogi. Według biologów zaczynamy ją w ostatnim momencie: 9 proc. słonowodnych gatunków jest zagrożonych wyginięciem. Teraz wszystko zależy od skuteczności międzynarodowej koalicji w realizacji rozwiązań i zażegnywaniu sporów. Jednym z największych wyzwań będzie sprawiedliwy podział podmorskich bogactw – tak, aby za kryzys spowodowany głównie przez najbogatszych (np. za przełowienie oceanów odpowiadają pospołu Zachód i Chiny) znów nie płacili tylko najbiedniejsi.

Dziś prawie połowa ze wspomnianych wcześniej 13 tys. patentów należy do jednej firmy – niemieckiego koncernu BASF, największej firmy chemicznej na świecie.

©℗ KRZYSZTOF STORY

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM.
Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Ostrożność Drogi Synodalnej

PIOTR SIKORA

Ostatnie plenarne zebranie niemieckiej Drogi Synodalnej podjęło kilka decyzji, które mogą się okazać ważne dla całego Kościoła. Po pierwsze – niemieckie katoliczki i katolicy ustąpili przed żądaniami Watykanu i odłożyli powołanie rad synodalnych, które decydowałyby o życiu kościelnych wspólnot, a w których równy głos przysługiwałby tak świeckim, jak i biskupom. Powołali jednak komisję, która ma pracować nad przekonywaniem do tej idei zarówno Rzymu, jak i innych Kościołów lokalnych.

Ustępując chwilowo Watykanowi w kwestii władzy w Kościele i unikając w ten sposób oskarżenia o schizmę, zgromadzenie Drogi Synodalnej zdecydowaną większością głosów (tak hierarchów, jak świeckich) przyjęło dwa ważne dokumenty. Pierwszy dotyczy pełnego włączenia w życie Kościoła osób transpłciowych i zaprzestania traktowania transpłciowości jako aberracji. Drugi postuluje otwarcie w całym Kościele sakramentalnego diakonatu dla kobiet oraz kontynuację teologicznej pracy nad dopuszczeniem kobiet do wszystkich stopni sakramentu święceń.

Niemiecki Kościół wykazał się dużą roztropnością. Tymczasowe ustąpienie Rzymowi w kwestii, którą watykańskie kongregacje, a nawet sam papież uznawali za „czerwoną linię", stwarza lepsze możliwości dalszego dialogu na ten temat z innymi Kościołami lokalnymi i pozyskiwanie szerszego wsparcia dla swojej wizji odklerykalizowania wspólnoty. Biorąc pod uwagę, jak szeroko krytykowany był klerykalizm w światowych konsultacjach synodalnych – Niemcy mogą liczyć na poparcie. Dwa przyjęte dokumenty – dotyczące osób transpłciowych oraz święceń kobiet – mogą w tym kontekście (utrzymania wewnątrzkościelnego dialogu między Niemcami a kościelnymi wspólnotami w innych krajach) stanowić silny impuls w kierunku bardzo potrzebnych reform. Dotykają bowiem teologiczno-prawnej dyskryminacji wielu osób ochrzczonych, która pociąga za sobą nieraz wielkie cierpienie. Choć niemieckie postulaty mogą dla wielu w polskim Kościele brzmieć kontrowersyjnie, warto je przemyśleć. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

LEKCJA NIEROZWAGI

Prezydent Nikaragui polecił zawiesić stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską. Papież w niedawnym wywiadzie dla argentyńskiego portalu informacyjnego Infobae nazwał Daniela Ortegę „człowiekiem niezrównoważonym". O prześladowaniach Kościoła w tym kraju piszemy w dziale Wiara.

LEKCJA DYPLOMACJI

Watykańska Dykasteria ds. Dialogu Międzyreligijnego oraz Muzułmańska Rada Starszych – międzynarodowa organizacja dążąca do zjednoczenia islamu i szerzenia kultury tolerancji – podpisały porozumienie, którego celem jest utworzenie stałej komisji ds. dialogu islamsko-chrześcijańskiego. To krok w zbliżeniu katolicyzmu do islamu zgodny z polityką Franciszka.

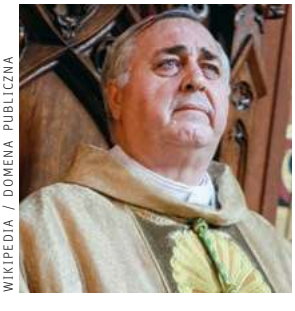

WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

LEKCJA KLUCZENIA

Na zarzut braku przejrzystości Kościoła i nieinformowania ofiar o trwających bądź zakończonych procesach kanonicznych ustępujący nuncjusz apostolski w Polsce abp Salvatore Pennacchio (na zdjęciu) odpowiedział w rozmowie z KAI: „Można twierdzić, że nie wszystko jest jeszcze optymalnie rozwiązane, ale wrażliwość w tym zakresie w Kościele stale rośnie".

Komu bije zegar

KSIĘŻA STARZEJĄ SIĘ szybciej niż społeczeństwo – przynajmniej w Europie, z powodu stałego spadku powołań. Dla Kościoła oznacza to brak rąk do pracy i większe wydatki na opiekę zdrowotną, ale też potrzebę weryfikacji „zdolności zawodowych" emerytów.

W diecezji mediolańskiej, gdzie 20 proc. księży ukończyło 80 lat (wiek podwyższonego ryzyka poważnych chorób neurologicznych), oddelegowany przez biskupa diakon stały, z zawodu lekarz geriatra, odwiedza najstarszych kapłanów i przeprowadza test zegara, stosowany przy diagnozie zaburzeń koncentracji i pamięci, np. w demencji czy chorobie Alzheimera. Tamtejszy Kościół to zresztą wzór dla innych – o zmianach demograficznych myślał już 30 lat temu, gdy ówczesny metropolita, kard. Carlo Martini, stworzył fundusz finansujący domy księży emerytów i specjalistyczną opiekę dla tych, którzy pozostaną w parafiach lub zamieszkają z rodziną.

W Polsce średnia wieku księży wynosi 54 lata, ale w wiek emerytalny (65 lat) wchodzą właśnie roczniki powołaniowego wyżu z początku pontyfikatu Jana Pawła II. Za 10 lat zdadzą urzędy, ale wielu nadal będzie pracować. Zresztą i dziś sytuacje, gdy najstarsi księża pomagają w duszpasterstwie, nie są rzadkie: nawet ci, którzy nie odprawiają samodzielnie mszy, wciąż siadają w konfesjonałach. ©℗ EA

Dominikanin Paweł M. skazany na więzienie

WYROK DRUGIEJ INSTANCJI skazuje zakonnika na trzy lata pozbawienia wolności. Sąd Apelacyjny skrócił o rok wydany we wrześniu 2022 r. wyrok sądu pierwszej instancji: dotyczył on sześciu przestępstw seksualnych na zakonnicy, w tym dwóch gwałtów i doprowadzania do tzw. innej czynności seksualnej w okresie od maja 2011 do sierpnia 2018 r. Postępowanie nie dotyczyło wydarzeń z czasu działalności Pawła M. we wrocławskim duszpasterstwie akademickim, opisanej w raporcie komisji Tomasza Terlikowskiego – sprawy te uległy przedawnieniu. Prowincjał dominikanów o. Łukasz Wiśniewski podkreślił w oświadczeniu, że „sprawa br. Pawła M. jest wciąż rozpatrywana przez Stolicę Apostolską" i od niej zależy kwestia jego pozostania w zakonie i kapłaństwie.

Jedna z poszkodowanych z Wrocławia w rozmowie z „Więzią" oceniła, że wyrok to „bardzo potrzebny akt ludzkiej sprawiedliwości. (...) Choć ściśle rzecz biorąc, nie jest to wyrok w naszej sprawie, to pośrednio jak najbardziej nas on dotyczy". Dodała, że oczekuje dalszych kroków od dominikanów: chodzi o „edukację, zmianę postaw", „dopracowanie systemu zgłaszania i rozpatrywania nadużyć" oraz wdrażanie rekomendacji z raportu komisji Terlikowskiego. ©℗ MAM

KULTURA W SKRÓCIE

KOMPOZYCJE

Mediolańska La Scala po raz pierwszy w historii wystawi operę napisaną przez kobietę. Tematem utworu włoskiej kompozytorki Silvii Colasanti będzie życie poetki Anny Achmatowej. Premiera odbędzie się w lutym 2025 r. Colasanti wykłada w rzymskim konserwatorium Santa Cecilia. Jest laureatką Europejskiej Nagrody Kompozytorskiej i Nagrody im. Franco Buitoniego.

PRZEKŁADY

Ireneusz Kania, tłumacz i poliglota, autor przekładów z kilkunastu języków, w tym z sanskrytu, tybetańskiego i hebrajskiego, został laureatem Nagrody Prezydenta Miasta Gdańska za Twórczość Translatorską im. T. Boya-Żeleńskiego. Kanię wyróżniono za całokształt działalności przekładowej. Dzięki niemu czytamy po polsku m.in. Kawafisa, Eliadego, Ciorana, Bataille'a oraz Tybetańską Księgę Umarłych.

ADAPTACJE

Rok po premierze „Akuszerek" Sabiny Jakubowskiej adaptacją powieści na język kina zainteresowała się Agnieszka Holland. Wydawca sprzedał reżyserce prawa do ekranizacji, trwają już prace nad scenariuszem. „Akuszerki" – jak mówi sama autorka – to hołd dla kobiet przyjmujących porody na przełomie XIX i XX w. Nasza rozmowa z Sabiną Jakubowską na stronie powszech.net/akuszerki.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

TAMAL SHEE / SOPA / GETTY IMAGES

CZAS KOLORÓW – wiosna w Indiach przychodzi wraz z pełnią księżyca w miesiącu phalguna. Wtedy rozpoczyna się święto radości holi. Ważną częścią jego obchodów jest wzajemne obsypywanie się kolorowymi barwnikami – dziś sztucznymi, ale kiedyś pozyskiwanymi z zakwitających właśnie kwiatów. Popularne są także ofiary z kwiatów drzewa aśoka, symbolizujących miłość fizyczną, oraz ludowe przyśpiewki o obscenicznej treści. Holi to również święto wybaczania wrogom. Festiwale kolorów, nawiązujące do holi i posypywania się wielobarwnymi proszkami, są coraz popularniejsze w Europie, ale ich obchody pozbawione są zazwyczaj kontekstu religijnego. Na zdjęciu: miasto Howrah w Indiach, 7 marca 2023 r. ©℗ JT

Mysz z dwoma ojcami

GŁÓWNYMI BOHATERKAMI Trzeciego Międzynarodowego Szczytu na temat Edycji Ludzkiego Genomu zorganizowanego w Londynie były... myszy. Nie powinno to dziwić, biorąc pod uwagę to, że techniki edycji genów testuje się na zwierzętach. Ale wspomniane myszy były nietypowe – nie miały matki, lecz dwóch ojców.

Brzmi to jak złamanie jakiegoś prawa przyrody, lecz ostatnie lata badań pokazały, że w biologii rozwoju nie ma rzeczy niemożliwych. Już wcześniej naukowcom udało się wyhodować z komórki macierzystej (niedojrzałego stadium rozwojowego komórki ciała) komórkę płciową zdolną do zapłodnienia – a nawet uzyskano tym sposobem zdrowe myszy mające dwie matki. Tym razem Katsuhiko Hayashi z zespołem ogłosili na konferencji, że poszli o krok dalej: komórki jajowe wyhodowali z komórek ciała samca, zapłodnili je plemnikiem innego samca i wszczepili do macicy surogatki. Tylko siedem z 630 przygotowanych zarodków dożyło porodu, ale rozwinęły się z nich zdrowe i płodne osobniki.

©℗ ŁK / NATURE

Skąd mózg wie, że przechodzisz infekcję

DAWKA ASPIRYNY lub ibuprofenu potrafi postawić na nogi nawet w trakcie grypy – zawarte w niej substancje blokują wytwarzanie hormonów (prostaglandyn), które powstają w ognisku infekcji. Zgodnie z dominującą dotychczas teorią to one, docierając z krwią do mózgu, miałyby dawać początek specyficznym reakcjom na chorobę, takim jak brak apetytu czy ograniczenie ruchliwości.

Jednak Na-Ryum Bin z zespołem donoszą w „Nature", że pozbawienie myszy reagujących na ten hormon receptorów w mózgu nie dało rezultatów spójnych z teorią – infekcja wciąż wpływała na zachowanie gryzoni. To sugeruje, że informacja o chorobie dociera do mózgu w inny sposób.

Badacze zlokalizowali neurony wrażliwe na prostaglandyny, które zaczynają się u myszy w okolicach odpowiedników ludzkich migdałków. Kiedy patogeny infekują gardło, dochodzi do wytwarzania prostaglandyn, a zlokalizowane tam neurony przesyłają informacje o pobudzeniu do odpowiednich obszarów mózgu. Dzięki temu mózg nie tylko wywołuje zmianę zachowania, ale też „zna" dokładną lokalizację ogniska choroby.

Ponieważ niektóre objawy chorób są – bardziej lub mniej skutecznymi – reakcjami naszego organizmu na infekcję, odkrywanie nowych szlaków sygnalizacji w mózgu otwiera drogę do nowych terapii.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

TEMAT TYGODNIKA

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

ZANIEDBANI W STOPNIU ZNACZNYM

Głodowa renta, o której podwyższenie walczą przy Wiejskiej, to ledwie jeden z punktów na długiej liście win III RP wobec osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów. Oto jak Polska systemowo wpędza tę grupę w toksyczną zależność od innych.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Drugi dzień protestu osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów w Sejmie. Warszawa, 7 marca 2023 r.

Dzwonię tuż przed południem, w trzecim dniu protestu. Odpowiada mi gwar sejmowego korytarza, a dopiero po chwili głos Alicji Jochymek, która co jakiś czas będzie robiła pauzę. – Tak, jest przy mnie Kinga, innej opcji nie ma – uśmiecha się Jochymek, jedna z kilkanaściorga osób okupujących sejmowy korytarz.

Kinga to jej dorosła córka, której od dwudziestu pięciu lat, a więc od narodzin, Alicja nie może odstąpić na krok – wtargnie nawet z zawadiackim uśmiechem w zasięg kamery TVN24 filmującej na żywo wypowiedź matki, naśladując jej gestykulację.

– Śpimy na materacach, pod kocami, blisko siebie – opowiada Alicja Jochymek, gdy łączymy się ponownie w ostatnią niedzielę (gdy oddawaliśmy ten tekst do druku, protest nadal trwał). – Niedaleko są stanowiska dziennikarskie, ale dziennikarzy nie ma, bo jest weekend, a straż marszałkowska utrudnia dostęp do nas. Nas też próbowali wykurzyć. Np. niedawno proponowali nam przejście do domu poselskiego. Wiemy, że jak tam pójdziemy, to już nie wrócimy. A my chcemy tu być, aż ktoś decyzyjny obieca nam podwyższenie renty socjalnej do poziomu minimalnej krajowej płacy.

Jochymek z córką protestują po raz trzeci. Ich historia, a także historia ich wspólnych wypraw na Wiejską wiele mówi o problemach tej grupy społecznej w Polsce. I o biciu głową w mur – głównie ten stawiany przez polityków.

Zła zmiana

„Córka będzie »roślinką«, sama pani rozumie, jak dużo się pani przy niej napracuje" – słyszy od lekarki ćwierć wieku temu. Lekarka się myli: Kinga będzie miała uszkodzenie mózgu i niepełnosprawność intelektualną, ale będzie też w pełni uczestniczyć w codziennym życiu. – Jest pogodna, uśmiecha się, rozpoznaje bliskich. A tu, na Wiejskiej ma koleżankę, cierpiącą na porażenie mózgowe córkę znajomych, którzy też przyjechali protestować – opowiada Jochymek.

Ich pierwszy protest to rok 2014, jeszcze za rządów Platformy Obywatelskiej. Przy Wiejskiej Kinga i Alicja spędzają dwie noce i trzy dni. Dzięki oddźwiękowi społecznemu protestów – z dobrym skutkiem. „O tym, że Donald Tusk, mimo początkowej niechęci do ustępstw, zgodził się na stopniową podwyżkę świadczenia dla opiekunów do poziomu 1477 złotych, dowiedziałam się już z telewizji. Miałam poczucie, że zwyciężyłyśmy. Wtedy nie było też takiej frustracji jak w 2018 roku: nikt nas w Sejmie nie upokarzał, nikt nie mówił, że robimy z dzieci »żywe tarcze« albo że na sejmowym korytarzu śmierdzi" – wspominała Jochymek, gdy rozmawialiśmy pięć lat temu.

Ten drugi protest był już za rządów PiS. I znowu odniósł częściowy sukces, w postaci podwyżki renty socjalnej, a także precedensowego rozgłosu, który część komentatorów skłonił wówczas do śmiałego wniosku, że w mentalności Polaków, a co za tym idzie w podejściu polityków do tematu niepełnosprawności dokonała się trwała zmiana.

Chyba nie do końca, skoro Jochymek ponad tydzień temu spakowała walizkę dla siebie i córki, a następnie przyjechała spod Krakowa do Warszawy, by spędzić kolejne noce na materacu. – Jeśli cokolwiek, to na gorsze – mówi, gdy pytam, co w ich życiu zmieniło się przez te pięć lat od ostatniego protestu. – Po pierwsze, ↦

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Trzeci dzień protestu osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów. Od lewej: Iwona Hartwich, Kinga i Alicja Jochymek. Sejm, Warszawa, 8 marca 2023 r.

↦ Kinga skończyła już edukację szkolną. Teraz ma zajęcia w środowiskowym domu samopomocy. A że jest tam wielu chętnych, to jesteśmy na liście rezerwowej i Kinga może spędzać w tym miejscu tylko dwa lub trzy dni w tygodniu. Po drugie, wszystko jest dziś droższe, a świadczenia niskie.

Minister nie chce na materacu

Sprawa, o którą walczą w Sejmie, na pozór nie należy do najpilniejszych. Choćby dlatego, że rentę socjalną pobiera niecałe 300 tys. osób, zaś wszystkich z niepełnosprawnościami jest co najmniej dziesięciokrotnie więcej. Gdyby do grupy tej zakwalifikować wyłącznie osoby z prawnie stwierdzonymi ograniczeniami, doliczylibyśmy się ponad trzech milionów. Gdyby zaś dodać tych, którzy nie widnieją w żadnych państwowych rejestrach, za to w różnych badaniach deklarują niepełnosprawność, liczba mogłaby urosnąć nawet do ponad siedmiu milionów.

Dlaczego zatem akurat renta socjalna znalazła się na sztandarze? Najprostsza odpowiedź brzmi: bo właśnie rodzice (głównie matki) zwykle dorosłych już teraz osób, które to świadczenie pobierają, znalazły w sobie determinację, by w roku 2014, 2018 i teraz przypuścić szturm na Sejm. Renta socjalna (nie mylić z rentą z tytułu niezdolności do pracy, pobieraną przez dorosłych, którzy już w trakcie pracy utracili zdolność do zarobkowania) przysługuje tym, którzy stali się niepełnosprawni przed 18. rokiem życia, ewentualnie później, ale nadal w trakcie nauki szkolnej lub akademickiej.

– W Polsce nie da się inaczej skutecznie protestować – mówi dr hab. Paweł Kubicki, ekonomista SGH, badacz m.in. polityki publicznej wobec niepełnosprawności. – W tej sprawie tylko protest sejmowy ściąga uwagę mediów, a tylko media ściągają uwagę polityków. Polska polityka społeczna ma charakter interwencyjny i reaktywny: politycy przyjeżdżają, gaszą, a potem odjeżdżają. Żeby przyciągnąć uwagę, nie sposób formułować może nawet pilniejszych, ale bardziej skomplikowanych postulatów – nie zmieszczą się ani na sztandarze, ani w prasowym leadzie, ani w telewizyjnej „setce". Zresztą do władzy, a w szczególności do obecnej władzy właśnie tego rodzaju postulat najlepiej trafia: potrzebujemy żywej gotówki. W tym sensie ten rząd staje się ofiarą własnego sposobu rozwiązywania problemów: dosypujemy gotówkę bądź stwarzamy nowe świadczenie. Z tego punktu widzenia obecny protest jest racjonalny.

Nie dla przedstawicieli rządu. „Nie będę prowadzić rozmów w warunkach szantażu politycznego, czyli na korytarzu sejmowym, na materacu" – mówił w zeszłym tygodniu w studiu PAP Paweł Wdówik, wiceminister rodziny i polityki społecznej. I dodawał, że rozmawiać trzeba z osobami niepełnosprawnymi, „a nie z politykami". Strategia PiS jest więc czytelna: podkreślając partyjny background sejmowego protestu (liderka pikiety Iwona Hartwich jest dziś posłanką KO), podzielić wewnętrznie środowisko. – Powiem najkrócej tak, jak mówi siostra Małgorzata Chmielewska o swoim adoptowanym synu Arturze: nasze dzieci nie są polityczne – komentuje słowa Wdówika Alicja Jochymek.

Szanse na spełnienie postulatu protestujących nie są duże. Raz, że podwyżka renty socjalnej z obecnych ponad 1500 zł brutto do poziomu minimalnej płacy, a więc niemal 3,5 tys. brutto kosztowałaby państwo kilka miliardów złotych. Dwa, że taka zmiana – podniesienie jednej renty, a pozostawienie na niezmienionym poziomie innych świadczeń – mogłoby zostać uznane za niekonstytucyjne. – Nawet jednak, gdyby konstytucjonaliści nie podnieśli dyskusyjności takiego rozwiązania, nadal mielibyśmy problem, tym razem społeczny – dodaje prof. Kubicki. – Na tym samym poziomie co renty socjalne mamy minimalne renty z tytułu niezdolności do pracy oraz emerytury. Obie te grupy mogłyby całkiem słusznie zapytać, dlaczego rząd nie może także im podwyższyć świadczeń.

Oto być może jedyny wspólny mianownik dla osób z tej wielomilionowej, zróżnicowanej grupy Polaków (dzieci i seniorów; niepełnosprawnych ciężko i lżej; fizycznie i intelektualnie; przykutych do łóżek i pracujących): w naszym kraju niepełnosprawność równa się ubóstwo bądź co najmniej statystycznie większe ryzyko popadnięcia w ten stan. Wśród osób w wieku produkcyjnym ze stwierdzonymi prawnie ograniczeniami zarabia na siebie ledwie ok. 29 proc. (patrz: ramka). Pozostali utrzymują się z różnych świadczeń: jedni pobierają zasiłek dla bezrobotnych, inni wspomniane, bardzo niskie renty, jeszcze inni emerytury. Są też i skazani na łaskę lub niełaskę pomocy społecznej.

GUS podaje, że skrajne ubóstwo, oznaczające wręcz zagrożenie zdrowia i życia, dotyczyło w 2021 roku 7 proc. polskich gospodarstw z co najmniej jedną osobą posiadającą orzeczenie o niepełnosprawności, podczas gdy w gospodarstwach bez takich osób ten sam wskaźnik wynosi

4 proc. Na ten problem zwraca też uwagę cykliczny raport o biedzie Szlachetnej Paczki. „Co piąta włączona do SP rodzina – piszą autorzy edycji wydanej w zeszłym roku – w której występuje choroba lub niepełnosprawność, nie jest w stanie pokryć wszystkich niezbędnych wydatków na leki”.

Bo niepełnosprawność to też wyższe koszty życia. Rodzina protestujących w Sejmie państwa Jochymków może mówić o relatywnym szczęściu – pracę ma mąż Alicji. Ale już ona, by dostać świadczenie dla opiekuna, i by zająć się córką, musiała zrezygnować z zarobkowania. – Koszty są gigantyczne – mówi kobieta. – Jeden turnus rehabilitacyjny to co najmniej kilka tysięcy złotych, godzina rehabilitacji w naszym rejonie nawet 300 zł. Do tego utrzymanie drugiego dziecka, no i rosnące stale koszty życia.

Nieistniejące fundamenty

Co nie zmienia faktu, że na liście zaniedbanych w III RP spraw dotyczących tej grupy wysokość samej renty może się jawić jako drobiazg. Prof. Kubicki, gdy pytam go o te inne kwestie, mówi o nieistniejących bądź nieukończonych przez te ponad trzy dekady fundamentach.

Pierwszy, mentalny: edukacja. – Chodzi o przyzwyczajanie ludzi młodych do życia obok osób z niepełnosprawnościami, co nie może w Polsce nastąpić bez dobrej edukacji włączającej – mówi prof. Kubicki, mając na myśli udział osób m.in. z niepełnosprawnościami w szkołach ogólnodostępnych i oddziałach integracyjnych. – Najmocniejszy komunikat obecnej władzy, a w zasadzie najbardziej prominentnych jej przedstawicieli, jak małopolska kuratorka Barbara Nowak czy urzędnicy ministerstwa edukacji brzmi: umacniajmy szkolnictwo specjalne. I ten komunikat sam w sobie nie jest jeszcze taki zły, bo szkolnictwo specjalne jest niekiedy potrzebne, tylko po przecinku idzie przekaz drugi: że edukacja włączająca jest dobra dla nielicznej części niepełnosprawnych dzieci. To zła wiadomość, bo jeśli większość młodych ludzi pozna osoby z niepełnosprawnościami tylko w podręcznikach, to w dorosłym życiu nie będą się z nimi dobrze czuli, nie będą ich zatrudniać lub z nimi pracować.

Fundament drugi, systemowy: klarowne orzecznictwo. – To obecne generuje chaos skutkujący tym, że choć możemy policzyć osoby z danym orzeczeniem, to nie wiemy, jakie mają potrzeby – mówi ekonomista SGH.

Dziś ten skomplikowany system podzielony jest na podsystemy. Dwa najważniejsze, nie licząc tego na potrzeby szkolnictwa, to rentowy i pozarentowy. Pierwszy, prowadzony głównie przez lekarzy orzeczników i komisje ZUS, decyduje o niezdolności do pracy – a więc o przyznawaniu rent. W 2021 r. wśród nieco ponad 700 tys. osób ubezpieczonych w ZUS i posiadających orzeczenie co dziesiąty miał znaczny stopień niepełnosprawności, 60 proc. umiarkowany, a ok. 30 proc. – lekki.

Z kolei dokument z drugiego systemu, prowadzonego przez powiatowe i wojewódzkie zespoły ds. orzekania o niepełnosprawności, może dać możliwość otrzymania dodatkowych form pomocy – np. przywilejów pracowniczych, rehabilitacji społecznej, ulg podatkowych czy zniżek w opłatach. I dostęp do usług socjalnych, opiekuńczych, a także uprawnienia do świadczeń rodzinnych czy zasiłku stałego z pomocy społecznej.

– Problem w tym, że te dwa systemy nie są, mówiąc delikatnie, elastyczne – komentuje prof. Kubicki. – Np. trzy stopnie niepełnosprawności, które ustala się dla osób powyżej 16. roku życia, są tak pojemne, iż mieszczą w sobie trudne do porównania życiowe sytuacje. To oznaczać może np. osobę potrzebującą wsparcia innych 24 godziny na dobę, jak i kogoś aktywnego zawodowo i relatywnie dobrze radzącego sobie z codziennymi czynnościami. Bez zmiany systemu na taki, który będzie precyzyjniej diagnozował potrzeby, nie będziemy w stanie efektywnie pomagać. ↦

To nie jest kraj dla takich ludzi

POLSKI RYNEK pracy nigdy nie był przyjazny dla osób z niepełnosprawnościami. Blokują ich m.in. bariery infrastrukturalne – przestrzeń publiczna i większość budynków jest nieprzystosowana do funkcjonowania tej grupy. Nie pomagają instytucje rynku pracy, z urzędami pracy na czele, które są bierne i zamieniły się w biura rejestracji bezrobotnych.

W ZESZŁYM ROKU Najwyższa Izba Kontroli sprawdziła, jak wygląda aktywizacja zawodowa osób z niepełnosprawnościami. „Prowadzona przez powiatowe urzędy pracy aktywizacja zawodowa osób niepełnosprawnych nie była skuteczna i nie umożliwiała im wejścia lub trwałego powrotu na rynek pracy” – czytamy w raporcie pokontrolnym.

W CAŁYM KRAJU zarejestrowanych było 56 tys. bezrobotnych osób z niepełnosprawnościami. Dzieje się tak dlatego, że pracodawcy w Polsce bardzo niechętnie zatrudniają takich ludzi, a państwo nie prowadzi spójnej polityki aktywizacji. Urzędy pracy tak naprawdę nie analizują nawet potrzeb osób z ograniczeniami, które są w nich zarejestrowane. W urzędach objętych kontrolą osoby z niepełnosprawnościami stanowiły tylko 3 proc. uczestniczących w różnych formach aktywizacji.

W SZWECJI dla każdej osoby z niepełnosprawnością tworzony jest indywidualny plan pomocy, dzięki któremu będzie mogła uczestniczyć w życiu społecznym. Rozpoczyna się on już w wieku dziecięcym, by uczeń mógł osiągnąć zakładane cele edukacyjne. Pomoc obejmuje także obszary transportu i mieszkalnictwa. Osoby z niepełnosprawnością ruchową oraz rodzice takich dzieci mogą ubiegać się o dotację na zakup samochodu. W razie potrzeby dostosowania mieszkania do swoich potrzeb osoba z niepełnosprawnością może otrzymać na ten cel wsparcie finansowe od gminy.

W 2019 R. zaledwie 29 proc. osób ze stwierdzoną prawnie niepełnosprawnością miało w Polsce pracę. W całej UE ten wskaźnik jest prawie dwukrotnie wyższy. Polacy i Polki z niepełnosprawnościami są więc pozbawieni odpowiedniego wsparcia socjalnego i możliwości zarobkowania. Trudno sobie wyobrazić gorsze położenie.

© PIOTR WÓJCIK

Wreszcie fundament trzeci, najważniejszy, a dający się sprowadzić do najprostszego hasła: niezależnego życia. W polskich warunkach niezależnego głównie od własnej rodziny lub całodobowej placówki – dziś ci z najcięższymi niepełnosprawnościami, wymagający codziennej pomocy, stają często przed dramatycznym wyborem: opieka krewnego bądź DPS. By się to zmieniło, potrzebnych jest wiele elementów – prof. Kubicki wymienia np. mieszkalnictwo wspomagane (dzięki wsparciu i wyposażeniu mieszkań można pozostać w swoim środowisku lokalnym) i budżet osobisty (suma środków, jakie państwo przekazuje z przeznaczeniem np. na usługi wspierające), o ile oczywiście niemożliwa jest praca zarobkowa.

Jest też i inna zmiana, zapowiadana przez władze od dawna – wprowadzenie do polskiego systemu asystencji osobistej. Gdyby w końcu stała się faktem, w życiu wielu Polaków można by mówić o rewolucji.

Jan Kowalski chce żyć

Proszę Adama Zawisnego, wiceprezesa Stowarzyszenia Instytut Niezależnego Życia, od lat propagatora tej zmiany, by wyjaśnił, czym jest asystencja osobista, na przykładzie konkretnej historii.

Jan (imię zmienione), 35 lat, mieszka w małej miejscowości z rodzicami. Niepełnosprawność ruchowa, korzysta z wózka, nie mówi: komunikuje się za pomocą specjalnego systemu AAC wspierającego niewerbalny przekaz. Dzięki wsparciu i technologiom nauczył się dobrze radzić z komputerem. Teoretycznie mógłby wychodzić do świata, ale nie bardzo ma jak. Byłby w stanie pracować (tworzy grafiki, obsługuje media społecznościowe), a jednak zasila grono bezrobotnych. Jego ojciec nadal pracuje, matka pobiera świadczenie pielęgnacyjne. Rodzice to dlań jedyne wsparcie, ale ograniczone – po 30 latach dźwigania Jana ich siły i zdrowie zdążyły się nadwyrężyć. Jan jest więc jak przyspawany do mieszkania. I do rodziców – a oni do niego.

– Asystent osobisty to taki „cień, który pomaga wyjść z cienia", wspierający we wszystkich czynnościach i niwelujący bariery – tłumaczy Zawisny. – To osoba zatrudniona na umowę, której pracą kieruje osoba z niepełnosprawnością w ustalonym wcześniej, miesięcznym wymiarze czasu, przy pomocy której mógłby jeździć do pracy i z pracy, wyjść do kina, pojechać na rehabilitację, spotkać się ze znajomymi. I zamieszkać sam, znaleźć „drugą połówkę", bo przecież jest dorosłym mężczyzną. Dzięki temu byłby bardziej spełniony, szczęśliwszy, a przy okazji odprowadzałby podatki. Nie robi tego, bo polskie państwo od lat wpędza osoby z niepełnosprawnościami i ich bliskich w toksyczny uścisk, uzależniając ich od siebie nawzajem.

> Skrajne ubóstwo dotyczy 7 proc. gospodarstw z osobą posiadającą orzeczenie o niepełnosprawności. W gospodarstwach bez takich osób ten sam wskaźnik wynosi 4 proc.

Asystencja osobista to norma w wielu krajach Europy. I to nie tylko tej zachodniej – jak mówi wiceprezes INŻ – w Słowenii osoby z niepełnosprawnościami mają średnio 300 godzin miesięcznie wsparcia. W Polsce ta instytucja też już działa – ale na razie tylko na zasadzie trwających przez niecały rok projektów, dostępnych nie wszędzie, nie dla wszystkich, według różnych zasad w różnych samorządach i zwykle w wymiarze godzinowym znacznie niższym, niż jest potrzebny.

– Moja Kinga nie ma asystenta – słyszę od Alicji Jochymek – więc to ja jestem z nią 24 godziny na dobę. Nie umie czytać, pisać, może coś ewentualnie oglądać, ale i tak trzeba jej niemal ciągle organizować czas. Dlatego nie odstępujemy się nawet na krok.

Co dał asystent tym, którzy już z jego lub jej usług korzystali? Adam Zawisny udostępnia mi, zmieniając imiona, ankietowe wypowiedzi uczestników programu „Asystent osobisty osoby niepełnosprawnej".

Małgorzata, adwokat, osoba niewidząca: „Bez niego nie byłabym w stanie prowadzić kancelarii. Asystent jest moimi oczami, przewodnikiem. Wykonuje moje polecenia, ale też, znając już moje potrzeby, udziela mi informacji, np. na temat elementów otoczenia, których nie widzę".

Stanisław, ojciec Jakuba z niepełnosprawnością intelektualną: „Mój dorosły syn przez 32 lata był tylko w towarzystwie moim i żony. Ale my już nie mamy tyle siły, aby chodzić z nim na spacery i wycieczki (...) Ma asystenta osobistego, który z nim spędza dużo czasu i organizuje mu atrakcje (...) Jeżdżą na wycieczki, chodzą do kina i na imprezy sportowe. Syn bardzo lubi być z asystentem, jest szczęśliwy, jak on przychodzi. Teraz dopiero może żyć chociaż trochę samodzielnie i bez rodziców".

Violetta, mama 14-letniej Poli: „Córka ma niepełnosprawność słuchu, asystentka posługuje się polskim językiem migowym (PJM) i dzięki temu córka może chodzić z nią do miasta i realizować swoje pasje".

O rewolucji w swoim życiu pisała też w liście do redakcji portalu niepelnosprawni.pl Agnieszka, chorująca na postępujący zanik mięśni, od lat piętnastu oddychająca za pomocą respiratora: „Moja asystentka odwróciła moje życie o 180 stopni. Po 10 latach wyszłam na zewnątrz, chociaż zarzekałam się, że świat nie jest na mnie gotowy. Niektóre moje marzenia się spełniły. A nawet nie przypuszczałam, że może mi się jeszcze w życiu przydarzyć takie coś... Świat, trawa, woda, las, zachód słońca, zamki, pałace, jezioro. Cieszyłam się jak mała dziewczynka".

Jaki jest problem z polską asystencją? Choć od dawna zapowiadana na poziomie systemowym, czyli ustawowym – a nie tylko projektów – do dzisiaj nie zyskała nawet formy projektu. Pracuje nad nim zespół w Kancelarii Prezydenta, tyle że nie wiadomo, kiedy prace się zakończą. Miało to, wedle zapowiedzi, nastąpić w grudniu 2021 r., nie nastąpiło do dziś. – A to już ostatni dzwonek, bo do wyborów pozostało około pół roku – ostrzega Adam Zawisny. – Tymczasem wiemy z wiarygodnych źródeł, że sprawy idą w złym kierunku. Po pierwsze, że prace odbywają się nie tylko z pominięciem samych osób z niepełnosprawnościami, ale też praktyków asystencji osobistej. Po drugie, że szykowane przepisy są wybrakowane: np. asystent nie będzie mógł wspierać w czynnościach pielęgnacyjno-

-medycznych, jak podawanie leków czy cewnikowanie.

Nie brakuje głosów, że Kancelaria Prezydenta szykuje usługę-wydmuszkę. Dlatego Instytut Niezależnego Życia stworzył, podpisany już przez ponad 80 organizacji, Dekalog: 10 fundamentalnych zasad asystencji, których realizacja jest według nich zagrożona. – Wysłaliśmy je do Kancelarii Prezydenta – mówi Adam Zawisny. – Liczymy na uwzględnienie.

Szwindel

W tle prac nad ustawą i niezależnie od sejmowego protestu toczy się inny protest. Mniej spektakularny, bo rozsiany po całej Polsce – jego kolejne odsłony odbywają się co jakiś czas w różnych miejscach, zwykle pod urzędami. Obrazek z reguły ten sam: garstka osób z niewielkimi transparentami, wodzirej z jednym wysłużonym megafonem. To protest opiekunów osób z niepełnosprawnościami.

Na ulicy pojawiają się w parach – podopieczny i jego cień. To najbardziej dwuznaczny symbol polskiej specyfiki życia tej grupy: nasze państwo przez ponad trzy dekady nie zbudowało fundamentów systemu pomocy także dlatego, że miało silne alibi – zakorzenione w polskiej kulturze „wartości rodzinne". W tym sensie setki tysięcy rodzinnych opiekunów to ofiary niewyartykułowanego szantażu: albo zostaniecie przy swoich bliskich, albo czeka ich marny los (najczęściej placówka typu DPS).

> Tysiące rodzinnych opiekunów osób z niepełnosprawnościami to ofiary niewyartykułowanego szantażu ze strony państwa: albo zostaniecie przy bliskich, albo czeka ich marny los.

Protestują przeciw jednej zasadzie: wręczane im przez państwo tzw. świadczenie pielęgnacyjne (obecnie nieco ponad 2400 zł) oznacza, że nie mogą pracować. – W ten sposób system dezaktywuje już nie tylko osobę z niepełnosprawnością, ale też jego lub jej opiekuna – mówi Adam Zawisny. – Ci ludzie chcą być matkami, siostrami, dziećmi swoich krewnych z niepełnosprawnościami, jednak tęsknią też za normalnym życiem. I Polska, ratyfikując w 2012 r. Konwencję ONZ o prawach osób z niepełnosprawnościami, zobowiązała się im takie niezależne, normalne życie, na równi z innymi obywatelami, zapewnić.

Agnieszka Szpila, pisarka, matka dwójki dzieci z niepełnosprawnościami, w głośnym, opublikowanym w zeszłym roku na stronach „Krytyki Politycznej" tekście pisała o zasadach przyznawania świadczenia, że to „szwindel, który mnie odczłowiecza, odbiera mi moją tożsamość i moje prawa". „Wiecie, jak to jest, kiedy noblistka zaprasza was na swój festiwal, a wy musicie pytać, czy jej fundacja może podpisać umowę nie z wami, tylko z kimś innym, bo stracicie świadczenia?" – pytała. I pisała o niezgodzie „na cały parszywy system, upierdalający w niepełnosprawności nie tylko moje dzieci, ale także i mnie – ich prawną opiekunkę. Polityka społeczna rządu (wcześniejszego również) czyni ze mnie osobę równie niepełnosprawną, jak moje dzieci, skoro nie mogę wykonywać legalnie pracy".

Alicja Jochymek ze swoją zawodową biernością jest pogodzona. Ale przyznaje, że wieloletnia eksploatacja nadwerężyła jej organizm. – Na urlopie nie byliśmy od lat, a jeśli już, to na wspólnych turnusach rehabilitacyjnych – mówi. – Jest mniej sił, siada kręgosłup, człowiek myśli, co będzie, gdy go zabraknie. Na razie jednak musimy walczyć.

Ale nawet jeśli sprawa, o którą walczy, zostanie kiedyś załatwiona, nie spowoduje rewolucji. Będzie tylko o jeden szwindel mniej.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Złota Arka

„Obłożysz ją czystym złotem, od wewnątrz i z zewnątrz obłożysz ją" (Wj 25, 11). Arka Przymierza składała się z trzech skrzyń, umieszczonych jedna w drugiej. Środkowa skrzynia była drewniana, zaś dwie pozostałe – ze złota. Komentator wszech czasów wyjaśnia, jak składano Arkę: drewnianą skrzynię wkładano do zewnętrznej złotej, po czym dokładano złotą wewnętrzną. Dzięki temu trzeba było podnieść tylko jedną skrzynię naraz. Gdyby włożono wpierw najmniejszą skrzynię do środkowej, nie obeszłoby się bez dźwigania dwóch skrzyń jednocześnie. Czy ta metoda, choć zgodna ze zdrowym rozsądkiem, nie jest sprzeczna z naszym wersem?

Gaon Wileński wyjaśnił tę kwestię w jednej z rozmów ze swoim uczniem, rabinem Chaimem z Wołożyna. Gdy rabin Chaim zadał swemu nauczycielowi pytanie natury kabalistycznej, Gaon odpowiedział, że głębia pojmowania rabina Chaima jest wystarczająca. W studiach nad Kabałą nie można sięgnąć samego dna zrozumienia. Na poparcie swoich słów Gaon posłużył się przykładem dotyczącym kolejności składania poszczególnych elementów Arki. Wyjaśnił, że w powyższym wersie mowa jest o wnętrzu i zewnętrzu nie drewnianej, lecz złotych skrzyń. „Od wewnątrz (zewnętrznej złotej skrzyni) i z zewnątrz (wewnętrznej złotej skrzyni) obłożysz ją (drewnianą skrzynię)" – wpierw wnętrze większej złotej pokrywa drewnianą skrzynię, a następnie to samo dzieje się z zewnętrzem mniejszej złotej skrzyni.

Dlaczego jednak Tora opisuje składanie Arki w tak skomplikowany sposób? Można przecież obrać za punkt odniesienia drewnianą skrzynię i sformułować wers w następujący sposób: „z zewnątrz i od wewnątrz obłożysz ją". Także i na to pytanie odpowiedział Gaon Wileński. Dwie złote skrzynie symbolizują Torę, która jest porównana do złota: „[Prawa Boże] Milsze od złota..." (Ps 19, 11). Milsze – liczba mnoga – mowa więc o dwóch poziomach Tory: jawnym (*nigla*) i ukrytym (*nistar*). Złote skrzynie reprezentują oba poziomy Tory: większa, dostępna dla oka, to *Torat nigla*, zaś mniejsza, ukryta przed ludzkim wzrokiem – *Torat nistar*. Drewniana skrzynia symbolizuje człowieka: „gdyż człowiek jest drzewem polnym" (Pwt 20, 19). Powierzchnie styku środkowej skrzyni ze skrzyniami ze złota reprezentują poziom dostępności Tory.

Człowiek ma kontakt z zewnętrzną złotą skrzynią, *Torą nigla*, od wewnątrz. Może ją zgłębić całkowicie i „od podszewki". Styczność z wewnętrzną złotą skrzynią, *Torą nistar*, ogranicza się do jej zewnętrza. Można ją zrozumieć tylko powierzchownie, ledwie ją musnąć. Oto dlaczego Tora opisuje obkładanie drewnianej skrzyni z punktu widzenia nie jej samej, lecz skrzyń ze złota. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
I znowu ta miłość

„Jezus splunął na ziemię, z tego zrobił trochę błota, nałożył je na oczy niewidomego i polecił mu: »Idź i obmyj się w sadzawce Siloe« – co znaczy: Posłany. On więc poszedł, obmył się i wrócił, widząc". Ale „w dniu, w którym Jezus uczynił błoto i przywrócił mu wzrok, przypadał szabat". I się zaczęło.

„Niektórzy faryzeusze powiedzieli więc: »Ten człowiek nie jest od Boga, bo nie przestrzega szabatu!«. Ale inni mówili: »Jakżeż człowiek grzeszny może czynić takie znaki?«. I doszło między nimi do rozłamu". Ten spór trwa do dziś. Wciąż, wśród wyznawców światopoglądu, wszystko jedno religijnego czy ateistycznego, mamy sporo owych „niektórych faryzeuszów", święcie przekonanych, że najważniejszą rzeczą w życiu jest zawsze i za wszelką cenę mieć rację, zaś jedynym dowodem na jej zasadność jest znowu przeświadczenie, że istnieje tylko to, o czym ja wiem, że istnieje, a jeśli o czymś nie słyszałem, czegoś nie widziałem, to takie coś istnieć nie ma prawa.

Takie fanatyczne przeświadczenie prowadzi do przekonania, że prawdziwie mocna wiara to wiara bez wątpliwości, a jednak wymagająca potwierdzenia przez współwyznawców. Wszyscy idą do kościoła, wszyscy biorą ślub kościelny, w piątek poszczą i ja też. Podobne postawy znajdziemy również w najnowszych społecznościach religijnych. Wielu w mojej grupie – myślą – mówi obcymi językami, egzorcyzmuje, uzdrawia, zasypia w Duchu Świętym, składa świadectwa, a nawet wskrzesza zmarłych, to i ja też. Nie jestem gorszy, wyraźnie czuję, że Duch Święty dał mi taki charyzmat.

Tak było, ale się skończyło. Epidemia mocno wyludniła kościoły. Najwięcej odeszło tych, którzy we własnych i cudzych oczach, łącznie z duchownymi, uchodzili za stuprocentowych katolików – wierzących i praktykujących. Najmniej spośród tych, którzy też chodzili do kościoła, niekoniecznie w każdą niedzielę, ale nie z przyzwyczajenia, ze strachu przed ludźmi i Bogiem, dla interesu, lecz z własnego wyboru. Tym epidemia nie zaszkodziła.

Zanim jednak zaczniemy kogoś chwalić czy ganić, spróbujmy zastanowić się nad wypowiedzią Karla Rahnera SJ: „W odniesieniu do przykazań kościelnych, niemających bezpośredniego statusu przykazań Bożych, istnieje znacznie szerszy margines interpretacji ze strony jednostki, która niewątpliwie może uznać, że w pewnych okolicznościach nie jest w swoim sumieniu zobowiązana do przestrzegania określonego przykazania kościelnego, określonego kościelnego rozporządzenia. W takich przypadkach na przykład miłość, a nie tylko sytuacja przymusowa może nas zwolnić od przykazania kościelnego, całkiem niezależnie od tego, że istnieje oczywiście możliwość wyraźnej kościelnej dyspensy udzielonej przez władzę kościelną". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Ofiara

„Jeśli przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z twoim bratem! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj! Pogódź się ze swoim przeciwnikiem szybko, dopóki jesteś z nim w drodze, by cię przeciwnik nie podał sędziemu, a sędzia dozorcy, i aby nie wrzucono cię do więzienia. Zaprawdę, powiadam ci: nie wyjdziesz stamtąd, aż zwrócisz ostatni grosz" (Mt 5, 23-26). Właściwie dlaczego nie wolno mi złożyć na ołtarzu przyniesionej ofiary tak długo, jak długo nie jestem pojednany z moim bratem?

Najgłębsza odpowiedź na tak postawione pytanie jest być może następująca. O jakości składanej na ołtarzu ofiary nie decyduje to, co niesiesz, lecz wewnętrzna dyspozycja ofiarnika. W ostateczności nie składamy Bogu na ofiarę „czegoś"; ostatecznie zawsze składamy w ofierze samych siebie.

Taka jest też istotna i wyróżniająca cecha Chrystusowego kapłaństwa, w którym wszyscy uczestniczymy przez chrzest: Chrystus-Kapłan jest jednocześnie i Ofiarnikiem, i Ofiarą. Jest Kapłanem, który w ofierze składa siebie samego. Tak również poucza nas św. Paweł w swoim Liście do Rzymian (zob. Rz 12, 1-2): uczniowie Jezusa nie składają już Bogu w swoich świątyniach ofiar z martwych zwierząt (wołów, baranków, gołębi), lecz żywą i świętą ofiarę ze swoich ciał, tzn. z siebie (greckie *soma* oznacza bardziej „organizm" niż tylko namacalne, fizyczne ciało – chętniej opisywane greckim słowem *sarks*). Dlatego też – dodaje Apostoł Narodów – taki czyn kapłański wymaga najpierw głębokiej „przemiany" człowieka, dokonującej się poprzez „odnowę umysłu".

Owa zmiana myślenia zawarta jest w naszym wyjściowym tekście w Jezusowym wezwaniu: „Pogódź się ze swoim przeciwnikiem". Mamy tu greckie *eunoéo*, co można by przetłumaczyć „[zacznij] dobrze myśleć" o swoim wrogu. Przyznacie, to głęboka zmiana myślenia: próba odnalezienia tego, co dobre w postawie mojego przeciwnika. Wulgata idzie tu jeszcze nieco dalej, i tłumaczy: „*esto consentiens adversario tuo*". Łacińskie *consentire* może oznaczać nie tylko „zgadzać się", „być jednej myśli", „być w zgodzie/w harmonii", „zmawiać się", ale nawet „współcierpieć" czy „wspólnie odczuwać [ból]". Oznaczałoby to, iż dopiero wtedy „godzę się" z moim wrogiem, gdy odczuwam w sobie jego ból – ten ból, który mu zadałem. Jak widać, „pogodzenie", o którym mówi tekst ewangeliczny, musi pójść bardzo głęboko – musi dotknąć ludzkie myślenie i odczuwanie – po prostu całego człowieka. I to właśnie ta przemiana – niewątpliwie kosztem „zaparcia się siebie" (swoich racji i emocji) – będzie doskonałą ofiarą złożoną na Bożym ołtarzu. Jej znak zewnętrzny nie ma już aż tak wielkiego znaczenia – bez tej duchowej pracy będzie on jednak pustym i kłamliwym znakiem, deklaracją bez pokrycia lub – jeszcze gorzej – próbą zagłuszenia prawdziwych wyzwań sumienia. ©

Obrazy, jakkolwiek święte by nie były, zatrzymują naszą uwagę na zewnątrz, podczas gdy w trakcie modlitwy musi ona pozostawać wewnątrz – w sercu.

TEOFAN PUSTELNIK

Czym jest właściwe spojrzenie? Zauważanie rzeczy i form, nie dając się im złapać, gdy nie powstaje nawet myśl o przywiązaniu do nich, albo o ich odrzuceniu.

MISTRZ ZEN HUI-HAI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 III)

4. niedziela Wielkiego Postu: 1 Sm 16, 1b. 6-7. 10-13; Ps 23; Ef 5, 8-14; J 9, 1-41;
Poniedziałek, uroczystość św. Józefa, Oblubieńca NMP: 2 Sm 7, 4-5a. 12-14a.16; Ps 89; Rz 4, 13. 16-18. 22; Łk 2, 41-51a;
Wtorek: Ez 47, 1-9. 12; Ps 46; J 5, 1-16;
Czwartek: Wj 32, 7-14; Ps 106; J 5, 31-47;
Piątek: Mdr 2, 1a. 12-22; Ps 34; J 7, 1-2. 10. 25-30;
Sobota, uroczystość Zwiastowania Pańskiego: Iz 7, 10-14; Ps 40; Hbr 10, 4-10; Łk 1, 26-38;
5. niedziela Wielkiego Postu: Ez 37, 12-14; Ps 130; Rz 8, 8-11; J 11, 1-45.

KRAJ

BALLADA O UBEZPIECZENIACH SPOŁECZNYCH

Jak doszło do tego, że pokolenie dzisiejszych 40- i 50-latków przez lata godziło się pracować na sukces polskiej gospodarki kosztem własnej starości?

MAREK RABIJ

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Sukces ma wielu ojców, choć nie każdym z nich wypada się chwalić. W opowieści o spektakularnych dokonaniach polskiej gospodarki, które zaowocowały wzrostem standardu życia Polaków do poziomu 80 proc. średniej dla 38 krajów OECD, takim wstydliwym wątkiem stały się składki emerytalne. Bo czy dopalaczem, który rozpędził polskie PKB z 69,5 mld dolarów w 1990 r. do blisko 700 mld dolarów w roku ubiegłym, nie są także miliardy złotych, jakie na świadczeniach emerytalnych i socjalnych milionów pracowników zaoszczędzili pracodawcy, zatrudniający ich na umowach śmieciowych? Skąd w polskim dyskursie wzięło się przekonanie o chronicznej słabości krajowego systemu ubezpieczeń społecznych? Wreszcie – czy to przedziwne uwłaszczenie, jakiego pracodawcy dokonali na przyszłości swoich podwładnych, odbyło się wbrew woli tych ostatnich, czy raczej za ich milczącą aprobatą?

Wzorcowy rok

Zacznijmy jednak od garści danych, które mogą być kubłem zimnej wody na głowy tych, którzy przywykli do narracji o piramidzie finansowej, jaką jest rzekomo ZUS. W ubiegłym roku Zakład pobrał od płatników 376 mld zł, co pokryło wydatki Funduszu Ubezpieczeń Społecznych w aż 84,8 proc. Nigdy udział dotacji budżetowej w wydatkach ZUS nie był równie niski (państwo dopłaciło do emerytur 36 mld zł) – choć to oczywiście nie efekt mrówczego trudu urzędników, lecz rezultat szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Rok 2022 przyniósł w Polsce spadek rejestrowanego bezrobocia do nienotowanego od 1990 r. poziomu 4,9 proc. W ślad za rekordowo wysokim wskaźnikiem aktywności zawodowej, który dobił do 59 proc., szedł dodatkowo wyraźny, bo kilkunastoprocentowy wzrost wynagrodzeń, co automatycznie przełożyło się na wysokość opłacanych składek. Wreszcie – choć analitycy ZUS wolą nie mówić o tym publicznie – pozytywnie zaskoczyły dane o aktywności zawodowej ok. 1,5 mln uchodźców z Ukrainy, zarejestrowanych w bazie PESEL. Ponad połowę tej grupy stanowią kobiety w wieku produkcyjnym, a spośród nich aż 53 proc. podjęło w Polsce legalną pracę. W większości przypadków były to wprawdzie posady z pensją minimalną, do tego oferowane najczęściej na podstawie umowy-zlecenia, ale z punktu widzenia interesów systemu ubezpieczeń społecznych oznaczało to i tak wyraźny postęp. Przed pojawieniem się Ukraińców na naszym rynku pracy najniższe jego pokłady tkwiły bowiem głęboko w szarej strefie. Część z nich za jakiś czas wróci zresztą zapewne do ojczyzny, a ich składki staną się czystym zyskiem polskiego systemu ubezpieczeń społecznych.

Bardzo dobre zeszłoroczne wyniki ZUS dowodzą jednego. Polski system ubezpieczeń społecznych nie jest bezużytecznym wozem bez kół. Przy pewnym poziomie aktywności zawodowej ludności, tempie wzrostu gospodarki i odpowiednim bilansie demograficznym może się nadal niemal samofinansować. Ale czy w kolejnych latach zaistnieją po temu odpowiednie warunki? To już pytanie do płatników ZUS.

Kto wypowie pakt solidarności?

W tym roku – jak zapowiadała niedawno w Polskim Radiu prezeska ZUS prof. Gertruda Uścińska – suma pobranych składek ma przekroczyć 400 mld zł. Jednocześnie w latach 2023-2027 ZUS spodziewa się wzrostu liczby przechodzących na emeryturę do ponad 300 tys. osób rocznie – z rynku pracy schodzić będzie bowiem pokolenie wyżu demograficznego początku lat 60. W ostatnich latach ich liczba oscylowała wokół 280-290 tys. rocznie. Oznacza to jedno – dalszy wzrost wydatków z FUS. Zwłaszcza w obliczu inflacji utrzymującej się długo na dwucyfrowych poziomach, która wymusi kolejne bardzo wysokie waloryzacje świadczeń. Tegoroczna podwyżka emerytur o aż 14,8 proc. może więc jawić się jako wręcz skąpa w porównaniu z kolejnymi.

Tymczasem, jak wynika z szacunków Eurostatu, do 2030 r. liczba osób w wieku produkcyjnym (20-64 lata) zmaleje w Polsce o około 7 proc. W kolejnej dekadzie można spodziewać się spadku ↦

Aleja Solidarności w Warszawie, luty 2023 r.

↦ o kolejne 4,6 proc. A w dwóch następnych – po około 10 proc. Średnio daje to kurczenie się grupy aktywnych zawodowo Polaków w tempie aż 1,5-2 proc. rocznie, przy jednoczesnym, na szczęście nieco wolniejszym przyroście liczby emerytów. Obciążenia emerytalne pracujących będą musiały zatem dalej rosnąć, aby zbilansować wydatki na seniorów. Czy młodsze pokolenia nie zechcą w przyszłości zmienić prawa i zerwać paktu solidarności społecznej?

Powodów do obaw dostarczają nie tylko kolejne badania opinii publicznej, w których młodzi pracownicy wprost kwestionują sens łożenia na emerytury dla starszych w sytuacji, kiedy wypłaty ich własnych świadczeń stoją pod znakiem zapytania. Mniejsza także o darwinistyczny sznyt programu ekonomicznego Konfederacji, która tradycyjnie cieszy się dużym poparciem młodych wyborców. Osią przyszłego sporu pokoleń może być fakt, że to generacja dzisiejszych czterdziesto- i pięćdziesięciolatków pierwsza zerwała warunki tego paktu, masowo uciekając przed składkami na ubezpieczenie społeczne w tzw. elastyczne formy zatrudnienia. Częściowo przymuszona ówczesną trudną sytuacją na rynku pracy, na którym warunki bezwzględnie dyktowali pracodawcy, ale częściowo skuszona po prostu wizją wyższych zarobków tu i teraz.

Teraz kosztem potem

Dyskusja o umowach śmieciowych czy ekspansji tzw. samozatrudnienia trwa od lat i nie ma sensu przywoływać w tym miejscu padających w niej argumentów. Dość podkreślić, że proceder nie tylko trwa, ale nabiera tempa. Z najnowszego Badania Aktywności Ekonomicznej Ludności, jakie podług unijnej metodologii prowadzi systematycznie GUS, wynika, że w drugim kwartale 2022 r. liczba prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą (a więc niezatrudniających dodatkowych pracowników) przekroczyła 5 mln. Tymczasem jeszcze w 2018 r. sięgała 1,3 mln osób. Z udziałem samozatrudnionych w łącznej liczbie pracujących na poziomie 29,9 proc. Polska jest dziś trzecim – za Grecją i Włochami – krajem unijnym pod względem popularności tej formy zatrudnienia. Rzecz jasna, na tę armię składają się także właściciele małych sklepów, rzemieślnicy lub doradcy podatkowi prowadzący własne biura. Słowem – osoby prowadzące faktycznie działalność gospodarczą. Według ostrożnych szacunków statystyków od 60 do nawet 70 proc. mogą jednak stanowić ci, którzy pięć dni w tygodniu spędzają osiem kodeksowych godzin za biurkiem „kontrahenta", któremu w zamian za rozmaite „usługi" wystawiają co miesiąc fakturę na stałą kwotę.

> W ubiegłym roku ZUS pobrał od płatników 376 mld zł, co pokryło wydatki Funduszu Ubezpieczeń Społecznych w aż 84,8 proc.
> **To najlepszy wynik w historii.**

W powszechnym wyobrażeniu większość z nich padła ofiarą nacisków ze strony pracodawców, którzy nakłaniali ich do zmiany etatu na samozatrudnienie. Z badania „Indeks przedsiębiorczości 2019", przygotowanego na zlecenie firmy doradczej TaxCare, wynika jednak, że aż 7 na 10 samozatrudnionych nigdy nie doświadczyło namowy do przejścia na działalność ze strony pracodawcy lub potencjalnego pracodawcy. Z kolei 2 na 10 spotkało się jedynie z taką sugestią, a tylko w 1 na 10 przypadków pracodawca wskazał, że jest to warunek bezwzględny. W przypadku pracowników etatowych tylko 7 proc. spotkało się z taką propozycją, a jedynie 5 proc. zostało postawionych w sytuacji bez wyboru. Jeśli wyniki tego badania nie zostały spreparowane pod zamówienie zleceniodawcy, oznacza to, że większość samozatrudnionych z premedytacją ryzykuje własnym bezpieczeństwem socjalnym dla szybkiej podwyżki.

W przypadku umowy o pracę na kwotę 6 tys. zł netto łączne koszty zatrudnienia przekraczają dziś 10 tys. zł. Przejście na samozatrudnienie daje pracownikowi od razu niemal 20 proc. podwyżki, oczywiście kosztem przyszłej emerytury – bo bazą do wyliczenia wysokości składki nie są już faktyczne zarobki, ale 60 proc. przeciętnej pensji krajowej brutto. Obecnie – ok. 4,2 tys. zł. Rezygnacja z w pełni ozusowanego etatu na rzecz kontraktu firma-firma daje zatem pracownikowi dodatkowe pieniądze, ale kosztem emerytury, która wskutek takiego zabiegu zmaleć może o przeszło 50 proc.

„Ryzyko dożycia do emerytury"

Znamienne, że wśród polskich samozatrudnionych przeważają dziś mężczyźni (3,1 mln). Może świadczyć to o tym, że kobiety, na których wciąż spoczywa w Polsce główny ciężar opieki nad dziećmi, do tej formy zatrudnienia podchodzą z dystansem z uwagi na słabą ochronę socjalną, jaka się z nią wiąże. Samozatrudnionym ZUS wypłaca zaledwie kilkaset złotych zasiłku – i to tylko tym, którzy zdecydują się na opłacanie dobrowolnej składki chorobowej. Szybka telefoniczna ankieta wśród kilku krakowskich biur podatkowych nie pozostawia wątpliwości: olbrzymia większość samozatrudnionych rezygnuje z chorobowego, bo „to się nie opłaca".

Składki na ubezpieczenie społeczne „nie opłacały się" także tysiącom świetnie wykształconych specjalistów-freelancerów, którzy przez lata nie odkładali na ZUS ani grosza, żyjąc z nierzadko lukratywnych umów-zleceń – aż do niedawnych zmian, praktycznie zrównujących w takich obciążeniach tę formę zatrudnienia z umową o pracę. Część z nich odkładała na starość w bankach. Część żyła jednak beztrosko wedle zasady, że jakoś to będzie, i dziś budzi się z przerażeniem z tego snu, widząc symulacje, które przewidują wypłaty groszowych emerytur, lub odbierając pierwsze niskie świadczenia. Rekordziście w tej kuriozalnej dyscyplinie co miesiąc wpływa na konto 10 groszy z ZUS. Smutny ślad po dwóch dorywczych pracach, od których kiedyś odprowadził symboliczne składki.

Takie postawy dostarczają argumentów ekonomistom i ekspertom od rynku ubezpieczeń, którzy od lat budują w Polsce narrację, że najgorsze, co może się człowiekowi przytrafić w jesieni życia, to osiągnięcie wieku emerytalnego. Jednemu z nich takie stwierdzenie wyrwało się niedawno dosłownie w podkaście dla Instytutu Misesa, w którym grzmiał o „ryzyku dożycia do emerytury". Lekiem na całe zło ZUS według eksperta, autora rozchwytywanych książek o inwestowaniu, są oczywiście prywatne fundusze inwestycyjne i towarzystwa ubezpieczeniowe. A stąd już krok do forsowanej coraz szerzej idei dobrowolności ubezpieczeń emerytalnych i chorobowych.

Oczywiście z założeniem, że pieniądze marnowane na składkę w ZUS pójdą na konta tych, którzy z pewnością zainwestują je skuteczniej od państwowego molocha. W tego typu opowieściach zazwyczaj brak jednego elementu – wskazania podmiotu, który zagwarantuje wypłaty świadczeń na wypadek bankructwa ubezpieczyciela. Dużo miejsca poświęca się za to rozdętym rzekomo kosztom funkcjonowania ZUS – ale bez podawania konkretów. Te bowiem przemawiają na korzyść państwowego ubezpieczyciela. W 2021 r. koszty operacyjne ZUS wyniosły niemal 5,4 mld zł (z czego 3 mld stanowiły wynagrodzenia ponad 40 tys. pracowników). Gdyby porównać je do sumy zebranych składek, okaże się, że koszty funkcjonowania pochłonęły nieco ponad 2 proc. pieniędzy, które podatnicy przekazali ZUS. W przypadku większości dużych towarzystw ubezpieczeniowych tę samą relację kosztów operacyjnych do wartości składek wyrażają tymczasem liczby dwucyfrowe. Rekordzista przeznacza na ten cel aż 27 proc.

Zadanie niewykonalne

400 mld zł, które rokrocznie Polacy odkładają na emerytury, jest kwotą zbyt dużą, by nie łakomili się na nią wielcy gracze świata finansów. Na razie jednak próby rozmontowania publicznego systemu ubezpieczeń społecznych nie wychodzą poza sferę pomysłów. O dobrowolnej składce na ZUS, poza garstką ultrawolnościowych harcowników, wspominają nieśmiało jedynie ludowcy z PSL – i raczej po to, żeby na przednówku kampanii wyborczej przypodobać się drobnym przedsiębiorcom, których dobija wysoka inflacja.

Klimat po temu jest nie najgorszy. Polacy wciąż pamiętają politykom kontrowersyjną reformę, która praktycznie wyrwała OFE z systemu ubezpieczeń, a nade wszystko naderwała zaufanie do umów, jakie państwo zawiera z obywatelami. Pokłosiem tamtych wydarzeń jest dziś niechęć do Pracowniczych Planów Kapitałowych, dobrowolnego system długoterminowego oszczędzania, który wchodzi w skład polskiego systemu emerytalnego i który gorąco promują politycy obozu rządzącego. Na próżno. Po trzech latach od startu programu, który zadebiutował w styczniu 2019 r., należy do niego 2,2 mln osób, czyli ledwie co trzeci zatrudniony na etacie. Płatnicy nie wierzą, że państwo kiedyś znów nie położy łapy na ich pieniądzach.

> Po obniżeniu wieku emerytalnego niemal trzy czwarte Polaków urodzonych w latach 80. będzie mieć **emeryturę minimalną, która obecnie wynosi 1588 zł.**

Czy zatem można w Polsce zbudować zaufanie do ZUS? To zadanie z pogranicza niewykonalnych, bo przekonanie o chronicznej chorobie systemu ubezpieczeń społecznych jest klasyczną samosprawdzającą się przepowiednią: im mniej płatników w systemie i ich pieniędzy, tym większe ryzyko, że wypłacane emerytury, zgodnie z wyobrażeniami płatników, nie wystarczą na nic więcej niż wegetację. Tymczasem spośród ok. 9,2 mln polskich emerytów już niemal 300 tys. dostaje emeryturę poniżej minimalnej, która obecnie wynosi 1588 zł. W dodatku ich liczba dynamicznie rośnie – w ciągu ostatniej dekady aż dziewięciokrotnie.

Nie słabnie też społeczny opór przed podniesieniem wieku emerytalnego, połączony z brakiem rozeznania co do wysokości przyszłych świadczeń. Niewiele dają nawet symulacje specjalistów od systemu ubezpieczeń społecznych, które pokazują, że przepracowanie tylko jednego roku po osiągnięciu wieku emerytalnego skutkuje wzrostem wypłacanego świadczenia o około 8 proc., a wydłużenie aktywności zawodowej o cztery lata daje już emeryturę wyższą o jakieś 30 proc. Z badania przeprowadzonego dla Business Insider Polska przez UCE Research wynika, że aż 40 proc. Polaków spodziewa się, iż po przejściu na państwowy garnuszek będą otrzymywać przelewy z ZUS w wysokości przynajmniej 50 proc. dzisiejszej pensji. Inni karmią się nadzieją, że starczy im zdrowia, by pracować do osiemdziesiątki.

Śpij słodko, płatniku

Rządzący, zamiast bić na alarm, wolą utrzymywać wyborców w tym błogim złudzeniu. PiS zaraz po przejęciu władzy cofnął zmiany poprzedniego rządu, które wydłużyły staż pracy niezbędny do przejścia na świadczenie o dwa lata. Dziś temat spadł z politycznej agendy, mimo że koleje ekspertyzy pokazują, że bez podniesienia wieku emerytalnego Polacy za kilkanaście lat będą dostawać świadczenia, za które nie zdołają przeżyć. Z symulacji przygotowanych przez fundację GRAPE wynika, że po obniżeniu wieku emerytalnego do 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn niemal trzy czwarte osób urodzonych w latach 80. będzie mieć na starość emeryturę minimalną. Obecni 40-50-latkowie, urodzeni dekadę wcześniej, nie będą w dużo lepszym położeniu, bo średnio sześciu na dziesięciu też wyląduje na emeryturze minimalnej.

Dotyczy to zwłaszcza kobiet, które w Polsce wciąż zarabiają średnio kilkanaście procent mniej od mężczyzn, a dodatkowo obciąża je zakorzenione w naszej kulturze przekonanie, że to na nich spoczywa ciężar opieki nad dziećmi, a dzisiaj również często starszymi rodzicami. W rezultacie przeciętna Polka w trakcie aktywności zawodowej gromadzi o kilkadziesiąt tysięcy złotych mniej na kontach emerytalnych od mężczyzny w tym samym wieku. Stopa zastąpienia w przypadku kobiet jest już o ok. 10 pkt. proc. niższa niż w przypadku mężczyzn. W dodatku kobiety żyją dziś statystycznie o 10 lat dłużej od mężczyzn.

W ostatnich latach coś jednak drgnęło. Jak podaje sam ZUS, natychmiast po osiągnięciu wieku emerytalnego na państwowy garnuszek przechodzi obecnie ok. 62 proc. uprawnionych. To wciąż dużo, ale jeszcze w 2017 r. odsetek ten sięgał w Polsce aż 83 proc. Wygląda na to, że po raz pierwszy od reformy systemu emerytalnego z 1999 r. zaczęliśmy się poważnie martwić tym, z czego będziemy żyć na starość.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Docenić życie

IZA FALKOWSKA-TYLISZCZAK,
PSYCHOTERAPEUTKA:

W bliskości najbardziej boimy się samych siebie. I dlatego odsłonięcie się przed kimś jest możliwe dopiero wtedy, gdy poczujemy się bezpiecznie we własnej skórze.

DOMINIKA TWOREK: Czym jest bliskość między ludźmi?

IZA FALKOWSKA-TYLISZCZAK: To swoboda bycia sobą i pełnego wyrażania siebie przy drugim człowieku. Można o niej pomyśleć jak o owocu mango, który jest słodki i bardzo aromatyczny, ma w sobie rodzaj balsamicznego smaku, ale wyczuwalny jest w nim też pewien smrodek. Choćby to było piękne, dojrzałe i niezgniłe mango, czujemy w nim nutkę zepsucia. Podobnie jest z bliskością. To kwestia bycia w pełni, ze swoimi zaletami i wadami.

Jeżeli akceptujemy własne „nutki zepsucia", to łatwiej nam otworzyć się na nieprzyjemne zapachy innych?

Zgoda ze sobą chroni nas przed mechanizmem projekcji. Polega on na tym, że gdy nie akceptujemy czegoś w sobie, widzimy to na zewnątrz. Wyobraźmy sobie kobietę, która nie uznaje swojej seksualności. Taka osoba będzie przekonana, że mężczyznom jedno w głowie, a z lęku przed wykorzystaniem będzie ich unikała. Po drugie – moim zdaniem – to mit, że przeciwieństwa się przyciągają. Oczywiście, partnerzy miewają przeciwstawne cechy i niektóre różnice między sobą uznają za atrakcyjne, przynajmniej na początku. Ale z wielu badań wynika, że relacje oparte na podobieństwach są łatwiejsze do utrzymania. Bo smrodek jest łatwiejszy do przyjęcia, jeśli jest nam znajomy. A jeżeli między nami a drugim człowiekiem są kolosalne różnice, to dużo trudniej jest o akceptację i porozumienie.

ADOBE STOCK

Co jest warunkiem niezbędnym do osiągnięcia poczucia bliskości?

W bliskości najbardziej boimy się samych siebie. I dlatego odsłonięcie się przed kimś jest możliwe dopiero wtedy, gdy pogodzimy się z tym, jacy jesteśmy – poczujemy się bezpiecznie we własnej skórze. A w osiągnięciu tej zgody przeszkadza głównie nasza pycha. Mówiąc językiem psychologicznym, dla niektórych z nas różnica pomiędzy „ja" idealnym i „ja" realnym jest bardzo trudna do zaakceptowania.

Obawiamy się też, że bliskość pozbawi nas zbroi, bez której będziemy bardziej podatni na zranienie ze strony innych ludzi?

Lęk przez odrzuceniem i zranieniem to kolejny element. Bo, jak mówił Zygmunt

Freud: „Najbardziej jesteśmy narażeni na cierpienie, gdy kochamy". Bliska relacja z drugim człowiekiem wymaga oddania części kontroli, a także elementu zaskoczenia, otwartości. To nasila lęk przed odrzuceniem, bo sami nie wiemy do końca, co odsłonimy. Wpisana jest w to również obawa przed zatraceniem, pochłonięciem przez drugą osobę, utratą własnej tożsamości. Że stanie się coś takiego, iż ten człowiek będzie „za blisko" i narzuci nam swoją osobowość czy sposób funkcjonowania, a tym samym odbierze nam autonomię.

Boimy się syjamskości.

Tak, całkowitej symbiozy – fuzji, zlania. Ten rodzaj doświadczenia jest bardzo cenny i przynosi nam ogromną przyjemność, ale tylko przez chwilę – na przykład w seksie. Natomiast jeśli przybiera długotrwały charakter, ostatecznie jest dla nas obciążający. Symbioza szczególnie często dotyka par, które powstają bardzo wcześnie. Użyła pani słowa „syjamskość". To określenie opisuje bliźnięta i zarazem dobrze pokazuje brak dojrzałości, dziecięcość. Z czasem w takiej parze ustaje namiętność, bo kochanie się z samym sobą to dla wielu dużo mniejsza przyjemność.

Czy wszyscy – w mniejszym lub większym stopniu – boimy się bliskości?

Może nie wszyscy, ale większość z nas. Ludzie różnią się od siebie, jeśli chodzi o zapotrzebowanie na kontakt, więc znajdą się osoby, które nie chcą wchodzić w bliskość z powodów innych niż lęk. Myślę też, że sytuacja wygląda inaczej w przypadku 60-latków, 30-latków czy młodzieży. Młodsze pokolenia mogą nie być tą bliskością aż tak zainteresowane jak osoby starsze, gdyż są sprawniejsze w zaspokajaniu swoich potrzeb wirtualnie. Dziś ludzie z całego świata, który bardzo się skurczył po powstaniu internetu, rozmawiają ze sobą, grają, robią razem różne rzeczy – choć można dyskutować o tym, czy nie jest to iluzoryczne.

Jakie strategie obronne stosujemy, żeby uciec przed drugim człowiekiem?

Przede wszystkim izolujemy się. Uciekamy w pracę, używki albo różnego rodzaju kompulsywne zachowania. Coraz częściej siadamy do stołu czy idziemy do łóżka z telefonem w ręku. Dzięki nowym technologiom możemy samodzielnie zaspokajać również potrzeby seksualne. Korzystanie z rozmaitych gadżetów jest sposobem na unikanie realnej bliskości.

Skąd się w nas bierze lęk przed bliskością?

Z wczesnego dzieciństwa. Badania pokazują, że stres u niemowlęcia – szczególnie pomiędzy 6. a 18. miesiącem życia – powoduje dalekosiężny wpływ na ośrodki w mózgu odpowiedzialne za emocje. W tym okresie formuje się bliskość, a kluczową rolę odgrywa nie tylko kontakt i dotyk rodzica, ale także interakcja między nimi. Zna pani eksperyment kamiennej twarzy Edwarda Tronicka?

Nie. Na czym polegał?

Stworzono sytuację, w której matka niemowlęcia przez jakiś czas w naturalny sposób reagowała na to, co jej dziecko robi. Jeśli ono się uśmiechało, ona również. Dziecko gaworzyło, matka też. I tak dalej. Ale od pewnego momentu, chociaż maluch nadal podejmował swoją aktywność, twarz matki pozostawała neutralna. W efekcie już po krótkim czasie dziecko okazywało niepokój i dezorganizację. To doświadczenie uwidoczniło, jak duże znaczenie dla tworzenia się więzi ma interakcja.

Dlaczego jest tak istotna?

Podobnie jak dotyk, wyzwala oksytocynę, zwaną „hormonem miłości", która zapewnia uczucie komfortu oraz powoduje produkcję dopaminy i serotoniny – neuroprzekaźników potrzebnych do rozwoju mózgu i regulacji gwałtownych emocji. Więź tworzy się więc poprzez to, co jest dla nas przyjemne. Co więcej, bliskość ma reprezentację w tych samych rejonach mózgu, co słodki smak i miły zapach.

Nasza umiejętność wchodzenia w bliskość zdeterminowana jest przez interakcję z rodzicami w pierwszych kilkunastu miesiącach naszego życia?

O tym mówi też teoria przywiązania Johna Bowlby'ego, na bazie której w latach 60. opracowano teorię trzech stylów przywiązania: bezpiecznego, unikającego oraz lękowo-ambiwalentnego. Styl bezpieczny tworzy się w sytuacji, w której rodzice – przede wszystkim matka – adekwatnie reagują na sygnały dziecka, a ono uczy się, że jego potrzeby mogą być bezpiecznie zaspokajane. Takie dziecko nie powinno mieć problemu z budowaniem bliskich relacji w przyszłości. Natomiast styl unikający tworzy się wtedy, kiedy otoczenie nie reaguje na potrzeby niemowlęcia, więc ono wyciąga wniosek, że nie ma sensu liczyć na siły zewnętrzne; trzeba radzić sobie samodzielnie. Takiej osobie trudno będzie wchodzić w relacje, będzie wybierać wycofanie emocjonalne i raczej „używać" innych. Styl lękowo-ambiwalentny objawia się zaś wtedy, gdy rodzic jest nieprzewidywalny. Raz te potrzeby zaspokaja, a kiedy indziej nie. Taka sytuacja jest szczególnie niebezpieczna, bo dziecko tkwi w nadmiernym przywiązaniu do rodziców. W dorosłym życiu może więc „kochać za bardzo" i być gotowe znosić zbyt wiele, aby w ogóle pozostać w relacji.

Na późniejszych etapach życia jedynie osadzamy się w swoich schematach czy te style się modyfikują?

Wszyscy nosimy w swoich umysłach podstawową matrycę i wybieramy do kontaktu ludzi, którzy są z nią zgodni. Praktyka życiowa raczej potwierdza nasze pierwotne doświadczenie, umacniając w przekonaniu, czy można bezpiecznie być z ludźmi blisko czy też nie. Ale na szczęście nie jesteśmy stuprocentowo skazani na ten wzór. Style unikający czy lękowo-ambiwalentny mogą być korygowane przez dobre relacje z partnerem. Istnieje też jednak niebezpieczeństwo, że traumatyczne doświadczenia – jak napaść, gwałt czy wojna – mogą odebrać poczucie bezpieczeństwa i sprawić, że dana osoba nagle przestanie być zdolna do bliskości.

Czy ten lęk jest emblematyczny dla kultury Zachodu, w której podczas wychowywania dzieci bardziej niż na kompetencje związane z kolektywnością stawia się na rozwój ich własnego potencjału?

Oczywiście. Dziś macierzyństwo jest właściwie nieodpowiednie dla naszej kultury. Zwłaszcza zamknięcie się w klatkach mieszkań – a tym samym pozbawienie dzieci plemiennego wychowania czy choćby życia w wielopokoleniowej rodzinie – jest dla matek bardzo trudne. ↦

↦ Myślę, że coś specyficznego jest też w krajach postkomunistycznych. Wieloletnie zmuszanie nas do kolektywizmu i różnego rodzaju wspólnot może powodować przesunięcie się w drugą stronę – indywidualizacji czy wręcz narcyzmu – i potrzeba czasu, żeby to odchylenie znalazło złoty środek.

Dążenie do bliskości nie jest instynktem?

Pamiętajmy, że poza tendencją do tego, żeby być z innymi ludźmi blisko, mamy w sobie również wrodzony instynkt do walki i nienawidzenia się nawzajem. Tak było, jest i – niestety, moim zdaniem – będzie. Ale szczególnie niepokoi mnie kierunek, w jakim dziś zmierzamy: bałaganu, przewrotności i perwersji.

Co ma Pani na myśli?

Pandemia, wojna na Ukrainie oraz kryzys klimatyczny spowodowały większą świadomość tego, jak nieprzewidywalne jest życie. Wielu z nas doszło do wniosku, że planowanie czy porządkowanie rzeczywistości nie ma sensu, a jedyne, co można zrobić, to przygotować się na chaos. Dodajmy do tego zmiany kulturowe i fakt, że coraz częściej bardzo młodzi ludzie nie są pewni swojej tożsamości płciowej, co niekoniecznie związane jest z gospodarką hormonalną danej osoby. A wpływ nowych technologii na nasze umysły jest zupełnie nieprzewidywalny. W coraz większym stopniu mamy do czynienia z czymś nieznanym i pomieszanym. Czy to wszystko oznacza zagrożenie dla bliskości, czy tylko jakąś jej odmianę? Tego nie wiem.

Popularnością wśród młodych ludzi cieszy się poliamoria, czyli wchodzenie w kilka związków jednocześnie.

Wydaje mi się, że jest to rodzaj iluzji. Chociażby ze względu na fakt, że po swoich zwierzęcych przodkach dziedziczymy nie tylko chęć do różnorodnych kontaktów seksualnych, ale też rywalizację. Zapomina się o tym, że w poliamorycznych związkach nieunikniona jest walka między partnerami.

A może u podstaw tego zjawiska leży bunt przeciwko indywidualistycznej kulturze i chęć przywrócenia bliskości na przykład poprzez tworzenie wielu związków opartych na wspólnotowych zasadach?

Jeśli przypomnimy sobie rewolucję francuską, to jedną z jej idei było przeciwstawienie się mieszczańskim regułom życia, także poprzez dzielenie się partnerami seksualnymi. Chodziło o to, żeby wszystko było wspólne, również mężowie i żony. Możemy więc dojść do wniosku, że historia się powtarza. Wtedy też prawdopodobnie było to jakimś buntem, odpowiedzią, ale okazało się niewystarczająco dobre, by przetrwać jako wartość na szeroką skalę. Właśnie z powodu wbudowanej w nas rywalizacji.

Jak zanikanie fizycznej bliskości pomiędzy ludźmi ma się do naszej seksualności i promowanego współcześnie kultu perfekcyjnego ciała?

Seksualność połączona jest z atrakcyjnością fizyczną, gdyż ma silny związek z prokreacją. Gdy chcemy mieć potomstwo, cechy, które dostrzegamy u potencjalnego partnera czy partnerki – na przykład proporcja szerokości talii do bioder u kobiet – stanowią dla nas ważny wskaźnik biologiczny. Ale w momencie, w którym przestaje nam chodzić o to, żeby mieć dzieci, nie jest to dla nas już tak istotne i większą rolę zaczyna odgrywać bliskość emocjonalna. Jednak z drugiej strony współczesna komercja kultywuje w sztuczny sposób przekonanie, że musimy cały czas utrzymywać nasze ciała w doskonałej formie. Problem w tym, że za tym wcale nie idzie realne zbliżenie z drugą osobą, bo liczy się tylko i wyłącznie kwestia prezentacji.

ARCHIWUM PRYWATNE

IZA FALKOWSKA-TYLISZCZAK jest psychoterapeutką i superwizorką psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, pracuje w Zespole Pomocy Psychoterapeutycznej w Warszawie.

Czy doświadczenie pandemii unaoczniło nam coś ważnego, jeśli chodzi o odczuwanie bliskości?

Paradoksalnie pandemia zwiększyła potrzebę bliskości. Bo co możemy postawić przeciwko zagrożeniu śmiercią? Mówiąc górnolotnie: tylko miłość. A mniej górnolotnie: bliskich i wspólnotę. Świadomość różnego rodzaju niebezpieczeństw wpływa na to, że ludzie – jeśli tylko mogą – starają się być razem.

Istnieje jakieś antidotum na przezwyciężenie lęku przed bliskością, które nie wiązałoby się z zagrożeniem?

Tak. Bardzo istotne jest, aby pielęgnować relacje z tymi, którzy już są dla nas ważni i wartościowi. Takim remedium może być na przykład szeroko rozumiana tolerancja. Przypomniał mi się w tym kontekście duński film „Uczta Babette" o kostycznej, rygorystycznej społeczności i pewnej uciekinierce z Francji w czasach rewolucji francuskiej. Kobieta przynosi im swobodę, zaczynając od dobrego jedzenia. Chodzi o docenienie tego, co życie może nam dostarczać. Pomocna w budowaniu bliskości między ludźmi jest też psychoterapia.

Bo terapeuta akceptuje nas, mimo że mówimy o sobie rzeczy, których się wstydzimy?

Terapia jest wehikułem, który działa poprzez zbudowanie swoistej bliskości. Sama niejednokrotnie doświadczałam w gabinecie wzruszenia, które wiązało się z możliwością prawdziwego i bezpiecznego kontaktu z drugim człowiekiem. Ale terapia ma jeszcze jeden ważny aspekt: poprzez interpretację własnych doświadczeń prowadzi do lepszego rozumienia siebie i większej akceptacji swojej osoby. Z badań socjologicznych Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego wynika, że 88 proc. Polaków zgadza się ze stwierdzeniem, iż obowiązkiem państwa jest zagwarantować każdemu dostęp do psychoterapii, dla 49 proc. jest to zdecydowanie ważne. To, że nagle ludzi interesuje, aby w siebie zajrzeć głęboko, daje ogromną nadzieję na stopniowe przywracanie bliskości między nami.

© Rozmawiała DOMINIKA TWOREK

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Wizyta prezesa PiS w prywatnej masarni w Dębicy, maj 2014 r.

Mięsny opór

PIOTR WÓJCIK

Dla wielu polskich konserwatystów spożywanie mięsa stało się elementem katalogu wartości, tak samo jak dieta wegańska dla wielkomiejskiej lewicy, ewentualnie liberałów. Czy możliwy jest kompromis?

Na spór o konsumpcję mięsa, który stał się w Polsce kluczową sprawą polityczną, można jednak spojrzeć pragmatycznie i dojść do kompromisowego wniosku: Polakom na dłuższą metę opłaci się ograniczenie produkcji mięsa, gdyż jest ona nieefektywna pod względem energetycznym i silnie obciąża środowisko. Gdyby każdy choć trochę zredukował spożycie produktów pochodzenia zwierzęcego, ich produkcja mogłaby się stać mniej masowa, mniej intensywna i bardziej przyjazna naturze. Polska stałaby się lepsza i zdrowsza.

Nieudana konwersja

Tradycyjna polska dieta kojarzy się z mięsem, kapustą i ziemniakami, ale pod względem konsumpcji tego pierwszego wcale nie przodujemy. Według oksfordzkiego serwisu Our World in Data przeciętne roczne spożycie mięsa w Polsce to 84 kg na głowę. W Brazylii – 100 kg, a w słynącej z wołowiny Argentynie 110 kg. Bardzo dużo mięsa konsumuje się także na południu Europy i w Ameryce Północnej. Hiszpanie w ciągu roku jedzą go 106 kg na osobę, natomiast Amerykanie prawie 130 kg. Nie jesteśmy więc rekordzistami, choć wyprzedzamy pod tym względem wiele państw UE. Niemcy konsumują 76 kg mięsa na głowę, Belgowie 61 kg, a Holendrzy zaledwie 52 kg *per capita*.

– W państwach Europy Zachodniej występuje dziś trend odchodzenia od mięsa. Tamtejsi konsumenci oczekują poprawy dobrostanu zwierząt, więc producenci coraz częściej uwzględniają ten aspekt w swojej działalności – tłumaczy Justyna Zwolińska z Koalicji Żywa Ziemia i współautorka międzynarodowego projektu „Atlas Mięsa". – Skutkuje to m.in. rozwojem rynku substytutów roślinnych.

I nie tylko. Przestawienie gospodarki z mięsa na warzywa oznacza też wymierne korzyści finansowe, zwłaszcza w dzisiejszych czasach naznaczonych kryzysem energetycznym. – Wyprodukowanie jednej kalorii z produkcji zwierzęcej wymaga dziesięciokrotnie większych nakładów energetycznych niż w produkcji roślinnej – tłumaczy prof. Zbigniew Karaczun z SGGW, ekspert Koalicji Klimatycznej.

Produkcja żywności mięsnej pochłania nie tylko energię, ale też ziemię oraz bezcenną na wielu terenach wodę. Jak wskazuje prof. Karaczun, 80 proc. światowej ziemi rolnej przeznaczone jest na produkcję zwierzęcą, co daje nam jednak tylko 40 proc. białka i 20 proc. kalorii spożywanych przez ludzi na całym globie. Dla porównania: z jednego hektara pola można wyprodukować 250 kg białka pszenicy i zaledwie 10 kg białka z wołowiny.

Wytwarzanie produktów zwierzęcych angażuje na dodatek znaczną część produkcji rolnej; zwierzętom hodowlanym trzeba bowiem zapewnić paszę. Można więc powiedzieć, że zamieniamy kalorie pochodzące z paszy na kalorie w spożywanym mięsie. Problem w tym, że podczas tej konwersji tracimy większość tych pierwszych. Np. mleko od krów zapewnia nam ledwie jedną czwartą kalorii, które zawarte były w zużytej do jego produkcji paszy. Z kolei dzięki produkcji jajek otrzymujemy jedną piątą kalorii zawartych w zużytej paszy, a wieprzowiny – tylko 9 proc. Zdecydowanie najmniej efektywna energetycznie jest wołowina – mięso wołowe daje konsumentom zaledwie 2 proc. wartości kalorycznej, która wcześniej została spożyta przez zwierzęta.

Fermy zatruwające życie

Hodowle zwierząt są też zdecydowanie najbardziej obciążającym klimat sektorem rolnictwa. Bezpośrednie emisje z takich miejsc to efekt przede wszystkim fermentacji w układzie trawiennym zwierząt oraz gospodarki ich odchodami (hodujemy w Polsce kilkanaście milionów bydła i świń). Według „Atlasu Mięsa" tylko te dwa wymienione źródła odpowiadają za 52 proc. emisji gazów cieplarnianych z całego polskiego rolnictwa. W wyniku wyprodukowania kilograma wołowiny powstaje przeszło 60 razy więcej CO_2 niż w przypadku kilograma pszenicy. Inne rodzaje mięsa nie są aż ↦

↦ tak „klimatożerne", ale również odstają od produktów roślinnych czy nawet nabiału. Ślad węglowy kilograma wieprzowiny jest czterokrotnie wyższy niż kilograma ryżu oraz jajek i sześciokrotnie – od kilograma pomidorów.

– Trzeba jednak pamiętać, że produkcja zwierzęca jest ważną częścią rolnictwa. Model rolnictwa mieszanego, czyli roślinno-zwierzęcego, z punktu widzenia środowiska jest najlepszy – zaznacza prof. Karaczun. – Na jeden hektar powinny przypadać dwie duże sztuki zwierząt, gdyż to one produkują nawóz naturalny, którym można wzbogacać glebę.

– Problemem jest przede wszystkim przemysłowa produkcja mięsa – dodaje Justyna Zwolińska. – Jeżeli w dalszym ciągu 80-90 proc. mięsa będzie produkowane w takich warunkach chowu, transportu i uboju, jakie obecnie dominują, i w połączeniu z monokulturową produkcją pasz, to niedługo dojdziemy do granicy możliwości planety.

Pod względem produkcji mięsa Polska bez wątpienia jest jednym z ważniejszych graczy w Europie. W 2020 r. wyprodukowaliśmy 5,3 mln ton mięsa różnego rodzaju. Czyli prawie tyle samo, co znacznie od nas większa Francja. Wielka Brytania wytworzyła w tym czasie 4,2 mln ton, a Włosi tylko 3,5 mln. W UE znacznie więcej żywności mięsnej od Polski produkują tylko Niemcy i Hiszpania (po niecałe 8 mln ton). Oczywiście Polacy i Polki nie zjedliby tej góry żywności pochodzenia zwierzęcego, która co roku powstaje nad Wisłą. Większość trafia na eksport. Według danych z „Atlasu Mięsa" połowa wyprodukowanego w Polsce drobiu i aż 80 proc. wołowiny idzie za granicę.

Rolnictwo jako całość jest jedną z kluczowych gałęzi polskiej gospodarki. Zgodnie z danymi Ministerstwa Rolnictwa w zeszłym roku eksport polskich towarów rolno-spożywczych wyniósł rekordowe 48 mld euro, czyli ok. 225 mld złotych. Najwięcej pieniędzy przyniosła właśnie produkcja zwierzęca – drób, wołowina i produkty mleczne.

Niestety, zdecydowana większość zysków pochodzi z hodowli przemysłowej. Według danych stowarzyszenia Otwarte Klatki w ciągu ostatnich pięciu lat liczba pozwoleń na budowę instalacji do intensywnej produkcji zwierzęcej wzrosła w Polsce o 281 proc. Prawie trzy czwarte takich inwestycji jest skoncentrowane w pięciu województwach. W mazowieckim i wielkopolskim dominują fermy świń i drobiu, a w wielkopolskim dodatkowo jeszcze fermy zwierząt futerkowych. W całym kraju mamy 279 wielkotowarowych ferm świń, 2,2 tys. wielkich ferm drobiu oraz 645 gospodarstw utrzymujących zwierzęta futerkowe. Są one bardzo uciążliwe dla mieszkańców. Według danych Koalicji Społecznej Stop Fermom Przemysłowym w latach 2009-2019 w Polsce odbyło się 841 protestów przeciwko budowie lub funkcjonowaniu instalacji do hodowli przemysłowej.

> Ograniczenie o połowę spożycia mięsa zmniejszy ślad węglowy diety o jedną trzecią. Za to rezygnacja z wołowiny i nabiału **to redukcja śladu o przeszło połowę.**

– Rodzi się ogromny opór społeczny, i nic dziwnego. Dr Jerzy Kupiec, który bada jakość wód wokół ferm przemysłowych, informuje nas o wysokich przekroczeniach norm dla azotu i fosforu oraz pozostałościach antybiotyków i substancji hormonalnych. W jednym przypadku w wodzie znajdował się cyjanowodór. To wszystko spływa do wód, które pijemy i którymi podlewamy pola uprawne – zauważa Zwolińska.

Warto przypomnieć, że polskie hodowle są jednym z niechlubnych unijnych liderów wykorzystania antybiotyków – po Hiszpanii i Włoszech. Szacuje się, że w UE z powodu antybiotykooporności rocznie umiera ok. 33 tys. osób.

Dieta planetarna

– Gdybyśmy dobrze połączyli produkcję zwierzęcą cechującą się wysokim dobrostanem z odpowiednimi praktykami rolniczymi, to otrzymalibyśmy gałąź gospodarki, która najszybciej zmierza do neutralności klimatycznej – przekonuje Justyna Zwolińska.

Taka ekologiczna transformacja musiałaby się oprzeć na przejściu z modelu ilościowego na jakościowy. Poprawić należałoby standardy traktowania zwierząt oraz ograniczyć negatywny wpływ hodowli na jakość życia społeczności lokalnych. Siłą rzeczy po przyjęciu modelu jakościowego wielkość produkcji mięsa na pewno by spadła. Bez korekty diety i tak się więc nie obejdzie.

– Nie da się utrzymać diety z taką ilością mięsa jak obecnie. Globalne środowisko tego nie wytrzyma – przekonuje prof. Zbigniew Karaczun.

Nie chodzi jednak o to, żeby wszyscy ludzie w Polsce zostali zmuszeni do przejścia na weganizm. Potrzebna jest bardziej korekta nawyków żywieniowych. Już samo ograniczenie spożycia mięsa o połowę mogłoby zmniejszyć ślad węglowy diety o jedną trzecią. Za to rezygnacja z wołowiny (i zastąpienie jej wieprzowiną i drobiem) oraz nabiału mogłaby zredukować ślad węglowy diety nawet o przeszło połowę.

W 2019 r. Komisja EAT-Lancet opracowała tzw. dietę planetarną, której założeniem jest ograniczenie wpływu produkcji rolno-spożywczej na zmiany klimatu. Opiera się na spożyciu większej ilości warzyw, ale też ryb i orzechów. Zakłada również umiarkowane spożycie drobiu i jaj oraz możliwie daleko idące zmniejszenie konsumpcji mięsa czerwonego (do jednego razu w tygodniu).

Wbrew pozorom idea ograniczania spożywania mięsa jest rozumiana przez sporą część polskiego społeczeństwa. Według badania przeprowadzonego w 2021 r. dla „Atlasu Mięsa" na grupie 1,3 tys. Polek i Polaków jedna trzecia społeczeństwa już ogranicza konsumpcję żywności mięsnej, a 8 proc. zrezygnowało z niej zupełnie. Największy odsetek takich osób znajdziemy w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców i wśród ludzi deklarujących światopogląd lewicowy – to jedyna wyszczególniona grupa, w której osoby jedzące mięso bez ograniczeń są w mniejszości. Z drugiej strony musimy pamiętać, że wciąż ponad połowa mieszkańców Polski nie wprowadziła żadnych zmian w swojej diecie w tym zakresie.

Świadomość konieczności korekty diety oraz transformacji produkcji zwierzęcej będzie zapewne się zwiększać. Dowodzi tego chociażby szybko rosnący rynek roślinnych zamienników mięsa. Pytanie tylko, czy ta zmiana społeczna dotrze do osób dzierżących w Polsce władzę, to one kształtują przecież kierunki rozwoju naszej gospodarki.

© PIOTR WÓJCIK

TOMASZ

Stawiszyński:
Dwa reżimy

Dwa reżimy bezlitośnie uciskają dziś znaczną część świata mediów, degradują jego jakość i morale, rozmontowują dziennikarski etos, niszczą resztki zaufania, jakie jeszcze do siebie w tych mrocznych i skomplikowanych czasach mamy. Reżim rynku i reżim tożsamości. O każdym z nich wiele już napisano, każdy na wiele rozmaitych sposobów zdiagnozowano i prześwietlono. Nie zmienia to faktu, że obie te formy ucisku nie tylko wciąż dominują, ale metodycznie rozszerzają pole swojego wpływu.

Pierwszy reżim – rynkowy – podporządkowuje medialną działalność logice zysku. A zatem nie merytoryczna wartość, nie (jakkolwiek staroświecko to brzmi) misja – np. edukacyjna czy kontrolna wobec władzy politycznej i biznesu – w takim ujęciu się liczą, lecz właśnie pieniądze. Każdy, kto w ciągu, dajmy na to, ostatniej dekady przyglądał się polskim mediom z bliska, zna to dobrze: cięcia, redukcje, pogoń za sensacją. I wypowiadany wprost bądź też sugestywnie dawany do zrozumienia imperatyw – wszystko musi w pierwszej kolejności zarabiać, w drugiej zarabiać, a w trzeciej zarabiać.

Drugi reżim – tożsamościowy – podporządkowuje medialną działalność logice wojny politycznej i/lub światopoglądowej. Fundamentalnym zadaniem mediów jest w takim układzie kształtowanie przestrzeni publicznej zgodnie z interesem tych opcji politycznych, z którymi dane media związane są nicią sympatii albo finansowej zależności. Istotnym, jeśli nie najważniejszym – zwłaszcza w epoce wirtualnej – tego aspektem jest oczywiście aktywne, żywiołowe zwalczanie przeciwników, demonizowanie ich i zohydzanie.

Nietrudno się zorientować, jak dramatyczne skutki może czy wręcz musi powodować połączone oddziaływanie tych dwóch reżimów. Po prostu tak sformatowana przestrzeń medialna przestaje być (z grubsza, bo istnieją tu wyjątki i zróżnicowania) polem realnej debaty, niechby i ostrej, ale zachowującej elementarne standardy. Staje się natomiast polem walki, niczym właściwie, poza ślepą wolą zwycięstwa, nieuregulowanej. Walka jest tym, co najpełniej zadowala oba reżimy, najpełniej syci je i satysfakcjonuje. Dlaczego? Z dwóch co najmniej powodów. *Primo* – przemoc świetnie się sprzedaje, nic wszak nie propaguje się lepiej w mediach społecznościowych niż posty wyrażające agresję, niechęć, pogardę, oburzenie albo wściekłość (istnieją na ten temat odpowiednie badania). *Secundo* – przemoc doskonale agreguje silne emocje, konsoliduje jednych przeciwko drugim, mobilizuje elektoraty, utwardza podziały i uwyraźnia linie demarkacyjne.

Do wielu niepokojących i destrukcyjnych efektów powyższego stanu rzeczy, o których już nie raz tu pisałem, dochodzi jeszcze jedna, specyficzna i często niedoceniana jakość czy raczej kompozycja jakości. A mianowicie: nieuważność, pośpiech, brak tolerancji na niuanse. Cóż, takie są realia. Gwałtowne afekty potrzebują błyskawicznych ekspresji, intensywne potrzeby – natychmiastowych zaspokojeń. Konkurencja nie śpi, informacja rozchodzi się po sieci z prędkością światła, musisz być pierwszy, musisz wyprzedzić innych. Nie ma więc czasu na zastanowienie, nie ma czasu na dywagacje, nie ma czasu na długotrwałą, mozolną, drobiazgową pracę nad materiałem. Dla materiałów zaś, które wskutek tej długotrwałej, mozolnej, drobiazgowej pracy mogłyby powstać, i tak nie byłoby miejsca. Żeby oba reżimy czuły się nakarmione, wizja świata propagowana w mediach – w szczególności zaś wizja przeciwników albo w ogóle „innych" – nie może wywoływać dysonansu. Musi być łatwa i gładko przyswajalna, czyli radykalnie uproszczona. Schemat uproszczenia jest oczywisty i wielokrotnie sprawdzony w praktyce: idealizacja „naszych" i karykaturalizacja „nie naszych".

Wedle tego właśnie przepisu wielkie medialne machiny – tym większe, im mocniej wspierane publiczną infrastrukturą – dzień w dzień, godzina po godzinie, minuta po minucie produkują obraz świata, którego wielu nie potrafi niestety odróżnić od świata faktycznego. Bywa niekiedy, że w poczuciu absolutnej i niekwestionowanej słuszności własnych postaw i działań, w pośpiechu, bez wyobraźni, a więc i bez współczucia, machiny te porywają za sobą żywych ludzi, wchłaniają ich i zamieniają w wydajne paliwo. Owszem, natychmiastowe efekty są w takich przypadkach gwarantowane, nic tak nie zapewnia sukcesu jak uwaga ogniskowana na konkretnych osobach. Tyle że – czego w ferworze tej czy innej politycznej walki, tej czy innej sprzedażowej kampanii się nie widzi – realia zazwyczaj niewiele mają wspólnego z tymi medialnie kolportowanymi wizerunkami. Kiedy więc czyjeś życie wywleka się na publiczny widok i czyni zeń przedmiot w rękach tłumu, wydarzają się rzeczy nieodwracalne. Jeśli zaś dotyka to dziecka, nastolatka, kogoś doświadczonego ciężką traumą, z kogo nagle czyni się obiekt do zbierania lajków i udostępnień oraz stawkę w brutalnym i bezwzględnym politycznym sporze, wówczas dochodzi do tragedii.

Problem w tym tylko, że choć zdarzają się takie tragedie, to szybko o nich zapominamy. I wszystko w najlepsze trwa dalej, a dwa reżimy wciąż umacniają swe władztwo. ©

POŻEGNANIE

Piotrowi Urbańczykowi

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Taty

składają

Przyjaciele z Centrum Kopernika
i „Tygodnika Powszechnego"

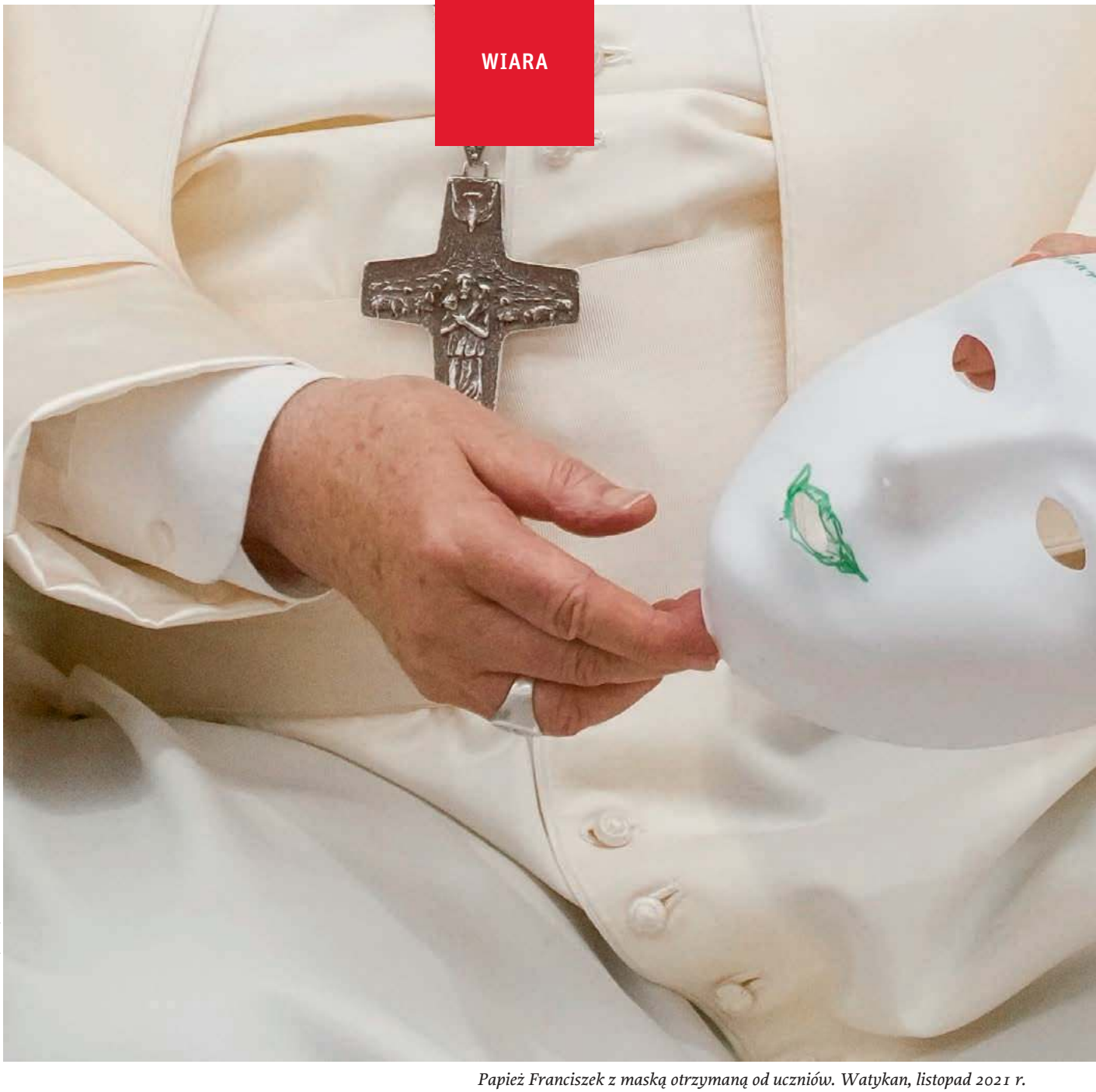

GREGORIO BORGIA / AP / EAST NEWS

Papież Franciszek z maską otrzymaną od uczniów. Watykan, listopad 2021 r.

KREMLOWSKI ŁĄCZNIK

Kim jest Leonid Sewastianow, który ma swobodny dostęp do papieża i krąży między Watykanem a Moskwą? I dlaczego Franciszek powtarza jego wypowiedzi?

EDWARD AUGUSTYN

Wszystkie strony muszą wstrzymać ofensywę i usiąść do stołu. Nie mogą przyjmować broni od innych krajów. Ochrona życia i zdrowia obywateli jest głównym celem państwa i nic nie jest warte ich poświęcania. Rosja, Ukraina i Europa są integralną częścią jednego świata – dla wszystkich".

To fragment tzw. „Pokojowego planu Franciszka", który dwa tygodnie temu przedstawił Leonid Sewastianow, prezydent Międzynarodowej Unii Starowierców, powołując się na rozmowę z papieżem. Komentatorzy zauważają, że większa część apelu to słowa, które Franciszek wielokrotnie w ostatnim roku powtarzał (tekst kończy się cytatem z Dostojewskiego: „Każdej wojnie winni są wszyscy"). Nie wykluczają, że „plan" może być manipulacją na zlecenie Kremla. Tyle że Sewastianow jest osobą, która często – poza protokołem – kontaktuje się z papieżem i bywa w Domu św. Marty. Rosyjskie media nazywają go łącznikiem między Moskwą a Watykanem. I mało kto zastanawia się, kim jest naprawdę.

Wiadomości z pierwszej ręki

Elektryzujących informacji na temat słów, inicjatyw i planów papieża, którymi Sewastianow karmił agencje prasowe, głównie rosyjskie, było więcej.

W sierpniu 2022 r. zapewniał, że papież chciałby odwiedzić Moskwę (Sobór Wniebowzięcia na Kremlu oraz cerkiew św. Marcina na placu Tagańskim) i Petersburg (przejść śladami Dostojewskiego). Kilka tygodni później plany Franciszka wyglądały już inaczej: „Przyjedzie do Moskwy i do Donbasu, a stamtąd do Kijowa. W Doniecku, jeśli będzie taka możliwość, odprawi nabożeństwo żałobne w Alei Aniołów i spotka się z rodzicami poległych. Chce, by pokój został podpisany na terytorium byłej Ukraińskiej Republiki Radzieckiej" – relacjonował Sewastianow. Dodając: „Powiedział mi: nie przejdę na emeryturę, dopóki nie odwiedzę Rosji".

W październiku ogłosił, że papież zaprosił do Watykanu prezydentów Putina i Zełenskiego, a także planuje zorganizowanie „okrągłego stołu", przy którym spotkaliby się prezydenci Biden, Putin, Zełenski, Xi Jinping i przedstawiciele państw NATO.

W rosyjskich mediach tłumaczył też niezręczne wypowiedzi Franciszka – gdy ten nazwał patriarchę Cyryla „ministrantem Putina" albo oskarżył Czeczenów i Buriatów o okrucieństwa: „To była figura retoryczna. Franciszek uważa, że jego słowa zostały źle zinterpretowane. Zawsze podkreśla, że Rosja jest integralną częścią Europy, a naród rosyjski wielkim narodem połączonym z Europą".

Całkiem niedawno przekazał informację, że podczas jesiennej podróży do Mongolii papież chciałby zatrzymać się we Władywostoku, by zobaczyć hodowlę lampartów amurskich, a zwłaszcza kota, którego nazwano Martin Fierro, ku czci bohatera epopei narodowej Argentyny. Jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało, w świat poszła wiadomość, że Franciszek postawi wreszcie nogę na rosyjskiej ziemi, o czym marzyli Jan Paweł II i Benedykt XVI, oraz spotka się władzami państwa i Cerkwi, na czym z kolei jemu bardzo zależy.

Nikt nic nie wie

O częstych kontaktach Sewastianowa z papieżem świadczą zdjęcia, które prezydent starowierców publikuje w mediach społecznościowych, jak też odręczny list, który otrzymał od Franciszka: „Drogi bracie, bardzo dziękuję za Twój e-mail. Rozmawiałem z ambasadorem Rosji i powiedziałem mu, że jestem gotów pojechać do Moskwy. Mam wolę pracy na rzecz pokoju. Modlę się za ciebie i za Swietłanę. Proszę, módl się za mnie. Niech Cię Pan błogosławi, a Matka Boża strzeże".

Wspomniana Swietłana Kasjanowa jest żoną Leonida, śpiewaczką, której papież lubi słuchać i którą w 2019 r. odznaczył orderem Świętego Sylwestra za wybitne osiągnięcia w sztuce i promocję wartości chrześcijańskich. Dwa lata później artystka odwdzięczyła mu się albumem „Fratelli tutti".

W jaki sposób uzyskali tak łatwy dostęp do Franciszka? O to i o autentyczność przekazywanych przez Sewastianowa papieskich wypowiedzi zapytałem trzy watykańskie instytucje, które takie informacje mieć powinny: departament ds. relacji z państwami Sekretariatu Stanu, Dykasterię ds. Promocji Jedności Chrześcijan i biuro prasowe Watykanu. Od żadnej nie otrzymałem odpowiedzi.

W prywatnej rozmowie telefonicznej osoba blisko związana z jedną z dwóch wspomnianych dykasterii powiedziała: „Proszę się nie dziwić milczeniu. Nie wiem, czy abp Gallagher, kard. Koch albo Matteo Bruni, rzecznik prasowy Watykanu, są w stanie stwierdzić, czy słowa pana Sewastianowa są prawdziwe, albo ile razy i o czym ojciec święty z nim rozmawiał. Do papieża, jak wiadomo, trafiają różni ludzie, różnymi sposobami".

Franciszek znany jest z tego, że przyjmuje własnych gości poza protokołem i często ma większe zaufanie do tego, co mówią, niż do informacji od swoich służb ↦

↦ (zwłaszcza odkąd zauważył, że go zwodzą, a nawet okłamują – jak w przypadku afery nadużyć seksualnych w Chile). Większość jego rozmówców zachowuje dyskrecję i nie upublicznia treści prywatnych rozmów. Choć zdarzają się wyjątki. Najbardziej znanym był Eugenio Scalfari, lewicowy dziennikarz i polityk, założyciel ulubionej gazety Franciszka „Repubblica" (zmarł w lipcu ub. roku). Każde jego odwiedziny w Domu św. Marty kończyły się sensacyjnym „wywiadem", publikowanym następnego dnia w gazecie. Scalfari nie ukrywał, że rozmów z papieżem nie nagrywał, tylko odtwarzał z pamięci. Biuro prasowe Watykanu zareagowało tylko raz – zaprzeczając, by papież kwestionował bóstwo Jezusa Chrystusa, jak napisał dziennikarz.

Teraz sytuacja jest kłopotliwa z powodów dyplomatycznych, nie dogmatycznych. Można mieć zresztą wątpliwości, czy wspomniane instytucje wiedzą, kim naprawdę jest prezydent rosyjskich starowierców. Gdy mojemu rozmówcy streściłem zebrane informacje, zasugerował: „Najlepiej, jakby im pan przesłał wszystko, co udało się ustalić. Na pewno nie zaszkodzi".

Tylko papież mógłby zaprzeczyć przypisywanym mu wypowiedziom. Ale tego nie robi i najwyraźniej nikt nie śmie go o to zapytać. Zwłaszcza że wszyscy uważają je za możliwe.

Całowanie pierścienia

Leonid Sewastianow (w mediach społecznościowych używający także nazwiska Dawid Nataszyn) ma 45 lat. Urodził się w Rostowie nad Donem, w znanej rodzinie starowierców. Jego brat, Joan, jest księdzem, rektorem katedry w rodzinnym mieście. Dwaj pozostali bracia, Konstantyn i Dionizos, oraz siostra Anna, prowadzą działalność biznesową w Moskwie i na Krymie, gdzie po 2015 r. zarejestrowali większość swoich firm, zajmujących się produkcją betonu, budownictwem, hodowlą i połowem krewetek, gastronomią i hotelarstwem.

Współudziałowcem jest także mąż Anny, Robert Stubbline, Amerykanin od 25 lat mieszkający w Moskwie, wiceprezes firmy informatycznej Yandex, zwanej „rosyjskim google'em", bo stworzyła i zarządza największą w tym kraju wyszukiwarką internetową. Jak mówi mi Piotr Żochowski, który w Ośrodku Studiów Wschodnich zajmuje się analizowaniem systemu bezpieczeństwa wewnętrznego Federacji Rosyjskiej, taka działalność wymaga odpowiednich licencji, m.in. od służb specjalnych: – Branża informatyczna ma strategiczne znaczenie z punktu widzenia autorytarnego państwa. Z tego względu duże firmy, zajmujące się świadczeniem usług cyfrowych, nie mogą pozostawać poza kontrolą władz federalnych.

Franciszek często przyjmuje własnych gości poza protokołem

i miewa większe zaufanie do tego, co mówią, niż do informacji od swoich służb.

Wróćmy jednak do Leonida. Gdy miał 17 lat, w 1995 r. wstąpił do seminarium duchownego w Moskwie. Po czterech latach studiów metropolita Cyryl – dziś patriarcha Moskwy i Wszechrusi, a wtedy szef departamentu spraw zewnętrznych prawosławnej Cerkwi – wysłał go do Rzymu, na Papieski Uniwersytet Gregoriański, gdzie przez trzy lata Sewastianow studiował filozofię moralną, a następnie do Waszyngtonu, na Uniwersytet Georgetown, gdzie zgłębiał stosunki międzynarodowe. Po powrocie do Rosji został członkiem zarządu firmy Protec, należącej do farmaceutycznego koncernu oligarchy Wadima Jakunina, jednego z najbogatszych Rosjan (123. miejsce na liście „Forbesa" w 2021 r.).

Nie zaprzestał też współpracy z patriarchatem moskiewskim – był członkiem stałym komisji starowierców oraz bliskim współpracownikiem nowego szefa departamentu spraw zewnętrznych, metropolity Hilariona. W 2009 r. założył, wraz z Hilarionem i Jakuninem, Fundację św. Grzegorza Teologa. Jej pierwszy program – „Fundusz dla życia" – przeciwstawiający się aborcji, pochłonął 50 mln dolarów, ofiarowanych przez farmaceutycznego oligarchę.

W 2011 r. Leonid Sewastianow był członkiem delegacji patriarchatu na spotkanie z Benedyktem XVI. Na filmie z Castel Gandolfo słychać, jak Hilarion przedstawia go jako swojego asystenta, choć oficjalnie nie pełnił żadnej funkcji. Na tym samym filmie widać, jak młody starowierca, jako jedyny z delegacji, całuje papieża w pierścień, za co został przez współwyznawców uznany za heretyka.

Po śmierci Benedykta opowiadał w rosyjskiej telewizji, że jego znajomość z papieżem emerytem sięga czasów studiów na Gregorianie, a ich ostatnie spotkanie miało miejsce w 2018 r., w watykańskim klasztorze Mater Ecclesiae. W czasie rozmowy Benedykt miał odnieść się do przepowiedni fatimskiej:

„Rozmawialiśmy przez około godzinę, a on zaczął prorokować o Rosji" – opowiadał Sewastianow. „Mówił, że jest takie proroctwo Matki Bożej, że Rosja musi być wielka, że Zachód coraz bardziej oddala się od chrześcijaństwa, że Rosja będzie musiała uchronić go przed utratą wiary". Benedykt XVI miał też chwalić Moskwę za to, że „w ciągu 30 lat dokonała ogromnej ewolucji w przejściu od bezbożnictwa do chrześcijaństwa". I wyrazić przekonanie, że „nowe pokolenie polityków wypełni fatimskie proroctwo".

Osadnicy z imperium

Jak to możliwe, że starowiercy, którzy każdy kontakt z katolikami uważają za świętokradztwo, wybrali na swego prezydenta człowieka, który pocałował w rękę „rzymskiego papę"? Wielu z nich twierdzi, że unia, którą Sewastianow zarejestrował w 2019 r., nikogo nie reprezentuje – jest organizacją fasadową i propagandową, pomyślaną jako trampolina dla samozwańczego prezesa przed zbliżającymi się wyborami do Dumy.

By dostrzec paradoks tej sytuacji, wystarczy zestawić poglądy tej grupy wiernych – największych tradycjonalistów wśród ortodoksów – z wypowiedziami jej prezydenta, które są mieszaniną liberalizmu, ekumenizmu i pseudonaukowych teorii.

Starowiercy, zwani też staroobrzędowcami, odłączyli się od głównego nurtu prawosławnej Cerkwi w XVII w., odrzucając ówczesną reformę liturgii. Przez ponad dwieście lat uważani byli za heretyków, a jedynym ratunkiem przed prześladowaniami było dla nich osadnictwo na terenach oddalonych od skupisk ludzkich, gdzie zakładali własne kolonie. Dzięki temu przetrwali, a nawet powiększyli swą liczbę: w 1905 r., gdy zostali wreszcie uznani przez carskie władze,

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE / ZRZUT EKRANU

Leonid Sewastianow z żoną i córką w odwiedzinach u papieża. Watykan, 2018 r.

było ich blisko 20 mln. Wolnością nie cieszyli się długo – po rewolucji bolszewickiej stracili majątki (większość z nich była „kułakami") i zostali zmuszeni do pracy w kołchozach. Zachowali wiarę, ale ich liczba spadła do 3 mln.

Często uważani są – także przez samych prawosławnych – za sektę zamkniętą na świat, który jest dla nich królestwem szatana. Szczególną niechęć czują do Zachodu i szerzącej się tam – ich zdaniem - zgnilizny moralnej. Odrzucają nie tylko aborcję, *in vitro*, małżeństwa homoseksualne i środki antykoncepcyjne (co nie odróżniałoby ich od większości wyznawców prawosławia i dużej części katolików), ale też współczesną modę czy nawet adopcję, którą uważają za pretekst do odbierania rosyjskim rodzinom dzieci, albo walkę z przemocą domową, która jest według nich przykrywką do ingerencji państwa w instytucję tradycyjnej rodziny.

Od blisko dekady cieszą się szczególną sympatią Kremla. W 2009 r. rząd opracował plan sprowadzania wyznawców „starej wiary" z zagranicy (głównie z państw bałtyckich, Kaukazu, Rumunii, USA, Kanady i Brazylii). Ich powrót miałby znaczenie nie tylko propagandowe, ale też umożliwiłby rozwój rolnictwa na Dalekim Wschodzie, gdzie starowiercy – najczęściej bogaci farmerzy – mieliby się osiedlać.

Gdy w 2017 r. rozpoczęto przygotowania do 400-lecia urodzin protopopa Awwakuma, przywódcy buntu, starowiercy lojalni wobec władzy zaczęli dostawać wielomilionowe dotacje. Pieniądze wykładał zarówno rząd (grant prezydenta Putina na stworzenie biblioteki cyfrowej wyniósł 6,5 mln rubli), jak i państwowe firmy (specjalną fundację wspierającą staroobrzędowców stworzyło konsorcjum Rostec, zajmujące się nowymi technologiami obronnymi).

Watykan – państwo idealne

„Jest dziś przekonanie, że starowierca powinien myśleć tylko o ratowaniu swej duszy: modlić się, pościć, chodzić na nabożeństwa. Ale 100 lat temu nasi ojcowie myśleli w zupełnie inny sposób. Byli aktywni w społeczeństwie, we wszystkich dziedzinach życia, muzyce, sztuce, literaturze, nauce, biznesie – należało do nich 60 proc. narodowego kapitału. Także w polityce i życiu publicznym: tworzyli swoje partie, publikowali gazety, czasopisma, wspierali świeckie media, które odzwierciedlały ich aspiracje i zainteresowania" – mówił Leonid Sewastianow w wywiadzie promującym jego książkę „Paralelna historia Rosji, czyli wiara moich ojców", w której próbuje zmienić opinię o starowiercach.

Według niego tradycja nie musi być ciężarem, ale bogactwem – mówi o jedności w różnorodności, ekumenizmie, braterstwie wszystkich ludzi, świecie bez granic, podkreśla rolę edukacji.

Watykan jest dla niego przykładem państwa niemal idealnego. „To najtrwalsza w dziejach świata monarchia, bo papież jest nie tylko głową Kościoła, ale i państwa" – mówił w 2019 r. „Nie byłoby źle, gdybyśmy mieli podobny system: osoba, która całe życie służy państwu, jest bohaterem Rosji albo pracy, mogłaby otrzymać status elektora i prawo wyboru na monarchę. Tak jak kardynałowie w Watykanie. Dla Rosji, kraju ogromnego, wielonarodowego i wielokulturowego, monarchia jest po prostu konieczna".

To nie koniec osobliwych – jak na starowiercę – poglądów Sewastianowa. Jest pacyfistą, ale zwolennikiem prawa posiadania broni. Sprzeciwia się aborcji, ale popiera sztuczną prokreację i antykoncepcję. W 2015 r. twierdził, że zabójstwo Borysa Niemcowa było spiskiem zagranicznych służb, które chciały zdyskredytować i zdestabilizować Rosję. W 2020 r. chwalił pandemię, dzięki której ludzie zrozumieli, „że dla Boga wirus jest równie ważny jak człowiek, a wcielenie Jezusa uświęciło również wirusy i bakterie, bo ciało Zbawiciela składało się przecież w 10 proc. z drobnoustrojów".

W 2021 r. napisał wstęp do angielskiego wydania książki „Historia. Fikcja czy nauka" Anatolija Fomenki i Gleba Nosowskiego, matematyków i akademików, twórców „nowej chronologii" – pseudonaukowej teorii, kwestionującej wiarygodność źródeł historycznych. Fomenko i Nosowski doszli do wniosku, opierając się na swojej matematycznej metodzie, że Jezus urodził się w 1152 r. nad Morzem Czarnym, a ukrzyżowano ↦

↦ go 33 lata później nad Bosforem. Sewastianow pisze, że nie przesądza o prawdziwości tej teorii, ale uważa ją za ważną doktrynę naukową, zmieniającą myślenie o czasie i życiu, zmuszającą do zrewidowania utrwalonych schematów myślenia. Gleb Nosowski jest jego przyjacielem i mentorem, współzałożycielem unii starowierców.

Również w 2021 r. Sewastianow zaangażował się w inicjatywę budowy na Łubiance pomnika Iwana III, wielkiego księcia moskiewskiego, którego uważa za symbol jedności kultury rosyjskiej, bizantyjskiej i europejskiej. Dodajmy tylko, że głównym celem polityki Iwana III było zjednoczenie ziem ruskich, zawłaszczenie spuścizny Rusi Kijowskiej i walka z państwem polsko-litewskim. Wielki książę jest też uznawany za twórcę rosyjskich służb specjalnych.

Qui pro quo

Piotr Żochowski z OSW zauważa, że wiele faktów z życiorysu Sewastianowa i jego zagraniczna ścieżka edukacyjna, zwłaszcza studia w USA, stanowią mocną poszlakę, że prezes światowych starowierców „mógł być wspierany przez służby specjalne, a bez wątpienia znalazł się w zainteresowaniu wywiadu".

– Działania inspiracyjne, np. nawiązywanie kontaktów z opiniotwórczymi osobami za granicą, tworzenie platformy „porozumienia" i podtrzymywanie sympatii do Rosji, to obszary działania typowe dla rosyjskich służb specjalnych. Aktywność Sewastianowa budzi podejrzenie, że nie jest działaniem jedynie z własnej woli.

> Przedstawianie propozycji rozmów pokojowych pod egidą Watykanu, ale na rosyjskich warunkach, **to realizacja celów politycznych Moskwy.**

Ekspert dodaje, że wysyłanie fałszywych sygnałów o możliwości prowadzenia rozmów z Rosją i zakończenia wojny to „dezinformacyjna inicjatywa Kremla". A przedstawianie propozycji rozmów pokojowych, pod egidą Watykanu, ale na rosyjskich warunkach, to realizacja celów politycznych Moskwy.

Biorąc pod uwagę wieloletnie związki Sewastianowa z metropolitą Hilarionem, można by też postawić hipotezę, że prezydent starowierców jest emisariuszem postępowej frakcji patriarchatu – ekumenicznej i prozachodniej. I że w rozmowach z papieżem reprezentuje „dobrego Hilariona", który kiedyś zastąpi „złego Cyryla".

Katarzyna Chawryło, analityczka Ośrodka Studiów Wschodnich zajmująca się prawosławiem, radzi podchodzić do takich teorii ostrożnie: – Cerkiew rosyjska jest dziś lustrzanym odbiciem tego, co dzieje się w systemie państwowym. Obowiązuje cenzura i zasada całkowitej lojalności. Wszystkie głosy opozycyjne są uciszane. Jeśli zdarzają się pojedynczy hierarchowie, którzy się nie zgadzają z Cyrylem, są od razu dyscyplinowani, tracą stanowiska i parafie. Niedawne odwołanie Hilariona i odesłanie na Węgry wiele osób uznało za degradację. Tak sugerowały zresztą jego własne komentarze. Owszem, zachowywał dystans wobec wypowiedzi Cyryla, a jego zaangażowanie w wojenną propagandę nie było intensywne. Może być też jednak tak, że został wysłany na Węgry, by realizować inne ważne z punktu widzenia Moskwy zadania. Patriarcha i Kreml są na pewno wdzięczni Węgrom za oponowanie wobec europejskich sankcji, w tym za sprzeciw wobec objęcia nimi Cyryla. Na podstawie dostępnych dziś informacji niewiele można powiedzieć w sposób pewny, bo uwarunkowania decyzji patriarchy nie są wiedzą publiczną, podobnie jak procesy decyzyjne na Kremlu.

Ekspertka przyznaje, że jeszcze kilka lat temu uważano Hilariona, który ma dziś 57 lat, za osobę „numer dwa" w patriarchacie moskiewskim i potencjalnego następcę Cyryla (lat 77). A także za człowieka wyróżniającego się na tle cerkiewnej nomenklatury – wszechstronnie wykształconego, mówiącego biegle kilkoma zachodnimi językami, otaczającego się kręgiem świeckich intelektualistów.

W tym kontekście ciekawie jawi się kwietniowa podróż papieża do Budapesztu. Rzadko się zdarza, by Franciszek odwiedzał jakiś kraj dwukrotnie w ciągu dwóch lat. Spotkania z Hilarionem nie ma w programie, ale można się spodziewać, że do niego dojdzie.

Kim więc jest Leonid Sewastianow? Agentem Kremla lub (i) patriarchatu czy po prostu mitomanem? Jego droga życiowa sugeruje, że w Watykanie nie pojawił się przypadkiem. By znaleźć się tak blisko papieża, mieć jego adres mailowy, numer telefonu komórkowego i wstęp do Domu św. Marty, nie wystarczy tylko sympatia czy zbieżność poglądów. Bo bez wątpienia o wielu sprawach – jak ekumenizm, stosunek do tradycji, powszechne braterstwo – obaj mówią tym samym językiem.

O wojnie w Ukrainie rosyjski starowierca również mówi to samo, co papież. Albo odwrotnie. Co akurat robi sporą różnicę.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Leonid Sewastianow nie odpowiedział na naszą prośbę o kontakt.

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 7 marca 2023 roku zmarł

prof. Władysław Findeisen

uczestnik Powstania Warszawskiego,
rektor Politechniki Warszawskiej (1981-1985),
przewodniczący Prymasowskiej Rady Społecznej (1986-1990),
senator I i II kadencji, kawaler Orderu Orła Białego,
Orderu Świętego Grzegorza Wielkiego i wielu innych odznaczeń.
Wspaniały Człowiek; Ojciec, Dziadek i Pradziadek.

Pogrążona w żałobie
Rodzina

Kiedy brak słów

KAROL TARNOWSKI:

Wzrastanie w świętości nie chroni przed mimowolną ślepotą. To się moim zdaniem przytrafiło Wojtyle.

ARTUR SPORNIAK: Jesteś wychowankiem Karola Wojtyły – jakie wrażenia po kolejnym odcinku z cyklu „Bielmo" Marcina Gutowskiego?

KAROL TARNOWSKI: Jeśli chodzi o Wojtyłę – mocne, ale nie sensacyjne. Owszem, sensacyjne, jeśli chodzi o Sapiehę. Jego kult był w mojej rodzinie również obecny.

W Waszej rodzinie nic o tym nie słyszeliście?

Nic. Był dla nas rzeczywiście Księciem Niezłomnym. Natomiast jeśli chodzi o kard. Wojtyłę, muszę powiedzieć, że przyjąłem dość spokojnie wiadomości o tym, że on wiedział, iż ma pedofilów, i że odsyłał ich od parafii do parafii. W świetle entuzjazmu tzw. środowiska, czyli bliskiego krakowskiego otoczenia Wojtyły, to wszystkie takie wiadomości są mało wiarygodnymi sensacjami. Bo łatwo nam było w czasach pontyfikatu zwalać wszystko co złe na Dziwisza, że blokował informację. Tymczasem – w świetle gruntownych badań – tu się już nie da na nikogo zwalić. Co do odsyłania do innych parafii – Wojtyła był częścią instytucji, w której tkwił, i był dzieckiem swego czasu. Prysł fałszywy mit o jego ponadhistoryczności – i to może być dla naiwnych i bezmyślnych pewnego rodzaju sensacja. Mit o tym, że był geniuszem, który przerósł swoją epokę i Kościół w Polsce – chociaż pod niektórymi względami rzeczywiście ją przerósł.

Na przykład?

Sprawa pedofilii nie unieważnia jego rewolucyjnych kroków w Kościele, takich jak wizyta w rzymskiej synagodze czy spotkanie międzyreligijne w Asyżu. Mamy okazję, by uświadomić sobie, że człowiek nie musi, i co więcej, nie może być z jednej bryły. Na człowieka ma wpływ wiele różnych doświadczeń i wiele oddziaływań. Zatem Wojtyła nie był jakimś nadludzkim herosem – był człowiekiem, a człowiek nie może przekroczyć swojej skończoności.

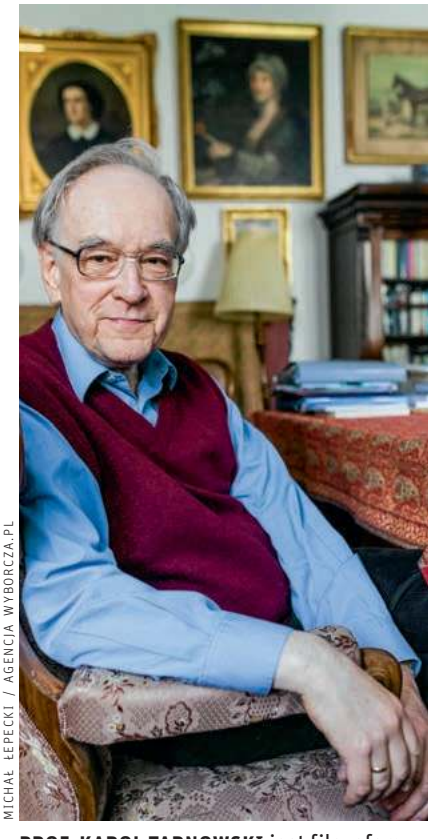

MICHAŁ LEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

PROF. KAROL TARNOWSKI jest filozofem, wykłada filozofię w UPJPII i UJ. Jest wychowankiem duszpasterstwa prowadzonego przez ks. Karola Wojtyłę.

Zło pedofilii nie jest dziejowe – pedofilia jest zła zawsze.

Ale uświadomienie sobie tego jest dziejowe. Wojtyła też w pewnym momencie zdał sobie sprawę, z czym ma do czynienia, i zaczął zaostrzać prawo kanoniczne, co okazywało się jednak niewystarczające.

W ten sposób jednak kard. Wojtyła jest współodpowiedzialny za krzywdzenie dzieci w kolejnych parafiach.

Otóż to! W pokazanych sprawach zachował się w sposób typowy dla systemu – właśnie nie wyjątkowy, zwracając uwagę głównie na los księży.

Już w Starym Testamencie Bóg upomina się o los sieroty, wdowy i cudzoziemca, czyli osób bezbronnych.

Niestety taka perspektywa nie funkcjonowała w instytucji Kościoła. Wojtyła bronił go z tego powodu, że w nim działa Duch Święty. Ale to jest fałszywa sakralizacja Kościoła i w pewnym sensie idolatria, o ile pod Kościołem rozumieć instytucję. Dlatego że Duch Święty wcale nie wieje w idealnym Kościele – wieje tam, gdzie chce. Także poza Kościołem. Niestety Wojtyła tkwił w tej sakralizacji widzialnego Kościoła, a wraz z tym popadał w rodzaj klerykalizmu. Co bynajmniej nie podważało jego przyjaźni ze świeckimi. To nie było jakieś szczególne umiłowanie kleru, ale myślę, że był przekonany, iż księża są bardziej immunizowani na zło dzięki święceniom niż pozostali ludzie. Jednocześnie panował komunizm i Wojtyle szczególnie zależało na tym, żeby obraz Kościoła jako takiego nie ucierpiał.

Fasada?

W jakimś sensie gra pozorów, która polegała na tym, że dla niego świętość Kościoła jest ponad wszystko i ona musi być podtrzymywana za wszelką cenę.

Dziś jesteśmy świadomi, że za cenę krzywdy bezbronnych.

To w dużej mierze wynika z braku kultury psychologicznej, którym charakteryzuje się Kościół – mam na myśli deficyty empatii, psychologicznej wiedzy, a także brak poczucia równości wszystkich wobec Boga. Ksiądz jako ksiądz nie jest ani odrobinę bliżej Boga niż każdy inny człowiek – zwłaszcza dziecko. Jak mówię, to są skutki fałszywej sakralizacji czy wręcz idolatrii Kościoła.

Święty papież propagował idolatrię wobec Kościoła?

Oczywiście to wydaje się kłócić ze świętością, ale jako filozof jestem może trochę bardziej świadomy dziejowych uwikłań osób i instytucji. Idolatrię teraz dostrzegamy z historycznej perspektywy. Wtedy taki był stan świadomości i nie wiem, czy znaleźliby się biskupi, którzy potrafili to przekroczyć. Wojtyła nie był w stanie się wyłamać. Za Heideggerem możemy powtórzyć, że zwłaszcza w Kościele „myśli się", jak należy myśleć, „robi się", jak się robi, i „mówi się", jak się mówi. ↦

↦ **Ks. Jacek Prusak tak komentuje obecną sytuację: „Ewidentnie Jan Paweł II przestaje być ikoną. Dla dużej grupy Polaków, którzy na nim zbudowali swoją tożsamość, był i jest kimś więcej niż tylko człowiekiem i więcej niż tylko papieżem. Teraz będzie czas na pewną żałobę w polskim społeczeństwie i Kościele". Ty czujesz potrzebę żałoby po przyjacielu?**

Zupełnie nie. Ponieważ dla mnie tzw. Wujek był kimś bliskim i ważnym. Rzeczywiście był przyjacielem i podziwiałem go jako intelektualistę i jako papieża także. Uważałem, że jest to duży kaliber człowieka. Ale nigdy nie popadałem w idolatrię. Nigdy nie miałem przekonania, że on się nie myli. Na przykład byłem przekonany, że jego teologię małżeństwa cechuje barak empatii i rzeczywistej znajomości natury ludzkiej.

W czym się to przejawiało?

Na przykład w tym, że był przekonany, iż stosunek małżeński jest jako taki z przeznaczenia aktem prokreacji, czyli uczestnictwem w dziele stworzenia, i że do tego ostatecznie seks służy. Przyjemność jest dodatkiem, który ma temu służyć – a nie przede wszystkim wzajemnej, intymnej miłości. Nie miał zrozumienia dla niuansów życia małżeńskiego, nie mówiąc o niezrozumieniu i empatii dla osób LGBT, ponieważ jego wizja była wyłącznie etyczno-teologiczna, a nie psychologiczna także. Owszem, był bardzo wrażliwy na kłopoty konkretnych ludzi, ale w swoim takim „powinnościowym" patrzeniu uważał, że zasada, iż seks służy prokreacji, jest fundamentem.

Gdy pytałeś Wojtyłę o sens kłopotów, które sprawia etyczny zakaz antykoncepcji, odsyłał Cię do spowiednika.

Mówił: „Całe życie pracowałem nad tą teorią, nie mogę jej zmienić". I radził: „Spróbujcie zmienić spowiednika".

Czyli to jednak empatycznie relatywizował. Jak poznałeś Wojtyłę?

Jako spowiednika u św. Floriana w Krakowie. Byłem wtedy studentem Akademii Muzycznej. Potem Wojtyła wciągnął mnie do środowiska wycieczkowego, z którym jeździł na różne wyprawy. Takie duszpasterstwo wędrujące było świetnym pomysłem.

Zorganizujmy petycję do Franciszka

– masowo podpisywaną – w sprawie utworzenia niezależnej komisji historyków i otwarcia archiwum krakowskiej kurii.

A jakim był spowiednikiem?

Znakomitym! Nakłaniał do myślenia – pomagał wyzwalać się z bezmyślnego odbioru rzeczywistości. Na pewno używał też argumentów teologicznych, ale mnie interesowało przede wszystkim, że po pierwsze mnie słuchał, a po wtóre, że mnie zmuszał do krytycznego podejścia do świata. I nie na zasadzie gotowych przepisów czy powinności, ale wskazując na obiektywne wartości. Był intelektualistą. Jego podpowiedzi odbierałem jako wyzwolenie. To nie był ksiądz, który przepisuje, zapisuje i podpisuje, tylko ktoś, kto zmusza do myślenia. To mi się szalenie podobało. Podczas tych naszych zbiorowych wycieczek miałem poczucie, że jest to naprawdę mądry człowiek.

Kiedyś w rozmowie o kimś dziwił się: jak to jest, że ludzie o skłonnościach religijnych jednocześnie mają problemy seksualne? Że to jest w jakiś sposób powiązane! Zaciekawiło go, że jest jakiś związek między popędem seksualnym a skłonnościami do mistycyzmu.

Religijność, zamiast uspokajać, wzmacnia seksualne problemy?

Że jest jakieś konieczne powiazanie między erosem ludzkim i erosem boskim.

Jakoś to wyjaśniał?

Nie. Sam nie wiedział i zastanawiał się, jak to jest. Pytał i to jest najważniejsze – miał odwagę pytać.

Ostatnio mnożą się przykłady przemocy seksualnej powiązanej z pseudomistycyzmem: polski dominikanin Paweł M., Jean Vanier, o. Thomas Philippe...

Tak, to okropne. Mam poczucie, że jest to też m.in. pochodna braku przejścia w Kościele katolickim przez doświadczenie oświecenia. Oświecenie przyczyniło się do uniwersalizacji wizji człowieka. Na pozór chrześcijaństwo – takie jest jego najgłębsze przesłanie – uniwersalizuje człowieka jako pochodzącego z ręki Boga. Stara się to pokazać ateista Alain Badiou w głośnej książce „Święty Paweł. Ustanowienie uniwersalizmu". Ale w rzeczywistości wcale tak nie jest, że człowiek jest widziany w chrześcijaństwie w sposób rzeczywiście uniwersalny – na przykład kobiety zawsze były gorzej traktowane. Zwyciężyło widzenie hierarchiczno-feudalne.

Szaleństwo obrony mitu bezbłędności Jana Pawła II za wszelką cenę już się rozpętuje. Jak przechodzić „żałobę" po papieżu?

Po pierwsze, przemyśleć dobrze, na czym polegała jego świętość. Nie chodzi o to, by ją teraz obalać. Ale trzeba uświadomić sobie, że świętość jest procesem, drogą. Nie jest statyczna. Może być tak, że ktoś dochodzi do świętości także poprzez „błędy i wypaczenia", bo jest po prostu człowiekiem jak inni. A przede wszystkim każdy pozostaje dzieckiem swojej epoki i swojej sytuacji społecznej, czyli także instytucji, której się służy. Wzrastanie w świętości nie chroni przed niedobrowolną, a może mimowolną ślepotą.

Współodpowiedzialność za krzywdzenie dzieci to coś więcej niż błąd.

Działanie jakoś jednak mniej czy bardziej nieświadome, wynikające z niedokształcenia. Ja też sobie z tego nie zdawałem sprawy, że najlżejsze zaniedbania w tej materii mogą mieć fatalne dla dziecka skutki. Nie przypuszczałem, że to może być taka straszna rana.

Jak jednak możliwe, że nikt nie pojechał do wsi Mutne, gdzie dziewczynki były w kaplicy gwałcone przez księdza katechetę, i nie przeprosił?

To więcej niż ślepota, to jakaś zatwardziałość, blokada sumienia – właściwie nie wiadomo, jak to określić.

To jest ten Kościół, który się powołuje na Jezusa i Ewangelię.

I jest pod tym względem do niczego, by nie powiedzieć mocniej... Jest to instytucja głęboko przeżarta żądzą władzy, pychą „bycia w prawdzie" i pseudoświę-

tości, która na funkcjonariuszy rzekomo spływa tylko dzięki samemu obrzędowi namaszczenia na kapłanów.

Chodzisz do kościoła?

Chodzę. Wierzę w to, że sakramenty działają – Eucharystia jest ważna. To, co się stało na początku i co legło u podstaw Kościoła, nie straciło na mocy i wartości. Poza tym jednak wiele mądrych rzeczy można usłyszeć na kazaniach, jeśli się chodzi do odpowiedniego kościoła. Jak włożysz w to wysiłek, znajdziesz sprzyjające okoliczności duchowego rozwoju także w Kościele. Tylko nie można być bezkrytycznym i trzeba poszukać. Młodzi coraz liczniej odchodzą, bo szybko się zniechęcają. To nie jest tak, że ten Kościół nic nie robi. Pomaga Ukrainie, działa na misjach.

Natomiast coś zasadniczo złego tkwi w samej strukturze, która po pierwsze jest sakralizowana. Po drugie, Kościół jest obciążony obowiązkiem celibatu. Być może celibat ma wartość, ale tylko jako zobowiązanie dobrowolne, a nie narzucane. Jako obowiązkowy staje się jednym z głównych czynników klerykalizacji Kościoła i kłopotów księży z własną seksualnością.

Wystarczyłoby, żeby księża przynajmniej na pół etatu pracowali w normalnych zawodach, a wtedy ich życie nie byłoby zależne tak całkowicie i patologicznie od biskupa.

Ksiądz jest niszczony z jednej strony przez celibat, z drugiej przez feudalne zależności. I to jest oczywiście do zmiany w Kościele. Bez takiej reformy Kościół się rozleci. Jak ona powinna w szczegółach przebiegać, tego nie wiem.

Jak młodzież ma nie odchodzić z Kościoła, gdy zamiast prawdziwie merytorycznych badań nad postępowaniem Karola Wojtyły abp Marek Jędraszewski (od którego takie badania zależą, bo ma klucz od kurialnego archiwum) dyskusję o Janie Pawle II określił jako „drugi zamach na papieża Polaka"?

Brak słów! Prawdę mówiąc, tego braku instynktu samozachowawczego zupełnie nie rozumiem. Tu nie tylko chodzi o samego abp. Jędraszewskiego. Słychać głosy innych hierarchów, na przykład przewodniczącego episkopatu abp. Stanisława Gądeckiego czy nawet abp. Grzegorza Rysia z Łodzi, którzy idą w zaparte i już rozstrzygnęli, jaka jest prawda o Janie Pawle II. Kościół hierarchiczny jest *a priori* nieufny względem nawet rzetelnych badań i śledztw, o ile mogą rzucić negatywne światło na instytucję. To jest wpychanie całego Kościoła w radiomaryjną perspektywę oblężonej twierdzy. Niczego dobrego z tego nie będzie.

> PiS już zaczął sprawę Wojtyły wykorzystywać politycznie, wiedząc, że ona silnie spolaryzuje Polaków. **W efekcie szykuje się kolejne polskie piekiełko.**

Tymczasem prosty przepis na obecny kryzys dała wychowanka Karola Wojtyły – Anna Karoń-Ostrowska: „Należy nie tyle bronić Jana Pawła II przed krytyką, ile dążyć do ujawnienia pełnej prawdy o jego wiedzy i działaniach dotyczących pedofilii w Kościele".

Całkowicie się z nią zgadzam. Tylko prawda i transparentność mogą nas uratować. Ponieważ Jędraszewskiemu nakazać cokolwiek może jedynie papież, powinniśmy zorganizować masowo podpisywaną przez świeckich petycję do Franciszka w sprawie utworzenia niezależnej komisji historyków i otwarcia archiwum krakowskiej kurii.

Oprócz mocnych działań papieża, w które nie wierzę, polski Kościół mógłby uratować antyklerykalny rząd, który przy pomocy prokuratury zająłby kościelne archiwa.

Tymczasem mamy PiS, który już zaczął sprawę Wojtyły wykorzystywać politycznie, wiedząc, że się ona świetnie do tego nadaje, bo silnie spolaryzuje Polaków. I w efekcie mamy polskie piekiełko, które będzie się w najbliższym czasie coraz bardziej podsycać.

Słyszałem, że nie zgodziłeś się tym razem wystąpić w najnowszym filmie Marcina Gutowskiego. Dlaczego?

Z powodu opinii mojego środowiska związanego z „Wujkiem" – Janem Pawłem II. Zapytałem mądrych ludzi z tego środowiska, co sądzą o udziale w tym filmie. Uważali, że da to paliwo dla wrogów Jana Pawła II. Przekonywali, żeby tego lepiej nie robić. Uznałem, że jeżeli rzeczywiście moje słowa mogą być wykorzystywane później do szczucia na Jana Pawła II, to nie będę tego robić.

Ale we wcześniejszym filmie Gutowskiego wziąłeś udział. Czy ten film był „szczuciem"?

Oczywiście, że nie był. Uznałem, że raz już powiedziałem, co wiedziałem i co uważam o całym problemie, i to wystarczy. Czułem, że wraz z kolejnym filmem napięcie wokół papieża będzie eskalować. Teraz jednak postanowiłem tutaj się wypowiedzieć, bo eskalacja i tak już nastąpiła, a „Tygodnik" jest dla wielu wiarygodny.

Nie zamierzałem ani nie zamierzam ukrywać swoich poglądów na temat papieża. Uważam, że musi się oddzielić jego rolę wielkiego męża stanu, który wpłynął na historię świata, także jego osobistą świętość, od jego roli najpierw przełożonego księży, a potem przełożonego biskupów, wśród których byli przestępcy – rządcy ludzkiej grzesznej instytucji. Teraz przeżywamy szok, bo żyliśmy w oparach idolatrii.

Osobiście oddzielam od tego pamięć o jego dobroci, wyrozumiałości i mądrości, których doświadczaliśmy. Nie zapominam także o jego wielkich tekstach pastoralnych i o dobroczynnym wpływie na ludzi na całym świecie. Niewątpliwie był człowiekiem Ewangelii. Był personalistą, dla którego Chrystus był centralną figurą. Jako filozof rozumiał też, że Bóg jest Bogiem także innych wyznań, stąd jego niezwykłe zaangażowanie ekumeniczne i międzyreligijne.

Jednocześnie zgodził się być ważnym trybem w tej grzesznej machinie kościelnej, przyczyniając się także do jej funkcjonowania poza Ewangelią.

Rzeczywiście, był jakoś niewolnikiem instytucji Kościoła. Uczmy się zatem na błędach wielkich! Jesteśmy przed rewolucją moralno-społeczną, w której Kościół musi wziąć odpowiedzialność za swoje czyny.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Prawie ostatni biskup

DOMA MATEJKO

„Kościół to mafia" – twierdzi dyktator Nikaragui i zmusza do wyjazdu z kraju opozycjonistów, w tym księży. Ci, którzy nie wyjadą, trafiają do więzienia. Tak jak biskup Rolando Álvarez.

Poniżej opisane wydarzenia miały, w dużej mierze, miejsce w lutym tego roku. Nie ma to jednak większego znaczenia. Równie dobrze mógłby być to marzec lub październik 2022 r., rok 2007 lub 1985. Data może być umowna, wręcz dowolna. Daniel Ortega, wieczny prezydent Nikaragui, sprawujący władzę od 2007 r., robi bowiem wszystko, aby w kraju było tak, jak było, lub przynajmniej tak, jak jest. Wszyscy przeciwnicy jego autorytarnych rządów kończą w więzieniu lub na wygnaniu. Zagrażają mu księża, studenci i emeryci – w tej kolejności. Kościół katolicki w Nikaragui stał się synonimem opozycyjnej walki z socjalistycznym rządem, a bycie księdzem wiąże się tu z narażeniem życia, lub – jak miało to miejsce w przypadku biskupa Álvareza – wolności.

Rolando Álvarez do lutego był biskupem Matagalpy – departamentu położonego w centralnej części kraju. Álvarez mówił głośno to, co myślał o rządzie. Za głośno. Walczył o swoich diecezjan: „Nie róbcie z wiernymi tego, co chcecie ze mną zrobić" – domagał się publicznie. Stał się głosem protestu. Głosem zbyt silnym, żeby władza od razu mogła się go pozbyć. Nakłaniali go do wyjazdu i grozili. Bezskutecznie. W sierpniu 2022 r. Álvarez został zatrzymany i po rozprawie za zamkniętymi drzwiami skazano go na areszt domowy. Jednak nawet zza strzeżonej przez policję posesji swoich rodziców biskup nie zaprzestał swoich opozycyjnych działań.

Tego było za wiele. W lutym tego roku Ortega postawił Álvarezowi ultimatum – wyjazd z kraju lub więzienie. Gdy grupa 222 więźniów politycznych opuszczała Nikaraguę, Álvarez odmówił wyjazdu z nimi. Został skazany na 26 lat pozbawienia wolności za „zdradę państwa", co zgodnie z najnowszymi przepisami wiąże się z utratą narodowości i wszelkich praw obywatelskich.

Dyktator vs. Jezus

„Kościół to mafia. Papież popierał Mussoliniego, sprzymierzeńca Hitlera" – powiedział w swojej przemowie Ortega. Podkreślił, że Jezus nie chodził ubrany tak, jak biskupi, i że to on, a nie księża, ma w duszy prawdziwego Chrystusa. O ile kwestia stroju Chrystusa nie budzi wątpliwości, to cała reszta jest oburzająca, biorąc pod uwagę, że organizacje międzynarodowe, w tym ONZ, uznały Ortegę za winnego popełnienia zbrodni przeciwko ludzkości.

W czasie masowych protestów w 2018 r. Nikaraguańczycy domagali się zmiany rządu i odejścia Ortegi. Nikaraguańskie Stowarzyszenie na rzecz Praw Człowieka podaje, że w wyniku starć między obywatelami a wojskiem życie straciło 586 osób. Setki protestujących – w tym przedstawiciele Kościoła katolickiego – trafiło do więzienia. Od lat w kościelnych murach Nikaraguańczycy czuli się trochę bardziej wolni. Naiwnie. Władza założyła podsłuch. Każde kazanie, spowiedź były i są uważnie śledzone. Policjanci wchodzą na teren kościołów i uczestniczą w mszach, bynajmniej nie w charakterze wiernych. Z kraju wydalono dziesiątki duchownych. Zakazano procesji religijnych. Mimo to w maju 2018 r., czyli jeszcze w czasie protestów, episkopat Nikaragui zgodził się na rolę mediatora w negocjacjach między rządem Ortegi a opozycyjną koalicją, Alianza Cívica. Jednak po zaledwie czterech dniach negocjacje zostały przerwane, a przedstawicieli Kościoła nazwano – nie po raz ostatni – zdrajcami. W czasie drugich negocjacji, wznowionych dopiero 27 lutego kolejnego roku, już bez udziału episkopatu, brał udział nuncjusz apostolski, Polak, Waldemar Stanisław Sommertag. W marcu 2019 r. wskutek jego interwencji na wolność wypuszczono 100 osób. W marcu zeszłego roku abp Sommertag został jednak zmuszony do natychmiastowego wyjazdu z Nikaragui.

Kochaj nieprzyjaciół

„Kocham moich braci policjantów, którzy otaczają kościół. Uwielbiam policjantów, którzy ścigają mnie całymi dniami. Rozumiem, że wykonują rozkazy. (...) Kocham, tak, kocham prezydenta i wiceprezydentkę. Nie mam nic przeciwko Wam. Moje serce jest wolne (...), ale ten, kto nienawidzi, już za życia umarł" – powiedział w swoim ostatnim kazaniu biskup Álvarez. Wiedział, że jest kolejny na liście osób do wyjazdu lub więzienia. Wierni też mieli tego świadomość, więc skandowali: „Biskupie, przyjacielu, lud jest z tobą!".

Policja śledziła go od dawna, o czym informował publicznie. Na znak protestu zaczął głodówkę. Jednak wkrótce stało się nieuniknione. W nocy, dokładnie o godzinie 3.30, 19 sierpnia 2022 r. grupa policjantów weszła do kurii i aresztowała Álvareza. Krążyły pogłoski, że biskup zostanie zawieziony do el Chipote – więzienia o zaostrzonym rygorze. Álvarez został jednak skazany na areszt domowy, co wiązało się z tym, że wszyscy jego domownicy, w tym przypadku rodzice biskupa, również przebywali w areszcie. Ale nawet po utracie wolności biskup zachęcał swoich diecezjan, żeby nie tracili nadziei. Wielokrotnie przypominał, że osoby wierzące muszą przyjąć postawę skrajnie humanitarną, stając po stronie cierpiących. Kiedy w lutym tego roku rząd zaproponował mu opuszczenie kraju wraz z grupą 222 więźniów politycznych, powiedział: „Niech oni będą wolni, ja wezmę ich karę na siebie". W mediach społecznościowych wierni Kościoła katolickiego okazują swój sprzeciw wobec wyroku sądu: „Biskup Álvarez jest niewinny. W Nikaragui nie ma ani wolności religijnej, ani praw człowieka" i nazywają swojego biskupa „prorokiem" oraz „symbolem męczeństwa".

Z relacji tych, którzy przeszli przez więzienie w Nikaragui, wiadomo, że biskupa najprawdopodobniej czeka odizolowanie i tortury.

Piekło na ziemi

Max Jerez nie został poinformowany o śmierci matki. Były lider studentów był przetrzymywany w więzieniu el Chipote za zdradę narodu. To jeden z 222 więźniów politycznych, którzy 9 lutego zostali wydaleni z kraju, w ten sposób otrzymując wolność. Każda z 222 osób przeszła piekło na ziemi. Tortury, brak opieki medycznej i kontaktu ze światem – tak wyglądała ich codzienność przez ostatnie miesiące i lata.

Do nadpsutego jedzenia dodawano szkło i metal, aby wywołać krwawienia wewnętrzne. Mimo usilnych próśb rodzin przetrzymywanych tam osób władze nie pozwalały organizacjom humanitarnym udzielać więźniom pomocy medycznej. Na początku stycznia Międzynarodowy Czerwony Krzyż bezskutecznie apelował o umożliwienie interwencji. Bliscy więźniów poinformowali, że dopiero w tym roku zezwolono im na dostarczenie materacy, pościeli i poduszek, a racje żywności zostały zwiększone. To, co powinno być co najmniej normą, w el Chipote jest przywilejem.

Decyzja o uwolnieniu więźniów zaskoczyła wszystkich, a najbardziej samych przetrzymywanych. Władze więzienne rozdały im ubrania, po czym rozkazały wsiąść do ustawionych przed budynkiem trzech autobusów. Ci, którzy znali dobrze stolicę kraju, Managuę, wiedzieli, że jadą na północ, gdzie znajduje się inne więzienie oraz lotnisko wojskowe. W chwili, kiedy autobus skręcił w lewo, a nie w prawo – w kierunku więzienia Modelo, wszystko stało się jasne: opuszczają kraj. O tym, że przestali być Nikaraguańczykami, dowiedzieli się na pokładzie boeinga 767-300. Podobnie jak o docelowym porcie lotniczym – Dulles w Washingtonie. Po wylądowaniu zostali podzieleni na grupy dwudziestoosobowe i rozwiezieni do hoteli.

Bp Rolando Álvarez, Managua, Nikaragua, maj 2022 r.

MAYNOR VALENZUELA / REUTERS / FORUM

Koniec opozycji

Nagle stali się bezpaństwowcami. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek będą mogli wrócić do Nikaragui. Niektórzy z 222 uwolnionych więźniów politycznych mają krewnych w Stanach Zjednoczonych. Berta Valle, żona Féliksa Maradiaga, kandydata na prezydenta z ramienia opozycji, zjawiła się na lotnisku jeszcze przed wylądowaniem samolotu. Na pokładzie boeinga znajdował się również inny były kandydat na prezydenta, Juan Sebastián Chamorro García. Pozbawianie wolności liderów opozycji pod pretekstem np. „organizowania grup przestępczych" jest systematyczną praktyką Ortegi. Od 2007 r. skazał aż 10 kandydatów na urząd prezydenta. Teraz, w Stanach Zjednoczonych, byli więźniowie muszą zacząć życie na nowo. Z traumami, z brakiem paszportu i – często – perspektyw. Nie każdy bowiem miał tyle szczęścia co Maradiaga. Wielu z uwolnionych nie ma krewnych w Stanach. Nie wiedzą, co ze sobą począć. Sekretarz stanu USA Antony Blinken w jednym z komunikatów przyznał jednak, że uwolnienie więźniów „stanowi konstruktywny krok w kierunku rozwiązania problemu łamania praw człowieka w tym kraju i otwiera drzwi do szerszego dialogu między Stanami Zjednoczonymi a Nikaraguą w kwestiach, które nas dotyczą".

Tymczasem papież Franciszek 12 lutego, w czasie modlitwy Anioł Pański, wyraził swoje ubolewanie nad sytuacją w Nikaragui: „Nie mogę nie wspomnieć z troską o biskupie Matagalpy, biskupie Rolando Álvarezie, którego tak bardzo kocham, skazanego na 26 lat więzienia, a także o osobach deportowanych do Stanów Zjednoczonych".

Pozbawienie wolności biskupa Álvareza ma być przestrogą dla innych, potencjalnych, opozycjonistów. ©

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

ZUZANNA

Radzik: *Bez stada*

Poszłam na spotkanie znalezionego w internecie klubu książki. Anglojęzyczni ekspaci, pierwszy lepszy bestseller i pub, do którego chodzą ci, którzy nie znają miasta. Zatem klub książki w głośnym barze, końcówka pandemicznej zimy i ludzie, którzy przeprowadzili się tu w czasie zarazy i po prostu łaknęli poznania nowych ludzi. Bardziej chcieli spotkać innych, niż dyskutować o książkach. Co mogło nie wyjść? Po trzech godzinach rozmów zastałam w domu zimną kolację i pytanie: „Było aż tak fajnie?”.

No właśnie nie. Nie było fajnie. Siedziałam tak długo, bo nie chciałam wcześniejszym wyjściem dać do zrozumienia, że nic mnie z tymi ludźmi nie łączy. Nie pokazać, że nie biorę pod uwagę, iż joginka z belgijsko-irańskim backgroundem, która wierzy w siłę księżyca, albo wielbicielka aquafitnessu z Anglii zostaną moimi serdecznymi przyjaciółkami. Nie dać im nadziei, że ich desperacja, by poznać ludzi w pustce nowego miasta zmrożonego zimą i serią lockdownów, nie jest moją. Nie jest? W końcu sama wyszukałam ten klub książki i poszłam, choć podejrzewałam, dokąd to zmierza.

Nad zimną kolacją odpowiadam więc szczerze: „Chyba jestem zdesperowana, skoro tam poszłam i zostałam. Jesteś jedyną osobą, z którą rozmawiałam przez ostatnie dwa tygodnie na żywo. Muszę coś zmienić”.

Minął rok, wiosna, lato i jesień przyniosły nowe światy. Z ulgą patrzę, że moja książka adresowa obrosła w nowe kontakty: dziewczyny do fajnych szczerych rozmów, koleżanki na drinka po pracy, siostry feministki, znajome pary od weekendowych obiadów. Obok tego codzienny krąg życzliwych interakcji. Piekarnia. Księgarnia, w której sprzedawcę wydaje się obchodzić to, że przyszłam. Mandarynki i kwiaty w sklepie na rogu, który wciąż próbuję oswoić i włączyć w krąg przelotnych życzliwości, które naoliwiają świat. Na tej mapie świetlistym punktem jest flamandzka parafia, gdzie, choć z liturgii rozumiem tylko kilka słów, czuję wspólnotę i na mszy, i na kawie po niej. Kryzys migracyjnej samotności minął. Mam solidne podstawy nowego społecznego świata.

Chcę jednak pamiętać ten moment i strategie, których wymagał. Podobny czas studenckiej samotności w Izraelu osładzały hojne zaproszenia na szabatowe kolacje. Wiedziałam, że jeśli przebrnę przez tydzień, to przytuli mnie jakiś dom, jakaś rodzina lub grupa przyjaciół. Bo w kraju przybyszów oczywistym jest zadawanie pytania: a z kim spędzasz święta? Czy już ktoś zaprosił cię na piątek?

Różne są konteksty kulturowe, w których wydarzyć się może kryzys samotności. Różne jego natężenia. Różne są życiowe ścieżki, które albo nas z samotnością zderzają, albo tylko każą się o nią otrzeć. I nie zawsze trzeba przesunąć się na mapie tysiące kilometrów, by go doświadczyć, bo amerykańskie statystyki (Survey Center on American Life) mówią, że liczba Amerykanów, która deklaruje, że nie ma bliskich przyjaciół, zwiększyła się czterokrotnie od 1990 r. Deklarują też w 2021 r., że spędzają o 85 proc. mniej czasu z przyjaciółmi niż w 2013 r. Czy czynnikiem była głównie pandemia? Niekoniecznie, bo już między 2014 a 2019 r. czas spędzony z przyjaciółmi skrócił się bardziej niż w czasie pandemii. Inni winni? Wymieniane są media społecznościowe, ale też planowanie XX-wiecznych miast w taki sposób, że ciężko chodzić po okolicy i budować pieszo „na dzielni” podstawowe interakcje społeczne.

Na drugą nóżkę, słynne harwardzkie (prowadzone od 1938 r.) badanie szczęścia sugeruje, że do jego osiągnięcia trzeba dbać o ciało, jakby miało się w nim przeżyć sto lat, oraz mieć relacje z ludźmi. Intymne, przyjacielskie, sąsiedzkie, wolontariackie. Jakieś, byle gęsto. Byle nie dopadła nas społeczna pustka.

W tej perspektywie nie ma się co bać, że źle obstawimy lub że ktoś nas zrani. Lepiej być w relacjach, niż z nich rezygnować z obawy, że nas zawiodą. Powtarzam to sobie krótko po tym, gdy okazało się, że ważny duszpasterz mojej młodości podglądał dziewczyny. W dniach, gdy wychodzi na jaw, że Karol Wojtyła był jak inni biskupi. Kiedy po raz kolejny okazuje się, że ufać, mieć bliskich i ważnych ludzi lub autorytety naraża nas na rozczarowania i zranienia. Banał, grany od początku ludzkości. Podobnym banałem jest to, że bez swojego stada ciężko przeżyć i szczęśliwie żyć. Także w XXI wieku. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

- **WARSZAWA,** czwartek 16 marca, spotkanie z Edwardem Augustynem i Sebastianem Dudą, „Życie w wierze. Benedykt XVI” / stacjonarne /
- **TRÓJMIASTO,** czwartek 16 marca, spotkanie z Tomaszem Terlikowskim, „Koniec Kościoła, jaki znacie” / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE,** poniedziałek 20 marca, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa” – rozdział „Trzecie oświecenie?”, cykl „Wspólne czytanie”/ online /
- **LIPSK,** środa 22 marca, spotkanie z Rafałem Ryszką, „Ziemia Święta: biblijne miejsca współcześnie” / stacjonarne /
- **ZIELONA GÓRA,** środa 22 marca, spotkanie z Moniką Białkowską połączone z promocją książki „Nawet jeśli umrę w drodze”, „Stygmat uchodźcy” / stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

PRAWDZIWA CENA POMIDORÓW

Almería zwana jest „ogrodem Europy": ta hiszpańska prowincja zapewnia całoroczne dostawy owoców i warzyw. Rośnie liczba szklarni, a burzy się domy ich pracowników. Dlaczego? Pojechaliśmy tam z wizytą.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z NÍJAR (HISZPANIA)

Alejandro czeka na lekcje prawa jazdy. Osiemnastolatek odpala papierosa i spogląda na ruiny sąsiedniego osiedla slumsów. – To smutne, ale stało się to, co musiało się stać. To tereny prywatne, a poza tym było postanowienie sądu – rzuca w moją stronę, gdy widzi, że robię zdjęcia.

Chłopak mieszka w sąsiedztwie. Jego rodzina ma szklarnię, czyli plastikowy tunel (plastik zastąpił używane kiedyś szkło w ich konstrukcji, ale nazwa pozostała). Alejandro (prosi, by nie podawać jego nazwiska) pracuje w niej wspólnie z rodzicami i jednym pracownikiem.

Pokazuje w telefonie zdjęcie psa. – Miałem na ogół dobre kontakty z ludźmi mieszkającymi w tych slumsach. Ale podejrzewam, że ktoś z nich chciał włamać się do mojego domu, dlatego otruł mi psa.

– Ludzie nie powinni żyć w takich warunkach – dodaje.

Niczym wieś

Tuż obok skrzyżowania dróg krajowych AL-3108 oraz 3112 w gminie Níjar, w prowincji Almería, stało do niedawna slumsowe osiedle złożone z szałasów, niewielka sala modlitewna dla muzułmanów, maleńki rynek, jeden sklep oraz piec, w którym wypiekano tradycyjny marokański chleb.

Wszystko to przypominało niewielką wieś. Do tego stopnia, że jeden z jej mieszkańców nazwał to miejsce El Walili, przez podobieństwo do marokańskiej wsi Volubilis (z ruinami z czasów rzymskich). Większość szałasów była prostej konstrukcji: kilka drewnianych pali, obklejonych czarnym plastikiem lub innymi materiałami, które udało się znaleźć na pobliskich śmietniskach.

W ciągu 20 lat na tym terenie powstało nielegalnie ok. 200 takich szałasów. Wszystkie bez żadnych pozwoleń, na terenie prywatnym, bez kanalizacji, dostępu do bieżącej wody czy kontenerów na śmieci. Szacuje się, że na osiedlu mieszkało ok. 500 osób, w tym kilkanaście kobiet. Wszyscy to imigranci z Maroka, Senegalu czy Ghany.

Dzień eksmisji

Tak było do końca stycznia. Mimo protestów mieszkańców El Walili, trwających blisko dwa miesiące, lokalne władze pozostały nieugięte: zarządziły eksmisję i wyburzenie osiedla. W orzeczeniu sądowym z 17 stycznia (po wniosku burmistrzyni Níjar) czytamy, że „szałasy

DAVID RAMOS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Imigrant z Afryki na plantacji pomidorów w prowincji Almería. Hiszpania, 2013 r.

znajdują się w stanie ruiny, zostały wybudowane bez pozwolenia z gminy i stanowią bezpośrednie zagrożenie dla żyjących tam osób, poprzez ryzyko eksplozji, ognia czy porażenia prądem".

Opinia sądu okazała się prorocza. W dniu planowanej eksmisji tuż po ósmej rano wybucha pożar. Ostatni mieszkańcy osiedla uciekają w popłochu, często bez butów. „Przypadek czy strategia, aby wyrzucić ludzi" – tak o pożarze pisze na Twitterze lokalny aktywista Serigne Mbayé.

Na miejscu oprócz strażaków błyskawicznie pojawia się 25 samochodów innych służb: policji (Policía Nacional), żandarmerii (Guardia Civil), a nad głowami uciekających zaczyna krążyć helikopter.

– To niedorzeczne, takie zaangażowanie służb naprzeciw biednym ludziom, imigrantom, pracownikom rolnym, którzy w jednej chwili stracili dach nad głową. Potraktowano tych ludzi jako zagrożenie dla społeczeństwa – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Fernando Plaza ze stowarzyszenia Pro Derechos Humanos de Andalucía.

Mohammad szuka butów

Dzień po pożarze do ruin wracają mieszkańcy. Na miejscu pracują dwie koparki i grupa elektryków, którzy niszczą nielegalne połączenia elektryczne, powstałe tu w ostatnich latach.

– Nie jesteśmy zwierzętami, a tak nas potraktowano. Byłem odwiedzić rodzinę w Maroku, gdy podjęto decyzję o eksmisji – mówi mi czterdziestokilkuletni Rachid.

– Żyłem w El Walili trzy lata, bo w okolicy nie ma mieszkań na wynajem – opowiada. – Jedyne, co można wynająć, to łóżko w pokoju z kilkunastoma innymi. Ale przecież na dłuższą metę nikt nie chciałby tak żyć. Dlatego będę mieszkać na ulicy. Mojego szefa nie obchodzi, że nie mam mieszkania. Jeśli nie przyjdę do pracy, znajdzie zaraz kogoś innego.

Rachid po raz pierwszy przybył do Hiszpanii 19 lat temu na tratwie wraz z grupą imigrantów z Maroka. Marzy o tym, by pozostać na stałe i założyć rodzinę. Swoje plany musi jednak odłożyć na później.

W ruinach spotykam też Mohammada. Mimo chłodu (jest kilkanaście stopni Celsjusza) nie ma butów. Gdy uciekał ze swojego szałasu podczas pożaru, śrubokręt wbił mu się w stopę, dlatego kuleje. Wrócił, by pod gruzami szukać butów.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA x2

Rachid szuka swoich rzeczy w zgliszczach osiedla El Walili. 26 lutego 2023 r.

↦ 19-letni Osman jest w ruinach El Walili, by towarzyszyć dwóm przyjaciołom: – Oni mieszkali tu przez dwa lata, do czasu, aż wyrzuciła ich stąd policja. Jasne, nie było to najlepsze miejsce do życia, często dochodziło do kłótni, byli ludzie, którzy nadużywali alkoholu i często musiała przyjeżdżać policja. Ale teraz mnóstwo ludzi trafiło na ulice.

Skarga do Brukseli

Lokalny oddział lewicowej partii Podemos wysłał pismo do Komisji Europejskiej, w którym domaga się wyjaśnienia przyczyn zburzenia osiedla El Walili, mimo braku zapewnienia jego mieszkańcom alternatywnego lokum. W swoim tzw. pytaniu priorytetowym do Brukseli lewicowi politycy podkreślają, że wysiedlanym mieszkańcom nie udzielono informacji, gdzie mogą szukać pomocy, a sam dzień eksmisji wyznaczono na poniedziałek, gdy większość z nich musiała być w pracy.

Jak na razie, politycy Podemos nie otrzymali od Komisji odpowiedzi.

Większość ludzi z El Walili zamieszkała teraz w samochodach lub na ulicy. Niektórzy przenieśli się do sąsiednich osiedli slumsowych w Atochares lub Barranquete. Nielicznym schronienie zapewnili ich pracodawcy – tak jak rodzina Alejandra. Ale tak stało się tylko w przypadku właścicieli niewielkich szklarni. Ci, którzy zatrudniają po kilkuset pracowników, nie wykazali większego zainteresowania problemem mieszkaniowym swoich robotników.

Tymczasowe rozwiązanie

Zarzuty odpiera Esperanza Pérez Felices, burmistrzyni gminy Níjar z centrolewicowej partii socjalistycznej PSOE. Tłumaczy, że imigrantom z El Walili zapewniono noclegownie na dwa miesiące.

– W tym czasie pracownicy socjalni mieli indywidualnie rozmawiać z wysiedlonymi i pomóc im znaleźć alternatywne zakwaterowanie. Minęły pierwsze tygodnie, a nic takiego się nie dzieje. Ludzie jak zwykle zostali pozostawieni sami sobie – twierdzi Fernando Plaza ze stowarzyszenia Pro Derechos Humanos de Andalucía.

Z rozwiązania zaproponowanego przez gminę skorzystało ok. 50 z 500 mieszkańców El Walili. – Trudno się dziwić. Gmina proponuje im rozwiązanie tymczasowe, a przecież to nie pracownicy tymczasowi, lecz całoroczni. Uprawa warzyw i owoców w szklarniach trwa niemal cały rok – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" José Miguel Ramos z partii Podemos.

Ponadto noclegownia zaproponowana przez gminę położona jest 8 km od zburzonego osiedla. Niby niewiele, ale większość pracowników nie ma auta ani hiszpańskiego prawa jazdy (za jazdę na marokańskim grozi mandat). W rejonie Los Albaricoques, gdzie było osiedle El Walili, brakuje chodników, droga pieszo do pracy byłaby wyzwaniem. Zwłaszcza że większość wysiedlonych imigrantów pracuje fizycznie i przejście dziennie 16 km z noclegowni do szklarni i z powrotem byłoby wysiłkiem.

Tak czy inaczej – z każdym dniem coraz więcej wysiedlonych opuszcza noclegownię udostępnioną przez gminę.

Rolnictwo siłą napędową

Niemal cała gmina Níjar żyje z rolnictwa.

W jedynej kawiarni na osiedlu El Barranquete tuż przed piętnastą (tj. w czasie przerwy obiadowej, która w Hiszpanii trwa od czternastej do siedemnastej) większość klientów nosi bluzy z logo firmy Unica. To duży eksporter owoców i warzyw.

Gmina Níjar należy do najsuchszych miejsc w Europie; położona jest w sąsiedztwie pustyni Tabernas. Tradycyjne rolnictwo było tu więc nieefektywne. Ponad pół wieku temu pojawiły się pierwsze szklarnie i wkrótce przyczyniły się do zamożności prowincji. W ciągu ostatnich 20 lat ich powierzchnia w gminie podwoiła się: z prawie 3400 hektarów w 2001 r. do ponad 6500 hektarów w 2022 r. Stąd prowincja nazywana jest „morzem plastiku".

Budowa nowych szklarni nie idzie jednak w parze z budową kwater dla pracujących ludzi – w większości imigrantów z Afryki. Hiszpańska Krajowa Konfederacja Pracy nazywa to „chronicznym deficytem mieszkań nieturystycznych".

Mieszkania dla turystów można znaleźć łatwiej. Na terenie gminy jest jedna z atrakcji Andaluzji: park naturalny Cabo de Gata. Słynie z oryginalnych formacji geologicznych, od 1997 r. wpisanych na listę UNESCO. Miejsce to co roku przyciąga rzesze turystów, a jedną z głównych dróg prowadzących do parku była właśnie ta, przy której znajdowało się osiedle biedy El Walili.

Aktywiści twierdzą, że właściciel terenu, na którym nielegalnie wzniesiono szałasy, nie domagał się ich wyburzenia. O losach El Walili przeważyły prawdopodobnie względy turystyczne i organizowanie wizyty dla gości spoza Hiszpanii, by pokazać sukcesy w uprawie szklarniowej. – Strategią gminy jest ukrycie wstydu, sprawienie, że problem slumsów przestanie być widoczny. Ale problem nie znika – mówi Fernando Plaza.

Eksmisji będzie więcej

W sierpniu 2022 r. Junta de Andalucía (Rada Andaluzji) uruchomiła program mający na celu „likwidację mieszkań o niskim standardzie". Chodzi właśnie

Koparki porządkują zgliszcza El Walili dzień po pożarze, 31 stycznia 2023 r.

o osiedla biedy, gdzie mieszkają pracownicy szklarni.

– El Walili to jedno z pierwszych wyburzeń, do którego doszło w gminie Níjar. Nie wiemy, które osiedla będą kolejne. Mogę się jedynie domyślić, że przez najbliższy czas będą niszczone mniejsze zabudowania, tak aby nie zyskało to rozgłosu medialnego – mówi José Miguel Ramos z partii Podemos.

Trudno oszacować, ile może być takich osiedli biedy w całej prowincji. Organizacje pozarządowe, które na co dzień pracują w regionie, szacują, że może to być od kilkudziesięciu do stu osiedli o różnym rozmiarze i warunkach bytowych. Mieszkać może w nich kilka tysięcy migrantów.

Zdaniem lewicowych polityków impulsem do burzenia osiedli biedy mogą być zbliżające się wybory samorządowe, zaplanowane na koniec maja. Burmistrzyni Níjar Esperanza Pérez Felices walczy w nich o reelekcję. Niszczenie osiedli slumsowych i zaostrzenie polityki migracyjnej uważane jest za próbę odebrania przez socjalistów głosów prawicowym ugrupowaniom – Partii Ludowej i Vox.

Zwłaszcza że w ostatnich wyborach regionalnych to właśnie antyimigrancka partia Vox cieszyła się największym poparciem w gminie Níjar, w której 47 proc. mieszkańców to obcokrajowcy.

Mieszkaniowy impas

W prowincji Almería wielu robotników rolnych pracuje na czarno, czasem za 5 euro na godzinę – gdy minimalna stawka godzinowa w Hiszpanii to ok. 8 euro netto.

Gdyby nawet w gminie Níjar były mieszkania na wynajem, to biorąc pod uwagę fakt, że wielu robotników pracuje nieregularnie, a poza tym próbują odłożyć pieniądze i wysłać rodzinom w Maroku, raczej nie byłoby ich stać na wynajem. Poza tym bez pozwolenia na pracę i rezydencji niewielu Hiszpanów skłonnych jest wynająć im mieszkanie. Do tego dochodzi często niechęć do wynajmowania mieszkań imigrantom z Afryki.

„Również naszym celem jest rozwiązanie problemu osiedli biedy. Ale nie w taki sposób, bez zapewnienia elementarnych potrzeb pracowników rolnych, z absolutnym lekceważeniem ich praw" – czytamy na stronie internetowej platformy Derecho a Techo (Prawo do dachu), którą tworzy kilka organizacji z prowincji. Apelują one o rozmowy w sprawie osiedli slumsowych przy udziale wszystkich zainteresowanych, w tym migrantów.

Fernando Plaza uważa, że rozwiązaniem byłaby budowa niewielkich mieszkań socjalnych z niskim czynszem. Właściciele szklarni mogli też zrzeszyć się i zapewnić pracownikom połączenia autobusowe do pracy.

– Hasłem jest wysoka wydajność i niskie koszty. Kojarzę tylko kilka firm w gminie, które wynajmują autobusy dla pracowników. Ale tylko wtedy, gdy brakuje im rąk do pracy. Jak sytuacja się normalizuje, rezygnują z połączeń autobusowych – mówi Plaza.

Według władz gminy alternatywą dla slumsów jest powstające osiedle przy Los Grillos. Rada Andaluzji i rząd centralny przeznaczyły 1,5 mln euro na budowę 62 tymczasowych mieszkań do wynajęcia dla pracowników rolnych. „Mieszkania po przystępnej cenie, (...) każde ma salon z kuchnią i jadalnią, sypialnię, łazienkę, a dodatkowo miejsca parkingowe i tereny zielone" – gmina chwali się inwestycją.

– To ładnie brzmi, ale za tę kwotę można byłoby zbudować więcej mieszkań. W dodatku potrzebne są mieszkania na stałe, a nie tymczasowe – komentuje Plaza.

Warzywa dla Europy

Wprawdzie w ostatnich latach sytuacja imigrantów, którzy pracują w almeryjskich szklarniach, trochę się poprawia – a to także za sprawą bojkotu niektórych firm hiszpańskich, eksportujących warzywa i owoce np. do Wielkiej Brytanii. Działo się tak, gdy do brytyjskiej opinii publicznej przedostawały się informacje, iż taka firma łamie prawa pracownicze swoich robotników. Ale, jak mówią aktywiści, wciąż jest tu wiele do zrobienia.

W prowincji Almería co roku produkowanych jest ok. 4 mln ton warzyw i owoców, zwłaszcza pomidorów, papryki i cukinii. Trzy czwarte produktów trafia na eksport, głównie do Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii i Holandii. W Polsce 28 proc. importowanych warzyw pochodzi z Hiszpanii (dane Eurostatu za 2019 r.).

– Być może szansą na poprawę sytuacji pracowników rolnych w Hiszpanii byłyby międzynarodowe kontrole. Wierzę, że wszyscy kontrolerzy są niezależni, ale kontroler z Francji czy Polski byłby bardziej odporny na ewentualne naciski właścicieli szklarni – zastanawia się José Miguel Ramos z partii Podemos.

Bo, jak twierdzi Związek Zawodowy Pracowników Andaluzji SOC-SAT, oprócz trudnych warunków mieszkaniowych, w przypadku pracowników z Afryki często łamane są ich prawa dotyczące np. płacy minimalnej, warunków pracy czy prawa do odpoczynku.

Serigne Mbayé – aktywista pochodzący z Senegalu, w 2021 r. wybrany deputowanym parlamentu regionalnego w Madrycie z listy Podemos – w rozmowie z dziennikiem „El Salto Diario" sięgnął po drastyczne porównanie: „Chcemy, żeby dowiedziała się o tym nie tylko Hiszpania, ale żeby cała Europa wiedziała, że niewolnictwo nadal istnieje. I są produkty, które na co dzień otrzymujemy z tej niewolniczej pracy". © AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Zaplanuj śmierć na czwartek

MAŁGORZATA SIDZ

Prawo, które wkrótce zacznie obowiązywać w Kanadzie, rozszerza przepisy dopuszczające eutanazję. Już teraz są one szerokie: w ten sposób odchodzi co dwudziesty zmarły Kanadyjczyk.

W Kanadzie do eutanazji uprawnieni są weterani wojenni, niepełnosprawni, biedni i obawiający się bezdomności. Wkrótce dołączyć do nich będą mogły osoby z problemami psychicznymi, a w przyszłości – być może dzieci.

Eutanazja – niezależnie od tego, jaki mamy do niej stosunek – kojarzy się zazwyczaj z pomocą w zakończeniu życia osobie starszej, cierpiącej, której śmierć jest kwestią czasu. Myślimy o niej jako o rozwiązaniu wyjątkowym, rzadko stosowanym, mającym skrócić cierpienie. Tymczasem już co dwudziesty Kanadyjczyk umiera w ten sposób.

Oswojona i dostępna

Program określany skrótem MAiD (Medical Assistance in Dying, Medyczne Wsparcie w Umieraniu) wprowadzono w 2016 r. To najbardziej liberalne prawo eutanazyjne na świecie. Wystarczy mieć skończone 18 lat, ubezpieczenie zdrowotne i udokumentowaną ciężką chorobę – czyli taką, której nie można ulżyć w sposób satysfakcjonujący dla chorego. Do niedawna wymagano, by śmierć pacjenta była przewidywalna i nieuchronna. Wymóg ten usunięto w 2021 r. Teraz, od połowy marca, również choroba psychiczna będzie kryterium kwalifikującym do legalnej eutanazji.

„Każdy powinien mieć dostęp do MAiD. Jest tylu niepełnosprawnych, którzy byli ignorowani od tak dawna, że tłum rzuci się do drzwi" – tak w nagraniu opublikowanym na jednej z platform internetowych przekonuje Mitchell Tramble. O samobójstwie myślał już jako jedenastolatek. Planuje skorzystać z nowego prawa natychmiast, kiedy wejdzie w życie. Ma za sobą parenaście prób samobójczych i listę pięćdziesięciu leków, które wypróbował.

Z programu MAiD w 2021 r. skorzystało ponad 10 tys. osób, a te liczby ciągle rosną. Prawie trzy czwarte Kanadyjczyków popiera program. Eutanazja została oswojona i jest powszechnie dostępna. Pojawiły się nawet domy pogrzebowe, w których można na miejscu skorzystać z programu: możesz zaplanować swoją śmierć np. na konkretny wieczór, a pracownicy przygotują pogrzeb następnego dnia.

– W miejscowości London w stanie Ontario mamy zakłady pogrzebowe ze specjalnymi pokojami do eutanazji. To wygodne, bo nie trzeba płacić za samochód, który odbierze zwłoki ze szpitala albo z domu. Przychodzisz na własnych nogach. Prostsze i tańsze – ironizuje Alex Schadenberg, dyrektor organizacji Koalicja Zapobiegania Eutanazji (Euthanasia Prevention Coalition). Zajmuje się ona np. pomocą prawną przy coraz częstszych przypadkach wywierania presji w kierunku popełnienia wspomaganego samobójstwa.

– Otrzymuję telefony od osób, których lekarze namawiają do eutanazji – mówi Schadenberg. – Niedawno zadzwoniła do mnie starsza pani, której mąż umiera na raka. Pytała, jak może powiedzieć lekarzom, żeby przestali namawiać go do MAiD.

W Kanadzie lekarze mają prawo sami zaproponować pacjentom możliwość eutanazji. To jedyny kraj, który to dopuszcza.

Przyczyna: utrata słuchu

Wraz z wprowadzeniem nowego prawa kanadyjscy psychiatrzy będą decydować o tym, kto ma szanse na wyleczenie, a czyje możliwości są wyczerpane. W przypadku chorób fizycznych, jak rak, możemy często ocenić szanse wyleczenia i pozostałą długość życia pacjenta. W przypadku chorób psychicznych nie ma tak precyzyjnych szacunków.

Psychiatrzy muszą też ocenić, czy osoba zainteresowana eutanazją wyraża tę potrzebę świadomie. To skomplikowane, bo natura choroby może wpływać na podejmowanie decyzji, zwłaszcza w momentach obniżenia nastroju.

– Pisała do mnie kobieta, chrześcijanka – mówi Schadenberg. – Jest w ogromnej depresji i myśli o samobójstwie. Wstydzi się tego. Ale jest tylko człowiekiem. To, czego doświadcza, to ludzka reakcja. W przeszłości chroniliśmy takich ludzi przed samymi sobą.

Schadenberg przywołuje historię Alana Nicholsa. Został umieszczony przez policję w szpitalu psychiatrycznym w Chilliwack z powodu myśli samobójczych. W młodości poddany był operacji usunięcia guza mózgu, po której miał problemy ze słuchem i nie mógł wykonywać niektórych ulubionych aktywno-

MERT ALPER DERVIS / ANADOLU / GETTY IMAGES

Seniorzy na spacerze w Mill Lake Park. Abbotsford, Kanada, 26 lutego 2023 r.

ści, np. grać w hokeja. Poza tym funkcjonował zwyczajnie, skończył szkołę i pracował. Całe życie walczył z powracającą depresją. Po miesiącu pobytu w szpitalu udzielono mu wspomaganego samobójstwa.

Gary Nichols, brat Alana, twierdzi, że otrzymywał fałszywe informacje ze szpitala o tym, że Alan je i czuje się lepiej. Mówi, że lekarze odmówili odesłania brata wcześniej do domu, mimo że zaprzestali podawania mu leków. Że obawiali się, iż rodzina namówi go do zmiany zdania. W dokumentach jako przyczynę eutanazji podano „utratę słuchu".

– Rodzina nalegała, żeby ponownie go zbadać, ale lekarze odpowiadali, że już został zakwalifikowany do programu – mówi Schadenberg, który zna osobiście rodzinę Nicholsów. – Alan zawsze miał myśli samobójcze, wahania nastroju, był pod opieką psychiatrów. Jedyną różnicą jest to, że wcześniej eutanazja nie była legalna. Teraz jego groźby samobójcze uznano za powód do zaakceptowania MAiD.

Teoretycznie od zaakceptowania podania o eutanazję do jej wykonania musi minąć 90 dni. Ale jeżeli istnieje „poważny powód", można ją przyspieszyć. Takim powodem może być to, że pacjent grozi, iż popełni samobójstwo. MAiD okazuje się więc swoistym „sposobem" leczenia zagrożonych samobójstwem. Uznaje się, że to bardziej godne i humanitarne rozwiązanie.

Media opisywały przypadek weterana cierpiącego na uraz mózgu. Próbował zdobyć pomoc w Departamencie ds. Weteranów. Okazało się, że leczenie byłoby zbyt drogie. Zamiast tego urzędnik zaproponował MAiD. Weteran powiedział, że nie jest zainteresowany. Usłyszał, że program pomógł już wielu. I że lepsze to niż „rozbryzgać sobie mózg na ścianie".

Choroba czy bieda?

Osoby bezdomne, bezrobotne i biedne są często narażone na depresję i uzależnienia. Rozszerzenie programu MAiD oznacza, że wiele z nich będzie aplikować faktycznie z powodów związanych z sytuacją życiową, a formalnie ich podanie zostanie zaakceptowane za sprawą towarzyszących im problemów psychicznych. Międzynarodowe media, jak dziennik „Guardian", opisały kilkanaście takich przypadków.

Wśród nich była historia Joni Cowie z Ontario. Ma szereg niepełnosprawności i jest zmęczona bólem. Ale na wspomagane samobójstwo zdecydowała się z powodu problemów z coraz droższym utrzymaniem. Po opłaceniu rachunków zostaje jej 59 dolarów na życie.

Kolejna historia to ta Lesa Landry'ego, który skończył niedawno 65 lat. Według kanadyjskiego prawa zmienił się jego status. Z osoby niepełnosprawnej stał się seniorem. Zamiast renty przysługuje mu emerytura, która jest dużo niższa niż otrzymywane wcześniej zasiłki. „Kiedy przestaliśmy patrzeć na wartość ludzkiego życia w tym kraju? – zastanawiał się Landry. – Nie chcę umrzeć. Po prostu nie widzę możliwości, żeby żyć tak do końca".

W lutym 2022 r. pięćdziesięcioletnia Sophia z prowincji Ontario skorzystała z prawa do eutanazji po dwóch latach walki z urzędami o lepsze warunki życia z niepełnosprawnością. „Państwo widzi we mnie niepotrzebnego śmiecia, który narzeka, jest bezużytecznym bólem w dupie" – „Guardian" cytował słowa, jakie wypowiedziała przed śmiercią.

Richard Ewald cierpi na przewlekłą chorobę płuc POChP, depresję i ma problemy z wątrobą. Mówi, że nie chce umrzeć, ale czasami „to kwestia wyboru między spłonięciem lub wyskoczeniem z okna". Nie zdecydowałby się na eutanazję, gdyby nie problemy z utrzymaniem się z niskich zasiłków.

– Jeżeli ktoś zrobiłby film na podstawie tych historii, uznano by, że nie jest realistyczny. Ale to się dzieje – mówi Schadenberg. – W London jest duża bezdomność. Wielu ma problemy psychiczne i uzależnienia. Jeżeli pozwolimy na eutanazję w przypadkach osób z problemami psychicznymi, wielu z nich zostanie zakwalifikowanych. I będzie można powiedzieć, że to ze względu na problemy psychiczne, że nie zabiliśmy ich z powodu biedy. Tak, ale oni poprosili o eutanazję z powodu biedy. Mogliby żyć z niepełnosprawnością, ale nie mogli żyć w biedzie.

A mój syn?

– Poprawka z 2021 r. usunęła zapis, że aby dopuścić eutanazję, śmierć musi być przewidywalna – mówi Alex Schadenberg. – To i tak był problem już wcześniej, bo prawo jest napisane źle, nie ma w nim definicji. W końcu śmierć każdego z nas ↦

↦ jest przewidywalna. Ta poprawka otworzyła drzwi dla eutanazji ludzi z chronicznymi problemami, które nie prowadzą do śmierci, czyli osób niepełnosprawnych. Dziś praktycznie każda niepełnosprawna osoba może być zakwalifikowana, bo niepełnosprawność jest stanem chronicznym. Mam autystycznego syna. On może żyć, pracować, robić wiele rzeczy, ale jego mózg nigdy się nie zmieni.

Być może wyższe zasiłki dla niepełnosprawnych mogłyby zapobiec przynajmniej części eutanazji. Amir Farsoud cierpi z powodu urazu pleców, ale do programu MAiD aplikował, ponieważ właściciel mieszkania, w którym wynajmował pokój, wystawił je na sprzedaż. Farsoud nie znalazł pokoju, na który byłoby go stać. Nie chciał umrzeć, ale nie chciał też być bezdomny.

Kiedy jego historia pojawiła się w mediach, nieznajomi zebrali ponad 60 tys. dolarów, żeby pomóc mu w opłaceniu rachunków. Teraz, jak mówi, z powrotem żyje pełnią życia, a puszki fasolki zamienił na selera i borówki.

System skończonych środków

W 2017 r. kanadyjskie media publiczne opublikowały raport, którego autorzy przekonywali, że MAiD jest sposobem na zaoszczędzenie państwu nawet 136 mln dolarów rocznie. W zależności od prowincji, 10-20 proc. budżetu szpitali wydawana jest na osoby w ostatnim półroczu ich życia, a eutanazja mogłaby te koszty znacząco zmniejszyć. Autor raportu Aaron Trachtenberg przekonywał, że koszty muszą być częścią dyskusji: „Takie są realia pracy w systemie skończonych środków".

Argumentując za eutanazją, Trachtenberg wskazywał, że Kanada ma jedne z najniższych wydatków na opiekę paliatywną wśród krajów rozwiniętych. Usługi takie nie są dostępne dla wszystkich, trzeba na nie czekać miesiącami. Tymczasem podanie o MAiD akceptowane jest w ponad 80 proc. przypadków.

Na razie oszczędności nie są tak wysokie, jak przewidywał Trachtenberg. Według raportu z 2020 r. w ciągu czterech lat wyniosły średnio prawie 87 mln dolarów rocznie. Przewiduje się, że po wejściu w życie najnowszej poprawki liczba eutanazji wzrośnie o ok. 1200 rocznie, a oszczędności sięgną nawet 150 mln dolarów.

Protestujący przeciw rozszerzeniu MAiD pisali:

„Osoby niepełnosprawne, w tym marginalizowane, czarni, pierwsze narody, biedni ostrzegają, że poprawka podważa ich godność i naraża ich życie".

Według Schadenberga ten raport to, jak mówi, „żart", gdyż jego zdaniem prezentuje on bardzo zaniżone liczby. Wyliczenia raportu oparte są na założeniu, że każda osoba otrzymująca MAiD ma przed sobą dwa tygodnie życia. Oznaczałoby to, że państwo oszczędza na jednej osobie koszt dwóch tygodni opieki paliatywnej. Tymczasem – argumentuje Schadenberg – ludzie niepełnosprawni mają przed sobą często nawet wiele lat życia, podczas których otrzymują od państwa rentę i opiekę medyczną. Udzielając im MAiD, rząd może więc radykalnie obniżyć te koszty budżetowe.

Kto następny?

Organizacje zrzeszające niepełnosprawnych wystosowały listy otwarte przeciw rozszerzeniu MAiD. „Osoby niepełnosprawne, w tym marginalizowane, czarni, pierwsze narody, biedni ostrzegają, że poprawka podważa ich godność i naraża ich życie" – pisali.

Helen Long z organizacji Dying with Dignity (Umierać z Godnością) uważa, iż obawy o to, że osoby niepełnosprawne i wykluczone społecznie mogą być narażone na nadużycia, są słuszne, ale nie powinny być podstawą do blokowania dostępności programu. Uważa też, że program należy rozszerzyć na „dojrzałych nieletnich", czyli dzieci ocenione przez lekarza jako dojrzałe na tyle, by zrozumieć w pełni leczenie i jego skutki.

– Ale czy jedenastolatek rzeczywiście jest w stanie w pełni zrozumieć konsekwencje eutanazji? – zastanawia się Schadenberg.

Doktor Louis Roy wyraził w imieniu Kolegium Lekarskiego w Quebecu opinię, że już siedmiolatki powinny móc aplikować o MAiD. Uważa, że nawet dzieci poniżej pierwszego roku życia powinny móc otrzymać eutanazję, jeżeli urodzą się z poważnymi deformacjami i chorobami. Popiera go Stowarzyszenie Kanadyjskich Pediatrów (Canadian Paediatric Society), które sugeruje umożliwienie MAiD nawet w przypadku niemowlaków, o ile przy jego udzielaniu zostaną spełnione ich potrzeby społeczne, duchowe i kulturowe. Do wykonania wspomaganego samobójstwa nie byłoby potrzebne nawet pozwolenie rodziców.

Schadenberg: – W tym momencie rozmawiamy już o eugenice.

Większość dużych szpitali w Kanadzie ma wyspecjalizowany zespół zajmujący się udzielaniem MAiD. Jednak wielu lekarzy, którzy pierwotnie zgodzili się na udzielanie eutanazji, wycofuje się. Niektórzy odmawiają udzielania MAiD pacjentom „drugiego typu", czyli takim, których naturalna śmierć nie jest przewidywalna w najbliższym czasie.

Kwestia granicy

Ostatni sondaż na temat eutanazji CBOS przeprowadził w Polsce 10 lat temu. Prawie połowa ankietowanych poparła eutanazję, rozumiejąc ją jako sytuację, w której lekarz podaje środek przyspieszający śmierć nieuleczalnie choremu, na jego wyraźną i świadomą prośbę.

– Jeżeli zapytasz te trzy czwarte Kanadyjczyków popierających MAiD, to oni rozumieją ten koncept podobnie jak Polacy. Nie wspierają przypadków eutanazji dla nieletnich i dla osób z chorobami psychicznymi – twierdzi Alex Schadenberg.

Schadenberg uważa, że koncepcję eutanazji przedstawia się pod pozorem pomocy umierającym, ale później, gdy już jest dopuszczalna, trudno ją kontrolować: – Zawsze istnieją osoby na granicy. Jeżeli mówimy o ludziach umierających w bólu, od razu pojawia się argument: a co z tymi, którzy nie są umierający, lecz cierpią na chroniczny ból? Dlaczego zmuszać ich do cierpienia? A jeżeli ból fizyczny tak, to co z ludźmi cierpiącymi na chroniczny ból psychiczny?

– W Kanadzie eutanazja stała się wyrazem równości – dodaje. – Bo jeżeli ty masz prawo odejść, bo masz raka, to ja także powinienem, nawet jeżeli moja sytuacja jest zupełnie inna. Tak rozumie się prawa człowieka.

© MAŁGORZATA SIDZ

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Protest w Gdańsku przeciw skazaniu Alesia Bialackiego i członków Wiasny, 2 marca 2023 r.

Wyroki jak z taśmy

BARTOSZ RUMIEŃCZYK

Laureat Pokojowego Nobla Aleś Bialacki dostał 10 lat kolonii karnej. Skazano też troje innych działaczy białoruskiego Centrum Praw Człowieka „Wiasna", którego jest założycielem.

Sąd w Mińsku posłał do kolonii karnej także zastępcę Bialackiego, Walancina Stefanawicza (9 lat), i koordynatora kampanii „Obrońcy Praw Obywatelskich o Wolne Wybory" Uładzimira Łabkowicza (7 lat). Wyrok zaoczny (8 lat) usłyszał przebywający w Polsce Dzmitry Salauyou, działacz Wiasny. Kilka dni później skazano zaocznie liderkę opozycji Swietłanę Cichanouską (15 lat) i jej współpracownika Pawła Łatuszkę (18 lat).

– Bandycki reżim chce nas zastraszyć, aby nikt nie mówił o łamaniu praw człowieka w Białorusi – mówił „Tygodnikowi" Salauyou po skazaniu kolegów. – To także zemsta na Bialackim za to, że świat uznał jego zasługi przyznając mu Nobla.

ALEŚ BIALACKI, dziś 60-letni, otrzymał Nobla w październiku 2022 r. wraz z organizacjami z Rosji (Memoriał) i Ukrainy (Centrum Wolności Obywatelskich). Wiasna to jedna z najstarszych białoruskich organizacji praw człowieka: powstała w 1996 r. na fali protestów przeciw Alaksandrowi Łukaszence, które przeszły do historii jako Mińska Wiosna. W dniu ogłoszenia decyzji Komitetu Noblowskiego Bialacki przebywał za kratami, oczekując na proces.

Teraz opozycjoniści musieli wysłuchać wyroku z rękami skutymi za plecami w ciasnej sądowej klatce. Wcześniej w areszcie spędzili 18 miesięcy. Oskarżono ich o unikanie płacenia podatków, a potem zarzut zamieniono na cięższy – organizowanie przemytu i finansowanie działań naruszających porządek publiczny (tak określa się pomoc prześladowanym).

Bialacki już raz odpowiadał za rzekome przestępstwa finansowe: kierowana przez niego Wiasna została zdelegalizowana w 2001 r., zatem wszelkie sposoby jej finansowania były – zdaniem reżimu – niezgodne z prawem. Tym razem i on, i jego współtowarzysze zostali zatrzymani w lipcu 2021 r. na fali represji. Atmosferę tamtych dni w rozmowie z „Tygodnikiem" wspomina Swietłana Gołowniewa, która pracowała w Wiasnie: – Wiedzieliśmy, że coś się dzieje, wiedzieliśmy, do kogo pukała policja, ale nie wiedzieliśmy, co się stało z zatrzymanymi. Nie wiedzieliśmy też, co robić, szykować się na zatrzymanie, sprzątać mieszkanie przed rewizją? Czuliśmy olbrzymią niemoc.

WIASNA MONITOROWAŁA przebieg kampanii prezydenckiej w 2020 r. i sfałszowane wówczas przez Łukaszenkę wybory, a po wybuchu protestów pomagała ludziom zatrzymywanym przez milicję i dokumentowała przypadki tortur. – Siedzieliśmy w biurze od rana do późnej nocy. Pobici ludzie przychodzili po pomoc, pytali, czy iść do szpitala, albo prosili o prawnika. Opowiadali, co działo się w więzieniach – wspomina Gołowniewa.

Wkrótce po wybuchu tamtych protestów władza uderzyła w Wiasnę, zatrzymując koordynatorkę wolontariuszy Marfę Rabkową. Po dwóch latach w areszcie usłyszała najwyższy wyrok dla kobiety w sprawie politycznej: 15 lat kolonii karnej. Wraz z Rabkową skazano dziewięcioro aktywistów związanych m.in. z ruchem anarchistycznym (najwyższy wyrok to 17 lat kolonii karnej), w tym wolontariusza Andreia Chapiuka (6 lat). Wyrok trzech lat odsiaduje też Leanid Sudalenka, szef regionalnego oddziału Wiasny, a wolontariuszka Tatiana Lasica spędziła 20 miesięcy w kolonii karnej.

Od zatrzymania Bialackiego kierownictwo Wiasny działa na uchodźstwie. Z kraju uciekło też wielu działaczy. Gołowniewa opuściła Białoruś, gdy reżim uprowadził samolot z założycielem telegramowego kanału Nexta Ramanem Pratasiewiczem. Salauyou zaś kilka miesięcy przed zatrzymaniem Bialackiego – po tym, jak bezpieka wtargnęła do jego domu, pobiła go, a następnie postawiła przed sądem za pomoc więźniom politycznym.

DZMITRY SALAUYOU zostawił rodzinny dom – wraz z żoną i córką mieszka dziś w Polsce. W rozmowie zwraca uwagę, że poza wysokimi wyrokami więzienia reżim zasądził też olbrzymie kary finansowe. Faktycznie, prócz grzywien (Bialacki równowartość 69 tys. dolarów, pozostali po 41 tys.) sąd nakazał ściągnąć z oskarżonych równowartość niemal 300 tys. dolarów. Reżim uważa, że pozyskali je na drodze przemytu. W istocie wydali te środki na pomoc ofiarom represji. – W praktyce oznacza to konfiskaty majątków. Nie tylko naszych, ale i naszych rodzin – mówi Salauyou.

Wyrok dla ludzi z Wiasny nie jest prawomocny, mogą się odwoływać. Tamtego 1 marca rozpatrywano taką apelację w sprawie Rabkowej i pozostałych skazanych. Sąd skrócił część wieloletnich wyroków – w tym najwyższy 17-letni dla anarchisty Alaksandra Franckiewicza, a także dla Rabkowej i Andreia Chapiuka. Całej trójce skrócono je o... trzy miesiące.

W kraju jest dziś prawie półtora tysiąca więźniów politycznych. ©

Ojciec chrzestny prezydentem

WOJCIECH JAGIELSKI

Bola Ahmed Tinubu, szara eminencja nigeryjskiej polityki, został ogłoszony nowym przywódcą tego najludniejszego kraju Afryki. Ale o tym, czy utrzyma się na tronie, rozstrzygnie sąd.

W mowie Jorubów, z których wywodzi się Bola Ahmed Tinubu, słowo „dżagaban" znaczy „szef", „wódz", „najlepszy z najlepszych". Tak właśnie od lat tytułują go jego ziomkowie. Tak mówił o nim również ustępujący – po dwóch czteroletnich kadencjach – prezydent Nigerii Muhammadu Buhari. Przekonywał, że „Dżagaban" najlepiej się nadaje na jego następcę.

Postać Tinubu otacza w Nigerii szczególna atmosfera: powiada się, że przez ostatnie ćwierć wieku to on rozdaje karty w tamtejszej polityce, namaszcza, awansuje i utrąca dygnitarzy. To on wyniósł do władzy Buhariego, który rządził krajem jako wojskowy dyktator w latach 1983-85, a jako cywil trzykrotnie bez powodzenia ubiegał się o prezydenturę – zdobył ją dopiero za czwartym razem, po tym, jak wsparcia udzielił mu „Szef".

Wcześniej wyznaczał gubernatorów stanu Lagos, najbogatszego i najbardziej wpływowego w całym kraju. Mówiło się o nim, że jest twórcą królów. Aż w końcu wiosną 2022 r., w swoje 70. urodziny, uznał, że sam chce zostać królem. „*Emi lo kan*" („Teraz to moja kolej") – obwieścił na partyjnej naradzie w Abeokucie.

„Ja odetkałem korki"

Poprzednie ośmioletnie panowanie Buhariego rozczarowało Nigeryjczyków. Ich niełatwe i tak życie stało się jeszcze biedniejsze (wydobycie ropy naftowej, głównego źródła dochodów, spadło do poziomu najniższego od ćwierć wieku) i niebezpieczniejsze (wskutek powstania dżihadystów z ruchu Boko Haram, wojen między pasterzami i rolnikami o ziemię oraz wodę, a także napadów rozzuchwalonych przestępczych gangów jedynie w 2022 r. zginęło ponad 10 tys. ludzi), a widoki na przyszłość – jeszcze marniejsze. Pod koniec rządów ustępującego prezydenta dziewięciu z dziesięciu mieszkańców uważało, że sprawy w ich kraju idą fatalnie.

Tinubu, dobrodziej Buhariego, bez skrupułów odciął się od odpowiedzialności za poczynania swojego poprzednika i rządzącej partii, której przewodził. „Nie jestem żadną partią – oznajmił przed wyborami, wyznaczonymi na ostatnią sobotę lutego. – Oceniajcie mnie po tym, czego dokonałem w Lagos jako jego gubernator. Kiedy obejmowałem rządy, miasto dusiło się w samochodowych korkach, wszędzie rosły góry śmieci, na ulicach trup ścielił się gęsto, rabunków dokonywano w biały dzień. Ja odetkałem korki, ja stworzyłem transport publiczny, uprzątnąłem śmieci, przegnałem przestępców".

Z cienia do polityki

Zwolennicy, a może raczej wyznawcy „Dżagabana" od lat widzą w nim półboga, wszechwładnego i wszechwiedzącego. Ale młodych – a w ponad 220-milionowej Nigerii prawie trzy czwarte mieszkańców nie ukończyło trzydziestki – nie przekonał. „To dawne dzieje, z przełomu stuleci. I on był innym, młodszym człowiekiem, i czasy też były inne – kręcili nosem. – Tinubu myśli i działa po staremu, a na nowe czasy potrzeba nam nowego, innego przywódcy. Tinubu należy do przeszłości".

Jak przystało na inny nadany mu przydomek – „Ojciec Chrzestny" – przez długie lata Tinubu trzymał się w cieniu, unikał rozgłosu. Właściwie niewiele o nim wiadomo. Jego dworzanie opowiadają o nim jako o człowieku, który do wszystkiego doszedł sam dzięki pracowitości i wytrwałości. Wyjechał na naukę do Ameryki, a po studiach pracował jako księgowy w kancelariach w Chicago. Wrócił do kraju jako 30-latek, dostał angaż w koncernie naftowym Mobil Oil i zrobił w nim błyskotliwą karierę.

Polityką zajął się jako 40-latek w czasach, gdy wojskowi dyktatorzy próbowali zaprowadzić w kraju III Republikę (pierwsza trwała od uzyskania niepodległości w roku 1960 do pierwszego puczu w 1966 r., a druga w latach 1979-83) i oddać władzę cywilom. Tinubu został senatorem w stanie Lagos. Demokratyczny eksperyment zakończył się jednak klapą, doszło do kolejnego wojskowego przewrotu, a Tinubu w obawie przed represjami uciekł w 1994 r. do Ameryki. Wrócił cztery lata później, gdy umarł generał-dyktator Sani Abacha, a inni generałowie znów obiecali oddać władzę cywilom.

Król intryg

W wyborach w 1999 r. został gubernatorem Lagos, ale jego partia przegrała zarówno elekcję prezydencką, jak też tę do parlamentu. Przegrywała i kolejne, aż do roku 2015, gdy Tinubu zebrał opozycyjne partie pod swoje skrzydła i jako Kongres Wszystkich Postępowców poprowadził do zwycięstwa w wyborach prezydenckich i parlamentarnych. Nigdy wcześniej w Nigerii nie zdarzyło się, by opozycja wygrała wybory i odebrała władzę rządzącym.

Nazywano go już wtedy „Ojcem Chrzestnym". Dorobił się tego przydomka jako gospodarz Lagos, pierwszej stolicy Nigerii i jej najbogatszego zakątka. Tinubu pełnił urząd gubernatora tylko przez dwie dozwolone kadencje (1999-2007), ale zdążył tak bardzo powiększyć majątek i polityczne wpływy, że na kolejnych gubernatorów mógł wyznaczać wyłącznie swoich faworytów i protegowanych.

Uchodził za arcymistrza w skłócaniu rywali, króla kuluarowych rozgrywek i intryg. Wyświadczał przysługi, zawiązywał przymierza, składał propozycje nie do odrzucenia. Rozszerzył swoje królestwo na cały kraj Jorubów na południowym zachodzie Nigerii, jako muzułmanin (jego żona jest chrześcijanką) zawarł sojusz z muzułmańską północą – i choć nie zajmował wtedy żadnego

AKINTUNDE AKINLEYE / EPA / PAP

Bola Ahmed Tinubu po oddaniu głosu podczas wyborów parlamentarnych w Lagos. Nigeria, 25 lutego 2023 r.

urzędu, wyrósł na najbardziej wpływowego polityka w całym nigeryjskim państwie.

Dzisiejsza młodzież, zwłaszcza ta wielkomiejska, ma jednak Tinubu za politycznego dinozaura (młodzi podejrzewają, że jest starszy, niż się podaje), za ucieleśnienie politycznego klientelizmu, prywaty i korupcji (nigdy nie wyjaśnił, jak dorobił się majątku, a gdy Amerykanie podejrzewali go o powiązania z przemytnikami heroiny, poszedł na ugodę z oskarżycielami i zapłacił pół miliarda dolarów). Słowem, za ucieleśnienie całego zła, przez które opływająca w ropę Nigeria, zamiast być państwem dobrobytu, od narodzin jest biedaczką i awanturnicą.

Ostatnia nadzieja młodych

Faworytem młodzieży w lutowych wyborach prezydenckich był 61-letni Peter Obi, były gubernator stanu Anambra (leżącego na południowym wschodzie kraju). Przekonał młodych, rozczarowanych polityką i demokracją, że jeśli coś w ich kraju i życiu ma się zmienić, to tylko pod jego rządami. Wydawał się zaprzeczeniem wszystkiego, co uosabiali Tinubu i trzeci z poważnych pretendentów, 76-letni Atiku Abubakar.

Cztery lata temu, ubiegając się o prezydenturę (po raz piąty), Abubakar wziął sobie Obiego na kandydata na wiceprezydenta. Obaj należeli do Ludowej Partii Demokratycznej, która rządziła w latach 1999-2015, a której Tinubu odebrał władzę. Gdyby w tegorocznych wyborach „ludowcy" wystawili wspólnego kandydata, pokonałby on pewnie „Dżagabana". Ale pokłócili się i zmarnowali szansę.

Choć w Nigerii wciąż obowiązuje dżentelmeńska umowa, że po dwóch kadencjach prezydenta z muzułmańskiej północy władza przechodzi w ręce południowca, pochodzący z północy Atiku Abubakar uparł się, aby wierna mu partia to jednak jego wystawiła w wyborach. Mając już ósmy krzyżyk na karku wiedział, że będzie to dla niego ostatnia okazja, by zdobyć prezydenturę. Obi, który liczył na nominację „ludowców", trzasnął drzwiami. Odciął się od starych elit, co zjednało mu młodzież, ale pozbawiło partyjnej machiny – niezbędnej, by odnieść sukces w wyborach.

W rezultacie, choć Obi zwyciężył w Lagos (twierdzy „Dżagabana") oraz w stołecznej Abudży, to finalnie zajął trzecie miejsce z wynikiem 25 proc. głosów. Wyprzedzili go zwycięski Tinubu (37 proc.; żaden z jego poprzedników nie zdobył tak mało głosów) i Atiku Abubakar (29 proc.).

„Wyborcy Obiego to mieszkańcy wirtualnego świata – mówił przed wyborami Tinubu, gdy pytano go, czy nie niepokoją go wyniki sondażów, przepowiadających zwycięstwo Obiego. – A w Nigerii władzę wciąż zdobywa się na wsi, tam gdzie żyją realni wyborcy".

Sądowa dogrywka

„Dżagaban" zostanie zaprzysiężony na prezydenta pod koniec maja. Ale Obi nie wywiesza białej flagi: zamierza zaskarżyć wybory do sądu (ma na to czas do końca marca), domagać się ich unieważnienia i powtórki głosowania.

Twierdzi, że władze celowo przeprowadziły je tak, by w regionach, gdzie mógł spodziewać się najlepszego wyniku, frekwencja była jak najniższa. Komisje otwierano z wielogodzinnym opóźnieniem, by zniechęceni czekaniem młodzi rezygnowali z oddania głosu. W rezultacie frekwencja wyniosła zaledwie 27 proc. i była najniższa od nastania demokracji w 1999 r. Powtórzenia wyborów zażądało od sądu także sześć partii opozycyjnych i sześć (z 36) stanów, na czele których wciąż stoją „ludowcy" (wybory nowych gubernatorów stanowych dopiero się odbędą).

Obi przekonuje, że dowiedzie w sądzie, iż został oszukany. Odkąd 24 lata temu w Nigerii znów nastała demokracja, wszystkie wybory były zaskarżane do sądu, ale żadne nie zostały unieważnione. W ogóle w Afryce zdarzyło się to tylko dwa razy – w 2017 r. w Kenii i w 2020 r. w Malawi. W Nigerii na ostateczny werdykt sądu przyjdzie pewnie długo czekać.

Obi dowiódł jednak, że potrafi być cierpliwy, a sprawy o politykę w sądach wygrywał. W 2003 r. zaskarżył wybory gubernatorskie w stanie Anambra, w których – jak twierdził – został oszukany. Proces trwał trzy lata i zakończył się jego zwycięstwem: w 2006 r. zajął stanowisko gubernatora. Wygrał też proces, by gubernatorską kadencję liczyć mu nie od wygranej w 2003 r., ale od objęcia urzędu w 2006 r. Trzecią sprawę wygrał w 2007 r., gdy Sąd Najwyższy przywrócił go na stanowisko, z którego wcześniej odwołał go parlament stanowy.

Sposobiąc się do kolejnej sądowej batalii, Obi wie jednak, że nawet najlepsza passa kiedyś się kończy. ©℗

Stanisław Maczek, 1920 r.

ZA KSIĄŻKĄ: J.L.ENGLERT, K.BARBARSKI „GENERAŁ MACZEK I ŻOŁNIERZE 1 DYWIZJI PANCERNEJ", LONDYN 1992

SPECJALSI ROKU 1919

Odważny manewr, pomysłowa taktyka: ponad sto lat temu Stanisław Maczek był prekursorem tego, co później nazwano elitarnymi wojskami specjalnymi.

KRZYSZTOF PIĘCIAK

Jadąc „zakopianką" z Krakowa na południe, od niedawna masyw góry Luboń Mały przecinamy tunelem między Naprawą a Skomielną Białą. Następnie wjeżdżamy na kilometrową estakadę – widokową, najwyższą w kraju. Od listopada 2022 r. nosi imię Stanisława Maczka.

Jaki związek ma ten generał – pochodzący z miasteczka Szczerzec pod Lwowem, znany z walk pod Chyrowem w 1919 r., a potem we wrześniu 1939 r. w południowej Polsce oraz w roku 1944 we Francji – z mijanymi wzdłuż „zakopianki" beskidzkimi szczytami?

„Strzelec tyrolski"

Urodzony 131 lat temu, 31 marca 1892 r., podczas studiów we Lwowie działał w Związku Strzeleckim, a gdy wybuchła Wielka Wojna, marzył o służbie w Legionach. Trafił jednak – podobnie jak ogromna większość Polaków z Galicji – do armii austro-węgierskiej.

Wspominając po latach ten czas, napisał, że został „strzelcem tyrolskim", a wojnę spędził sportowo, w formacjach wysokogórskich i narciarskich, gdzie – jako jedynemu oficerowi Polakowi – „nie wolno mi więc było być najgorszym". Na wojnę pójdą wtedy także trzej jego bracia: bliźniak Franciszek oraz młodsi Jan i Karol. W kolejnych latach straci wszystkich: Franciszek i Karol polegną w mundurach austriackich, Jan umrze od ran w maju 1920 r. już jako podporucznik Wojska Polskiego.

Spisując wspomnienia, Maczek wprawił w zakłopotanie przyszłych historyków – niezamierzenie, ze względu

na trudną do precyzyjnego przełożenia austriacką terminologię. Pisał, że służył w formacjach wysokogórskich, wśród strzelców tyrolskich, stąd długo przypisywano go do 2. Pułku Tyrolskich Strzelców Cesarskich – złożonego wprawdzie głównie z tamtejszych górali, ale niebędącego jednostką górską.

W istocie trafił – jak wykazał historyk Sławomir Kułacz – do II Pułku Strzelców Krajowych (od 1917 r. zwanego Kaiserschützen, strzelcy cesarscy). Wprawdzie bez Tyrolu w nazwie, lecz górskiego i rekrutowanego z mieszkańców ówczesnych austriackich regionów Brixen i Trydent. A z czasem również z Chorwatów (z nimi Maczek, którego dziadek był Chorwatem, odczuwał pokrewieństwo) oraz nielicznych Polaków.

Cztery odznaczenia

W 1915 r. walczył w Karpatach – i już w dwa dni po przybyciu na front wyróżnił się wytrwałością w boju podczas rosyjskiego ataku, za co po raz pierwszy przedstawiono go do odznaczenia. Wkrótce trafił ze swoim pułkiem na front włoski. Walczył w Alpach, kształcił jako instruktor w szkole oficerów rezerwy i znów bił się na froncie, dowodząc plutonem i kompanią. Zbierał doświadczenie w walkach w górach, kończąc wojskowe kursy: szturmowy, wysokogórski i narciarski.

Po latach przyzna, że przydała się ta praktyka w późniejszych bojach – z Ukraińcami w latach 1918-19 r., z bolszewikami w 1920 r., na Podhalu w 1939 r. i we Francji w 1944 r. Pisał: „do końca mej służby wojskowej byłem szczęśliwym, gdy teren na mapie zaczynał się gmatwać i czernić wartwicami – najlepiej mi się wtedy wojowało".

Docenią to już austro-węgierscy przełożeni, chwaląc energicznego frontowca, lubianego przez podwładnych, którego jedyną słabością jest brak biegłości w języku niemieckim. Choć pierwszy wspomniany wniosek odznaczeniowy zwrócono ze względu na zbyt krótki pobyt Maczka na froncie, potem doceniono go czterema austro-węgierskimi odznaczeniami za odwagę i zasługi w bojach w trudnym górskim terenie.

Z Alp do Krosna

„Koniec wojny zastał mnie daleko i wysoko, bo ponad 3000 metrów w Alpach austriackich – w pułku, który wciąż chciał wygrać wojnę dla Austrii" – napisze po latach.

Gdy jesienią 1918 r. armia austro-węgierska zaczyna się rozpadać, Maczek rusza do Galicji, gdzie złożone z polskich żołnierzy garnizony oraz peowiacy i młodzi ochotnicy oswabadzają – począwszy od Tarnowa i Krakowa – kolejne miasta. Po drodze żegna się z adiutantem Ukraińcem, którego obowiązek wzywa do walki po przeciwnej stronie. Jest listopad, zaczynają się polsko-ukraińskie walki o Przemyśl i Lwów.

W tych dniach w Krośnie i okolicy panuje entuzjazm: do powstających oddziałów zgłasza się młodzież z okolicznych miast, z Jasła, Odrzykonia, Haczowa, gotowa zapałem nadrabiać braki w wyszkoleniu i wyposażeniu. Formują kompanię, „pół na pół stary żołnierz z przeróżnych frontów i zdarzeń armii austriackiej czy legionów, i chłopcy nieletni, niedorostki, wprost z ławy szkolnej lub opiekuńczych skrzydeł matki". Brakuje dowódcy. Zostaje nim Maczek, który przez Kraków dociera do Krosna, gotów iść na odsiecz rodzinnego Lwowa.

Kolejne miesiące spędzi, walcząc pod Ustrzykami Dolnymi i Chyrowem – na dzisiejszym polsko-ukraińskim pograniczu – jako oficer 3. Batalionu Strzelców Sanockich.

Manewr i inicjatywa

Chyrów – dziś ukraińskie miasteczko przy granicy z Polską – to wówczas punkt strategiczny: krzyżują się tu drogi prowadzące na Przemyśl, Sambor (i dalej na Lwów), a także na Sanok i na południowy-wschód, ku roponośnemu Zagłębiu Drohobycko-Borysławskiemu. Oraz dwie kluczowe linie kolejowe: transwersalna (tj. wiodąca z zachodu na wschód przecinając góry, od Czadcy do Husiatyna) z linią Węgiersko-Galicyjską (Budapeszt–Lwów, w Galicji łącząca Lwów z Przemyślem).

Dla obu stron jest to punkt kluczowy: dla Polaków, by iść na odsiecz oblężonego Lwowa (polskie dowództwo planuje skierować tędy jedną z grup odsieczy) lub zająć zagłębie naftowe. Dla Ukraińców – by je utrzymać (ropa to dla nich ważny surowiec, za który kupują broń i amunicję), zatrzymać Polaków i atakować na Przemyśl lub Sanok.

Tamten konflikt polsko-ukraiński różni się od Wielkiej Wojny: znacznie mniej liczne wojska walczą nie o rozbudowane linie okopów (te powstają rzadko), lecz o kluczowe punkty: o miejscowości, linie kolejowe. O sukcesie decydują manewr i inicjatywa.

W takich warunkach uwidaczniają się cechy Maczka: połączenie umiejętności wykonania odważnego manewru, który daje przewagę (pozwala obejść przeciwnika i zaatakować z kierunku, z którego najmniej się tego spodziewa), z wykorzystaniem warunków terenowych. A także pomysłowość: np. aby zniszczyć dokuczliwą ukraińską baterię artylerii, która ostrzeliwała linię kolejową, rozkazuje żołnierzom założyć na płaszcze bieliznę. Zamaskowani na tle śniegu, przekradli się przez linie wroga i wykonali zadanie.

Szturmowcy: specjalsi sprzed stu lat

Umiejętności Maczka docenia dowództwo. Gdy wiosną 1919 r. sanocki batalion zostaje włączony do 4. Dywizji Piechoty, obejmuje nowo utworzony w niej oddział: lotną kompanię szturmową. Nazwa, jak zanotuje, „pretensjonalna, ale może nie w złym znaczeniu, bo żołnierz lubi takie nazwy specjalne jak szturmowy, lotny, pościgowy i chętnie za nie płaci krwią na polu bitwy". Żołnierze to w tym przypadku ochotnicy, wybrani z najlepszych z sanockiego batalionu, a nawet z całej dywizji, „młodzieńczo prężni i nierozważni", bieglejsi w walce nożem i granatem niż w defiladach.

Oddziały szturmowe to idea powstała podczas Wielkiej Wojny, odpowiedź państw centralnych – ich prekursorami byli Niemcy, a ich śladem poszła armia Austro-Węgier – na impas wojny okopowej.

Wyszkoleni w skrytym przechodzeniu ziemi niczyjej, obrzucaniu okopów granatami, następnie opanowywaniu ich i utrzymaniu do przybycia wsparcia, „szturmowcy" nieraz dowiedli swej skuteczności. W szarozielonych maskujących mundurach i stalowych hełmach, z zapasem granatów i nożem przy pasie, wspierani bronią maszynową, artylerią, miotaczami ognia, bliżsi byli żołnierzom kolejnej wojny światowej niż poprzednikom sprzed ledwie kilku lat. Taka taktyka okazała się skuteczna.

↦

ZBIORY MUZEUM HISTORYCZNEGO W SANOKU

ARCHIWUM IPN

Od lewej: żołnierze kompanii karabinów maszynowych z 3. Batalionu Strzelców Sanockich w Baligrodzie, 1919 r. Stanisław Maczek dowodził wówczas najpierw kompanią krośnieńską z tego batalionu, a potem kompanią karabinów maszynowych. Spotkanie weteranów z Batalionu Strzelców Sanockich, 11 listopada 1938 r.

↦ W warunkach walk manewrowych z lat 1918-20 koncepcję specjalizacji w przełamywaniu linii okopów zarzucono. Ale wciąż były potrzebne oddziały złożone z żołnierzy najbitniejszych i najlepiej wyszkolonych, kierowane do zadań najtrudniejszych lub pełniące funkcję „straży pożarnej" – odwodu interweniującego w kryzysowej sytuacji.

Taką była lotna kompania 4. DP. Na czele oddziału – transportowanego wozami (dzięki temu ludzie są mniej zmęczeni) i wyposażonego w liczne karabiny maszynowe – Maczek wykonuje w roku 1919 akcje, do jakich dziś kieruje się oddziały elitarne i specjalne: działania na szpicy własnych wojsk, by uchwycić kluczowy dla przeprawy dywizji most; rajdy na tyły wroga; błyskawiczne zajęcie celu (np. Drohobycza – Maczek zna teren, był tam harcerzem i kończył gimnazjum). W brawurowym rajdzie ewakuuje grupę Polek, które schroniły się w klasztorze urszulanek w Jazłowcu, głęboko na terenie opanowanym przez Ukraińców.

Obserwujący jedną z akcji „lotnej", Józef Piłsudski na polu walki awansuje Maczka.

Gdy ten opuszcza dywizję, w pożegnalnym rozkazie jej dowództwo pisze, że z jego odejściem traci ona jednego z najwybitniejszych oficerów. Ale komendę „szturmowców" obejmie znów już kilka miesięcy później, gdy latem 1920 r. staje na czele batalionu szturmowego wchodzącego w skład 1. Dywizji Jazdy. Bije się ze słynną Armią Konną Siemiona Budionnego. Dowódca dywizji opiniuje: „Wybitny oficer pod każdym względem".

Ułani zmotoryzowani

Gdy nastaje pokój, Maczek pozostaje w armii jako oficer zawodowy. Jego doświadczenie zaowocuje, gdy pod koniec 1938 r. ten ówczesny pułkownik dyplomowany – wtedy dowódca piechoty dywizyjnej w częstochowskiej 7. Dywizji Piechoty – otrzyma komendę 10. Brygady Kawalerii: pierwszej w Wojsku Polskim jednostki całkowicie zmotoryzowanej (wówczas mówiono: motorowej lub pancerno-motorowej). Decyzja go zaskoczyła – był wszak piechurem, a brygada z tradycji była kawaleryjska. Doceniono jego doświadczenie w dowodzeniu jednostkami mobilnymi, ukończone studia wojskowe i wybitne opinie przełożonych.

Znalazł wspólny język z kawalerzystami. Franciszek Skibiński, szef sztabu brygady, doceniał talent taktyczny dowódcy. Pisał: „Z długoletniej obserwacji jego dowodzenia mógłbym przytoczyć wiele przykładów bardzo oryginalnych rozwiązań, odznaczających się nie tylko doskonałym wyczuciem sytuacji i terenu, ale również śmiałością i rozmachem". Skibiński i Maczek stworzą skuteczny duet podczas kampanii w 1939 r. w Polsce, Francji w 1940 r. i potem w 1944-45 r. (Francja, Belgia i Niemcy).

Zyska także uznanie podkomendnych. – Łzy w oczach stanęły jemu i mnie, gdyśmy się żegnali – wspomni po latach w rozmowie z autorem tekstu Tadeusz Lutak, dziś 106-letni weteran, w 1939 r. kapral, goniec w 121. Kompanii czołgów lekkich.

Trzon jego brygady stanowiły dwa pułki: 24. ułanów i 10. strzelców konnych. Z nazwy pozostają kawaleryjskie, ale koni już w nich nie ma: żołnierze kawalerii zmotoryzowanej poruszają się ciężarówkami, samochodami i motocyklami. Liczebnością porównywalne z batalionami piechoty, są jednak silniej nasycone bronią maszynową i przeciwpancerną. Oraz dywizjony: rozpoznawczy, przeciwpancerny i artylerii, kompanie czołgów Vickers i tankietek, batalion saperów i działa przeciwlotnicze – łącznie kilkadziesiąt pojazdów pancernych (etatowo: 16 czołgów, 26 tankietek) i ponad 4,5 tys. ludzi.

To oddziały całkowicie zmotoryzowane, podczas działań wojennych jej żołnierze nie muszą się zmagać z bolączką piechoty – codziennymi wielokilometrowymi marszami. Są w stanie przemieszczać się szybko i na duże odległości, by – jak przewiduje dowódca – „na czas zlokalizować pożar to tu, to tam".

„Nie dopuścić, by nieprzyjaciel..."

Taki „pożar" pojawia się już pierwszego dnia niemiecko-słowackiej agresji – nad ranem 1 września 1939 r. Tego dnia płk Janusz Gaładyk, dowódca 1. Brygady Górskiej Strzelców – chroniącej polskie skrzydło od strony Słowacji i rozciągniętej między Żywcem a Gorcami – telefonuje do sztabu Armii „Kraków": „Cała dolina Orawy pełna setek czołgów, samochodów pancernych i transportowych, sunących na Jabłonkę, Spytkowice i Czarny Dunajec. Nie zrozumcie mnie źle, 1 Pułk KOP [współtworzący tę brygadę] spełni rolę Leonidasa, ale myślcie o swoim skrzydle i tyłach".

Nie jest to meldunek panikarza: przez Orawę i Podhale istotnie suną na północ setki czołgów Wehrmachtu: 2. Dywizja Pancerna, 4. Dywizja Lekka (zmotoryzowana i też dysponująca czołgami) oraz

ZBIORY PIOTRA SADOWSKIEGO x2

Od lewej: krzyż w Naprawie, nieopodal północnego wylotu dzisiejszego tunelu (stoi do dziś). Z tego miejsca płk Maczek obserwował 2 września 1939 r. przebieg bitwy pod Jordanowem. Grób ułana Mieczysława Borkowicza i rozbity polski sprzęt (armata przeciwpancerna i motocykl sokół) w Skomielnej Białej, wrzesień 1939 r.

maszerująca za nimi 3. Dywizja Górska. Przewaga wroga jest tak przytłaczająca, że odwołanie do antycznej klasyki, do bitwy pod Termopilami, jest zasadne: Gaładyk może przeciwstawić wrogowi garść armat i karabinów przeciwpancernych. W razie przełamania polskiej obrony wróg mógłby zjawić się szybko pod Krakowem – na tyłach Armii „Kraków", rozwiniętej wzdłuż granicy od Beskidu Śląskiego po Częstochowę.

Dowódca armii rzuca więc na południe odwody, w tym najsilniejszy: brygadę Maczka. Rozkaz brzmi: „Nie dopuścić, by nieprzyjaciel wyszedł z wąwozów górskich. W tym celu opóźniać go jak najdłużej na kierunkach Myślenice i Dobczyce". Maczek rusza w góry. Gdy następnego dnia rano Niemcy atakują Wysoką, trafiają na jego ludzi – przełamanie obrony przypłacą dotkliwymi stratami [patrz „Reduta pod Wysoką", „TP" 37/ 2021 – red.].

Przeciwko trzem dywizjom

Kluczowe jest jednak coś innego: przełamanie obrony pod Wysoką nie daje Niemcom zwycięstwa. Maczek, któremu podporządkowano strzelców Gaładyka, organizuje kolejne linie obrony, zatrzymuje przeciwnika na linii rzeki Skawy w rejonie Jordanowa. Po całodziennej walce 2. Dywizja Pancerna posuwa się zaledwie 4-5 km do przodu.

Także w kolejnych dniach Maczkowe opóźnianie jest skuteczne: ułani i strzelcy konni, wyposażeni w broń przeciwpancerną, walczą pod Naprawą i Skomielną Białą. Walczą i kontratakują także polskie czołgi. Choć do walki wchodzi kolejna, trzecia już dywizja przeciwnika – 3. Górska – nie udaje się Niemcom skruszyć obrony. Gdy wieczorem upada Mszana Dolna, co zagraża polskim tyłom, Maczek ponownie wykorzystuje atut brygady – mobilność – by przerzucić większość jej sił naokoło, szosą przez Myślenice i Dobczyce, by móc dalej powstrzymywać Niemców. W walkach w dolinie Raby, pod Kasiną Wielką, Skrzydlną, odchodząc stopniowo w stronę Myślenic, Bochni, Nowego Wiśnicza udaje się to przez kolejne dwa dni.

W efekcie ułani i strzelcy konni Maczka, z nieliczną artylerią, czołgami i tankietkami, oraz żołnierze Gaładyka skutecznie opóźniają trzy niemieckie dywizje. Nie są w stanie ich pobić (i tego nikt od nich nie oczekuje), ale spowalniają znacznie liczniejszego wroga, ratując dywizje Armii „Kraków" przed wpadnięciem w okrążenie.

Tunel i estakada

W 2014 r. pada propozycja, by tunel, mający połączyć wsie Lubień i Skomielną Białą, przecinający górę Luboń Mały – wówczas dopiero planowany – nazwano imieniem Maczka. Idea nadania tego właśnie patrona okazuje się głębsza niż sam fakt bronienia południa Małopolski przez 10. Brygadę.

Dr Piotr Sadowski, autor monografii bitwy jordanowskiej, przekonuje w rozmowie: – W rejonie budowanego tunelu jego żołnierze dali 2 i 3 września 1939 r. liczne przykłady poświęcenia, próbując powstrzymać przeważające siły wroga. Niedaleko północnego wylotu obecnego tunelu płk Maczek miał swój punkt obserwacyjny w czasie walk o Jordanów 2 września. Do kluczowego starcia 3 września doszło bezpośrednio nad obecnym tunelem. O skuteczności naszych działań obronnych zdecydowało pojawienie się na polu walki czołgów Vickers, które kontratakując wzdłuż szosy, odepchnęły Niemców, umożliwiając pułkowi wycofanie się na kolejną pozycję. Trudno o lepsze skojarzenia ponad to, że płk Maczek był w tych miejscach, osobiście organizując obronę. Jego żołnierze tu ginęli. Trzej zostali pośmiertnie odznaczeni Krzyżami Virtuti Militari.

Za postacią Maczka przemówiły także jego późniejsze dokonania: boje we Francji w 1940 r. (już jako generał) i ponownie w 1944 r. na czele 1. Dywizji Pancernej – walki pod francuskim Falaise, wyzwalanie holenderskiej Bredy i zajęcie niemieckiego portu Wilhelmshaven. Do Polski nie wrócił: pozbawiony obywatelstwa przez komunistów, został na Zachodzie. Zmarł w 1994 r. w Edynburgu, w wieku 104 lat. A prócz zasług wojennych, był też kandydatem apolitycznym, uniwersalnym.

Ostatecznie staraniem gminy Lubień imieniem generała Maczka nazwano estakadę, rozpościerającą się na południe od wylotu tunelu. Prócz panoramy na Beskidy, łączy ona miejsca walk jego żołnierzy pod Skomielną Białą i Chabówką.

© KRZYSZTOF PIĘCIAK

Autor jest historykiem, pracuje w Biurze Poszukiwań i Identyfikacji Oddziału IPN w Krakowie. Ostatnio wydał: „W oddziale »Babinicza«. Działalność oddziału Konspiracyjnego Wojska Polskiego »Jastrzębie«/»Oświęcim« i losy jego partyzantów" oraz „Oddziały szturmowe Wojska Polskiego" (współautor).

Demokracja potrzebuje Twojego wsparcia naprawdę

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE OPP

ELIZA

Kącka:
Diabłu pasztet

NOTOWANE Z POŚPIECHEM W METRZE. dwie młode nauczycielki: „kazałam swoim na Dzień Kobiet przygotować gazetkę z Szymborską”. „fajnie”. „wiesz, portret z netu, kilka wierszy. i dyrektor to zablokował”. „co?!”. „wuefista doniósł i musiałam zmienić na Konopnicką”. „haha”. „no to dałam zdjęcie z Dulębianką, nie dałam »Roty«. plus kwiatki w sześciu kolorach”. „i co?”. „słuchaj, nic”. „?”. „on nie analizuje. sam ma w gabinecie portret Konopnickiej obok papieża”. „haha”. „jak mnie przyjmował do pracy, powiedział: »zajmuje się pani dziedziną świętą«. ale jak wyszło, że robiłam magisterkę ze Świrszczyńskiej, to: »nie możemy udawać, że tego nie było, ale proszę z umiarem«”. „czego nie było?”. „no, współczesności”.

para w autobusie 180. „bo ty jesteś przemocowy”. „ja?!”. „no, bo ty piszesz do mnie na mesendżerze”. „a gdzie mam pisać”. „ale ty widzisz wtedy, czy ja wyświetlam wiadomość, czy nie”. „na esemesy nie odpowiadasz”. „esemesy to twoja babcia wysyła”. „no, wyobraź sobie, że nie. mama wysyła”. „bo ty jesteś synuś”. „nie jestem. odesłałem matce wałówkę inpostem”. „ona umie to odebrać?!”. „a co mnie to obchodzi”. „dobra, mówmy o nas. jesteś przemocowy”. „to co mam zrobić? dzwonić?”. „nie!!!! boję się telefonów”. „no, to zostaje mesendżer”. „nie męcz”. „to nie będę pisał w ogóle”. „chcesz ze mną zerwać? wiesz, że to jest przemocowe? jeszcze w Dzień Kobiet, men, ogarnij się”.

zakupy w lidlu. pora szczytu społecznego. kolejka, przede mną staruszka, drobna, sprytna w ruchach. rozgląda się, w końcu do mnie: „pani młoda, a czy to jest karta do płacenia?”. podtyka mi kartę, owszem. „a ile ja tu mam pieniążków?”. „a nie wiem”. „to skąd ci w kasie wiedzą?”. „też nie wiedzą...”. „czyli szachrajstwo”. odwraca się na poirytowaniu. po minucie znów do mnie z uśmiechem: „przyjeżdżam autobusem popatrzyć, co ludzie kupują”. „aha”. „widzę, że pani ma papierek”. a tak, toaletowy, pod pachą. „pani się nie wstydzi?”. „nie wstydzę się”. „pani młoda, każdy się wstydzi”. „czego?”. „nie w lidlu!”. odwraca się na chwilę. powrót: „ja chcę tu ciągle bywać”. „nikt pani nie broni”. „jakbym się pani dała wyciągnąć na rozmowę o wydalaniu, to bym tu nie wróciła”. „?”. „oni tu muszą mieć kamery”. „y?”. „a po co ja się tu tak ubieram?! do mojego sklepu to ja chodzę o lasce w piżamie”. pauza. „niedobrze, niedobrze, niech się pani uśmiechnie”. szczerzę się.

dwójka kiele siedemdziesiątki w 131. „a to dziś Popielec?”. „a niby dlaczego do kościoła cię wiozę?”. „ale ty już byłaś rano”. „można dwa razy. ksiądz przy sypaniu pozwalał brać dla rodziny...”. „wzięłaś?”. „nie. rok temu cię sypałam z książeczki i dość”. „a może ja bym wieczorem poszedł?”. „co ty mi tu kombinujesz?”. „pasztet zjadłem”. „co??!”. „pasztet z chlebem rano zjadłem, zapomniałem”. „to ty w ogóle nie masz po co do kościoła iść!”. „ja cię przepraszam”. „Boga przepraszaj”. pauza. „no i widzisz, mówiłam, szatan na święto czeka. cały tydzień ser, a dziś się dorwałeś do mięsa”. „zaraz »dorwałeś«”. „jak to niewiele trzeba diabłu. pasztet!”.

dwie koło trzydziestki w bibliotece. kawa w holu, ławki. „i jak relacje z promotorką?”. „nie odzywa się do mnie”. „dlaczego?!”. „nie oddałam rozdziału”. „twoja strata, nie jej”. „oj nie, kochanie, nie znasz uczelni”. „a bo co?”. „to jest zniewaga”. „hę?”. „nie oddajesz rozdziału, znaczy: nie boisz się promotora. czyli lekceważysz promotora. czyli odmawiasz kultu”. „nie pojmuję tego waszego świata. przecież ona ma już dawno profesurę”. „nie szkodzi. dzwoniłam do niej”. „i co?”. „odebrała, bo nie miała mnie w kontaktach. przez chwilę było miło, bo jej wnuk się włączył. ale po godzinie mi napisała maila, że się zawiodła”. „no trudno”. „ty nie wiesz, że w języku tego plemienia znaczy to »zginiesz marnie«”. „jesteście chorzy”. „spoko. i tak ją dostarczyłam do domu”. „poczekaj, pogubiłam się”. „no, byłam z nią na weselu jej doktorantki. samochód jej się zepsuł, to ją podwiozłam”. „i co? nie pomogło?!”. „uniwersytet się nie poddaje”.

podchodzi gość pod siedemdziesiątkę, w 503, i wypala na cały autobus: „a pani to niech się opamięta!”. ja, że o co chodzi. gość wgapia się we mnie dłuższą chwilę, zbiera myśli. „to nie pani”. nu dobrze. stoimy. „ja już mam dość tych zleceń” – mówi gość. ja, że jakich? „no bo żona mnie tak czasem posyła, żeby coś komuś powiedzieć. i miałem polecenie na taką babkę z naszego bloku”. „a, rozumiem, podobna”. „podobna, ale jednak większy nos. no, miałem jej powiedzieć przy ludziach, żeby się opamiętała – i pójść sobie. no tak, wie pani...”. „dać do zrozumienia”. „ototo. ale znowu nie trafiłem. ja mam słabą pamięć do twarzy”. „ech”. „i tak się zawsze kończy, że robię za wariata i jeszcze muszę obcą babkę przepraszać”.

wieczór sylwestrowy, park Morskie Oko. z rzadka apatyczne wystrzały. idziesz w górę, ku pałacykowi Szustra. ławka, odpoczynek, obok gość przytula się do drzewa. „i widzisz, nigdzie spokoju”. „prawda” – myślisz. „ja już sobie darowałem rozmowy, ale z tobą jeszcze mogę”. pauza. „milczysz, a i tak wiem, że rozumiesz. tyle ci powiem”. myślisz z uszanowankiem, że ktoś tu wywołuje duchy w parku. gość raptem na poirytowaniu: „dobra, wyłaź już, jak długo można siedzieć na kupie”. zza kępy drzew wyłazi siodłaty, posapujący buldog. ©

NAUKA

MÓJ SĄSIAD NIEDŹWIEDŹ

NIKITA OVSYANNIKOV, ZOOLOG

Spotkałem się z nimi tysiące razy
i tylko w czterech sytuacjach próbowały mnie zabić.
Za każdym razem udało mi się zatrzymać agresję.
Wystarczył gaz pieprzowy i patyk.

MARIA HAWRANEK: Zacząłeś od lisów arktycznych.

NIKITA OVSYANNIKOV: Od zawsze pociągały mnie ssaki drapieżne i ich zachowania. Lisom poświęciłem dekadę. Wybrałem Wyspę Wrangla na Oceanie Arktycznym, bo to był jedyny obszar chroniony, gdzie ich nie łapano i mogłem je obserwować na wolności. Wtedy, na przełomie lat 70. i 80., ich zachowanie nie było dobrze zbadane. Uważano je za samotnicze zwierzęta, które tworzą pary tylko w okresie godowym. Odkryłem nowy świat ich życia społecznego – np. to, że potrafią tworzyć pary na całe życie. W czasie tych badań zainteresowałem się też niedźwiedziami polarnymi.

Jak bada się zachowania zwierząt w dziczy?

Musisz poświęcić znaczną część życia, by żyć obok nich. To jedyny sposób, by zrozumieć, jaka jest dynamika ich relacji. Być i widzieć na własne oczy. Mówię o tym, bo dziś wiele badań przeprowadza się za pomocą technologii – wyłapywanie, znakowanie itd. Śledzi się niedźwiedzie z helikoptera, by je uśpić i pobrać próbki do biopsji. To bardzo inwazyjne metody, które stresują zwierzęta. I nie dają pełnej wiedzy – zbierasz próbki, ale nie obserwujesz procesów. Musiałem zamieszkać wśród zwierząt, żeby obserwować ich naturalne życie, którego nie zaburza obecność obserwatora.

Można stać się obojętnym obiektem? Przecież zwierzęta Cię widzą, mogą uznać za zagrożenie. Jak zaznaczyć swoje granice?

Z lisami polarnymi to było łatwe – są małe, nie mogą cię skrzywdzić, to ty jesteś dla nich dużym zwierzęciem. Wystarczy ich nie krzywdzić, nie gonić. Są mądre, szybko zorientują się, że nie masz złych intencji. Ignorują cię, stajesz się kolejnym zwierzęciem w tym habitacie.

Nie są ciekawe? Nie podchodzą?

Oczywiście, że podchodzą. Ale ja im nie przeszkadzam w życiu. Podchodzą, patrzą: a, znamy tego gościa, jest nieszkodliwy. Z niedźwiedziami jest inaczej. Gdy się pojawisz, nie ma możliwości, by nie podeszły sprawdzić, co z ciebie za jeden. Są ogromne i dlatego niebezpieczne – mogą cię uznać za ofiarę. Wcześniej nie miałem żadnego doświadczenia z tak wielkimi drapieżnikami, ale moja filozofia od samego początku opierała się na zasadzie: jeżeli mam ambicję, by żyć wśród niedźwiedzi polarnych i badać je w ten sposób, nie mogę ich skrzywdzić. Dlatego nigdy nawet nie pomyślałem o tym, by nosić przy sobie broń.

No właśnie – z tego słyniesz, że jako jeden z niewielu badaczy niedźwiedzi polarnych nie nosisz broni.

Jeżeli nie mogę badać tych zwierząt bez wyrządzenia im krzywdy, to po prostu nie powinno mnie tam być. Jeśli do nich przyjeżdżam, robię to na własne ryzyko. Broń nie wchodzi w grę.

Jak się do tego w ogóle zabrałeś?

Znałem małą chatę położoną na przylądku Blossom Point na Wyspie Wrangla, dawną stację meteorologiczną. Wymagała remontu, ale nadawała się do użytku. To miejsce, gdzie zwykle na plaże tłumnie przybywają stada morsów arktycznych, więc i niedźwiedzie polarne często się tam pojawiają. Spodziewałem się, że jeśli przyjadę tam na przełomie lata i jesieni, spotkam ich przynajmniej tuzin i to będzie dobry początek moich badań.

Pojechałem tam z operatorem BBC. Wsiedliśmy na obładowane quady i jechaliśmy cały dzień. Gdy zaczęliśmy zbliżać się do końca przylądka, zdałem sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Co kilometr widzieliśmy niedźwiedzia polarnego albo dwa. Ogromna koncentracja. Gdy dotarliśmy do chatki, zapadał zmierzch, a wokół niej kręciło się 25 niedźwiedzi polarnych.

25?! I co zrobiły?

Później zdaliśmy sobie sprawę, że na przylądku było wielkie zgrupowanie niedźwiedzi, a w okolicy było ich około 200.

Gdy podjechaliśmy do chatki, oczywiście odeszły na pewien dystans, ale po chwili zaczęły się przybliżać, by zbadać

ROY MANGERSNES / BE&W

Młody samiec polujący samotnie na lodzie. Jeśli się mu nie powiedzie, starsze niedźwiedzie mogą podzielić się z nim jedzeniem. Spitsbergen, Norwegia, czerwiec 2016 r.

przybyszów. My się rozpakowywaliśmy, a one zaglądały przez okna, obwąchiwały ściany. Musiałem je odstraszyć od chatki. A potem zdecydować, co dalej. Nie miałem pojęcia, co mogą zrobić. W różnych książkach i zapiskach z Arktyki były odmalowywane jako niebezpieczne, atakujące ludzi. Gdyby tak było, musielibyśmy natychmiast wycofać się z tej chatki, bo nocą weszłyby do środka i nas stamtąd wywlekły. Do rana nic by z nas nie zostało.

Rozumiem, że przyjąłeś inne założenie.

Pomyślałem, że niedźwiedzie są normalnymi dzikimi zwierzętami, więc powinny być ostrożne wobec wszystkiego, co może im się wydać potencjalnym niebezpieczeństwem. Jeśli przedstawię się jako wielki, agresywny drapieżnik, może dominujący w społeczności, zrozumieją to, uszanują i będą wobec mnie zachowywać dystans. I tak zrobiłem. Pokazywałem im, że jestem wielki, że je zaatakuję, odstraszałem je od chatki z łopatą w ręku. I zauważyłem, że są bardzo wrażliwe, ostrożne, przerażał je widok tego potwora pod chatką.

Krzyczałeś? Czytałam, że nie reagują na dźwięk.

Nie. Ostatnio dowiedziałem się zresztą, że ludzki głos mógłby być prowokujący, czyli przyniósłby odwrotny efekt. Noc spędziliśmy spokojnie, chociaż słyszałem, jak podchodzą i nas obwąchują.

Moim pierwotnym celem było badanie zachowań społecznych, polowań i strategii przetrwania niedźwiedzi. Tamtego pierwszego wieczoru zrozumiałem, że również moje spotkania z niedźwiedziami będą ważnym źródłem wiedzy o ich zachowaniach. Zacząłem prowadzić dziennik naszych spotkań, tak samo jak prowadziłem dziennik ich obserwacji. Rozwijałem metody bezpieczeństwa, niewymagające użycia broni. Opracowałem je dla siebie, teraz uczę ich innych.

Jak przedstawiłbyś ich główne założenia?

Po pierwsze, zapobiegać bezpośrednim spotkaniom. Po drugie, nie pozwolić, aby spotkanie przemieniło się w konflikt, a po trzecie – jeśli już konflikt się pojawi, wówczas w ekstremalnych wypadkach – zatrzymać agresję. Ale nigdy z użyciem broni. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym ↦

↦ skrzywdzić niedźwiedzia w jakikolwiek sposób.

W czasie 26 sezonów spędzonych w Arktyce niedźwiedzie zaatakowały Cię tylko cztery razy.

Spotkałem się z nimi tysiące razy i tylko w czterech sytuacjach próbowały mnie zabić. I zawsze to ja je prowokowałem, popełniając jakiś błąd. Za każdym razem udało mi się zatrzymać agresję. Wystarczył gaz pieprzowy i patyk. Ten sposób zawsze działa.

Czemu prawie zawsze jeździłeś sam?

Ze względów bezpieczeństwa. Jeśli jestem sam, jestem odpowiedzialny tylko za siebie i wiem, co robię. Jeśli jestem z kimś, muszę też pilnować tej drugiej osoby – nigdy nie wiem, jaki błąd może popełnić, a on może doprowadzić do eskalacji konfliktu. Wiedziałem, że będąc sam, ryzykuję. Ale w ten sposób ograniczałem też moją interferencję w środowisko – niedźwiedzie postrzegały mnie jako samotnika. Jeśli jest nas dwoje, niedźwiedzie widzą nas już jako grupę, co wywołuje inne reakcje, większą ostrożność. A ja chciałem, by zachowywały się przy mnie jak najbardziej naturalnie.

Ile czasu w ciągu roku spędzałeś na ich badaniu?

Kilka miesięcy, czasem połowę roku. Na Wyspie Wrangla spędziliśmy też z żoną i córką cztery lata, przyjechaliśmy, jak miała 2,5 roku. Większość czasu przebywała na lądzie z babcią, w ciepłym klimacie. Poza tym mieszkaliśmy w wiosce, która wkrótce po upadku ZSRR wyludniła się i zamknęła. Moja żona badała ze mną lisy i nadal je bada, a kiedy ja zająłem się niedźwiedziami, ona zaczęła obserwować sowy śnieżne. Moja córka też jest zoolożką, zrobiła doktorat z badań nad delfinami i mieszka w Australii.

Gdy byłeś sam, nie czułeś się samotny?

Z niedźwiedziami nigdy nie czuję się samotny! Pierwsze 15 lat obserwowałem je do czasu, gdy schodziły na lód. Robiły to, gdy Ocean Arktyczny zamarzał. W latach 90. zaczynało się to w październiku, w listopadzie lód był już na tyle gruby, by niedźwiedzie mogły po nim chodzić. W ciągu 2-3 dni znikały z wyspy. W latach 2000. przeciągało się to do grudnia. Wtedy nie było łatwo się stamtąd wydostać – pogoda się pogarszała, noc polarna, nic nie lata, wybrzeże zamarznięte, trudno jechać skuterem do wioski, trudno ściągnąć helikopter. Kilka razy utknąłem na wyspie do grudnia i to było przetrwanie w trudnych warunkach. W jednych sezonach nie miałem wystarczająco dużo paliwa, w innych zaczynało brakować jedzenia. Ostatnie wyprawy badawcze kończyłem wcześniej, w listopadzie.

Jeśli chcę badać niedźwiedzie, żyjąc obok nich, to robię to na własne ryzyko.
Nie mogę ich krzywdzić. Broń nie wchodzi w grę.

Jak wygląda Twój dzień?

Grafik jest napięty, bo zwierzęta są aktywne całą dobę. Im więcej obserwujesz, tym więcej informacji zbierasz, i tym więcej rozumiesz. Stresuję się, że ominie mnie coś ważnego – jedna interakcja w społeczności zwierząt może zmienić sytuację. Opuszczasz punkt obserwacyjny, by się przespać, wracasz rano, a tu wszystko się zmieniło, nawet nie wiesz dlaczego.

Budziłem się wcześnie rano. Najpierw ciepłe śniadanie. Nie wolno wychodzić na zewnątrz w tak ekstremalnych warunkach, jeśli nie czujesz się komfortowo. Musisz szybko rozgrzać się w chatce. Dopiero kiedy czujesz się dobrze – w pełni obudzony, najedzony, napojony herbatą – możesz iść. Zakładam ubranie – na zimno i wiatr, na górę białą parkę dla kamuflażu. Biorę kanapki, termos z herbatą. Ustawiam się dwa kilometry od miejsca największej koncentracji niedźwiedzi. Jestem tam gdzieś od 8 rano do zmierzchu. Nie zostaję na noc, by nie natknąć się na nie z bliska. Potem ciepły posiłek, herbata i jeszcze kilka godzin obserwacji z ganku chaty, bo tam też przebiegały ścieżki niedźwiedzi. Gdy zapada zmrok, sprawdzam notatki, sprzęt, idę spać.

Trochę jak mnich w monasterze. Czego dowiedziałeś się o niedźwiedziach, czego ludzie zwykle sobie o nich nie wyobrażają?

Nigdy nie bawiłem się tak dobrze, jak pracując z niedźwiedziami. Każdy z nich ma własną osobowość, to ogromna przyjemność móc ją odkryć. Są duże, więc jeśli podchodzą, by cię zbadać, zawsze oznacza to jakiś rodzaj socjalizacji. Wchodzimy w żywą, bardzo osobistą relację.

Jak różne to mogą być osobowości?

Niektóre są bardziej nieśmiałe, nerwowe, ostrożne czy wrażliwe. Inne są bardziej pewne siebie czy brutalne. To zależy od ich doświadczenia życiowego. W 2002 r. poznałem niedźwiedzia, samca. Był już dojrzały seksualnie, ale wciąż młody. Miał łagodny charakter. Bardzo go ciekawiłem – przychodził mnie obserwować, a ja obserwowałem jego. Z całej mojej kolekcji niedźwiedzich charakterów to jedyny, który chciał mnie wciągnąć w zabawę.

Jak to?

Odganiałem go od chatki kijem, jak inne niedźwiedzie, i na początku się mnie obawiał. Ale szybko się zorientował, że jak on odbiega, to ja go nie gonię już dalej na poważnie. Postanowił więc, że zaprosi mnie do zabawy. Biegł za chatkę, zaglądał, czy go gonię, potem biegł na drugą stronę, i znowu zaglądał, a ja udawałem, że go gonię. Mam przeczucie, że znał mnie od dziecka, wychował się w tym regionie i wiedział, że w tej chatce żyje sobie taki gość.

Pytałaś o niespodziewane obserwacje. W literaturze niedźwiedzie są opisywane jako samotnicze drapieżniki, tworzące pary jedynie na krótki czas godów. Potem się rozdzielają i żyją osobno. Ja odkryłem, że choć polują samotnie, to spotykają się ze sobą i spędzają razem czas, mają świadomość wzajemnej obecności, dzielą się jedzeniem.

Uważam, że to najbardziej społeczne z ośmiu współczesnych gatunków niedźwiedzi. Są elastyczne. Mogą przestawić się z samotniczego trybu życia na lodzie na życie w grupie na lądzie, podczas tzw. nadbrzeżnych zgromadzeń. Kiedy lód znika, a wraz z nim możliwość polowania na foki, na lądzie mogą się wyżywić morsami albo ciałami wyrzuconych na brzeg wielorybów. To niesamowite zobaczyć, jak tolerancyjne są wobec siebie, jak radzą sobie z dystansem społecznym w tych interakcjach. Prawdziwie samotnicze zwierzęta mają niskie umiejętności

społeczne, niedźwiedzie polarne – wręcz przeciwnie.

Z kim dzielą się jedzeniem? Z każdym? Czy trzeba spełnić warunki? Być z rodziny? Być lubianym?

Nie polują w grupie, jak wilki, ale dzielą się zdobyczą. Nie mogą polować razem, bo gdyby zasadzały się w grupie na leżące na krach lodu foki, tylko by je wystraszyły. Każdy niedźwiedź jest kiedyś młody i niedoświadczony. Dla przetrwania populacji to ogromnie ważne, by starsze dzieliły się z nim jedzeniem. Jednak zanim się podzielą, musi zostać odprawiony specjalny rytuał.

Młody niedźwiedź, który chce dołączyć do posiłku, zaczyna krążyć dookoła, pokazując, że nie jest agresywny. Powoli i delikatnie zmniejsza dystans, podchodząc z lekko obniżoną głową i ogonem przyciśniętym na znak poddania. Na ostatnim etapie może podejść do upolowanej ofiary i dotknąć jej nosem, pytając o pozwolenie na dołączenie. Niektóre niedźwiedzie chętniej się dzielą niż inne.

Zaskoczyło mnie, że adoptują dzieci. Niektóre drapieżniki są tak zdeterminowane w walce o promocję swoich genów, że zabijają cudze dzieci.

Co roku osierocone młode niedźwiedzie znajdują nową mamę. Często widzę grupę: samica z młodymi, które dzieli tylko rok. Nie może być matką ich wszystkich, bo nie rodzą tak często. Widuję też półtoraroczne młode, które żyją samotnie. Może zagubiły się podczas pogodowych zamieci, może mama zmarła, coś się jej stało w morzu. I te młode wybierają sobie grupę rodzinną – samicę z młodymi. Idą za nimi, podchodzą, proponują zabawę. Tak zaczyna się proces dołączania do rodziny.

Zaobserwowałem też inny fenomen – rodziny patchworkowe. Mama z młodym może połączyć się z drugą dorosłą niedźwiedzicą, by razem żyć. Śpią w jednym legowisku, razem jedzą, pozostają blisko siebie. Przyjaźnie zdarzają się też między dorosłymi samcami, zwykle dwoma, choć zdarza się, że jest ich więcej. Nawet kiedy dwaj przyjaciele dołączają do większego zgromadzenia, nadal się nie rozdzielają. A jak się rozstaną, to

ARCHIWUM PRYWATNE

NIKITA OVSYANNIKOV ponad 20 lat badał zachowanie niedźwiedzi polarnych na Wyspie Wrangla. Zaobserwował ponad 2 tys. przedstawicieli tego gatunku. Autor dziesiątek artykułów naukowych oraz nieletalnych procedur bezpieczeństwa w kontaktach z niedźwiedziami.

w kolejnym sezonie znów mogą się spotkać i z tego spotkania się cieszą.

Skąd u nich te wszystkie zachowania społeczne?

To nie jakiś efekt uboczny innych relacji, te zachowania mają własną motywację – to potrzeba partnerstwa. Niedźwiedź polarny to jedyny gatunek, który nie tylko skolonizował bardzo specyficzne środowisko, czyli dryfujący lód morski, ale też uczynił z niego swój główny habitat.

Na początku myślałem, że dzielą się jedzeniem tylko w czasie nadbrzeżnego zgromadzenia. Ale miałem okazję obserwować to również na lodzie. Elastyczność zachowania pozwala im przetrwać. Warunki w Arktyce zmieniały się dramatycznie w różnych epokach. Teraz toczy się mnóstwo dyskusji na temat tego, jak wpływa na nie globalne ocieplenie. Z pewnością nie jest im łatwo.

Jednak weźmy pod uwagę, że ten gatunek pojawił się najpóźniej ok. 600-900 tys. lat temu, a może wcześniej. To oznacza, że w czasie swojej historii ewolucyjnej przetrwał jakieś 5-6 globalnych ocieplań, trwających dziesiątki tysięcy lat. Bywało cieplej niż teraz. A jednak niedźwiedzie polarne nadal tu są. Jak to możliwe?

No jak?

Przetrwały właśnie dlatego, że potrafiły zmieniać jedną strategię życiową na inną. Życie samotniczych wędrowców na lodzie zamieniały na życie w grupie na lądzie, jako zwierzęta społeczne i tymczasowo osiedlone w ekosystemie wybrzeża.

Czyli nie boisz się o to, czy przetrwają kolejne globalne ocieplenie.

Podczas ocieplenia lód morski znika. Nie ma go w większości Arktyki. Dla niedźwiedzi polarnych kluczowe jest to, że znika z obszaru płytkich wód, które są najbardziej obfite pod względem biologicznym, tracą więc swój najlepszy habitat. Co mogą zrobić? Przenieść się na ląd na jakiś czas. Część niedźwiedzi przejdzie pewnie do północnej Arktyki, by żyć na pozostałym tam lodzie, ale tam wody są głębokie i o wiele mniej produktywne.

Co stanie się z gatunkiem? Większość światowej populacji niedźwiedzi polarnych zniknie, będzie fragmentaryczna. W niektórych obszarach przetrwają, w innych nie. Ale jako gatunek mogą przeżyć. Kluczowe jest, byśmy zapewnili im całkowitą ochronę. Koniec eksterminacji ze strony człowieka, koniec z polowaniem! Musimy też dbać o ich naturalne siedliska, takie jak rezerwat na Wyspie Wrangla.

Zostało ich mało – optymistyczne szacunki mówią o 26 tys. osobników w 19 populacjach – a na Grenlandii czy Alasce nadal można na nie polować. Mogą to robić tylko rdzenni mieszkańcy?

Oficjalnie – tak. I tylko po to, by się wyżywić. Ale w Kanadzie polowania stały się komercyjne. Rdzenni mieszkańcy mogą sprzedawać swoje prawa innym myśliwym, więc niedźwiedzie stają się elementem biznesu łowieckich trofeów. To zabójcze dla gatunku. Morten Jørgensen z Danii napisał o tym dwie książki – „Polar Bears on the Edge" i „Polar Bears – Beloved and Betrayed". Ja przeciwstawiam się jakiemukolwiek polowaniu. Dziś zabijanie niedźwiedzi nie jest nikomu potrzebne do przeżycia, zresztą z powodu zanieczyszczenia w ich mięsie są metale ciężkie. Większość rdzennych mieszkańców nie chce i nie musi polować na niedźwiedzie. Optuje za tym tylko grupa, która chce w ten sposób zarabiać. Nie możemy na to pozwalać.

Inaczej zepchniemy je na granicę wymarcia. Bo będą musiały sobie radzić jednocześnie i z wpływem ocieplenia, i z presją człowieka.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj
i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik" na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 391/22 postępowanie z wniosku Magdaleny Galbierczyk o stwierdzenie nabycia spadku po:
- Joannie Klameckiej, zmarłej 22.06.2021 r., ostatnio zamieszkałej w Witaszycach,
- Czesławie Klameckim, zmarłym 29.05.2022 r., ostatnio stale zamieszkałym w Witaszycach.

W skład spadku po zmarłych wchodzą ich udziały w prawie własności zabudowanej nieruchomości położonej w Witaszycach.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 509/22 postępowanie z wniosku Marianny Skibińskiej o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez posiadacza samoistnego. Wniosek dotyczy nieruchomości położonej w Ludwinowie, oznaczonej geodezyjnie jako działki 61 i 62, dla której była prowadzona księga wieczysta Ludwinów k. 114.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Nowym Sączu z wniosku Stanisławy Grońskiej i Marii Ruman toczy się do sygn. akt I Ns 367/22 postępowanie o ustanowienie służebności drogi koniecznej po działce 21 położonej w Żeleźnikowej Małej obręb 0007 gmina Nawojowa powiat nowosądecki. Nieruchomość ta powstała z parcel gruntowych nr 1479/8 o pow. 0,0240 ha i 1480/4 o pow. 0,0080 ha, objętych Lwh 100 gmina katastralna Żeleźnikowa, która utraciła moc prawną.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności Karola Skoczeń, Maryannę Skoczniównę, Wojciecha Skoczeń, Zofię z Baranów Skoczniową, Marię z Lelitów Skoczniową, Jana Lelito, Jana Mirek jako współwłaścicieli nieruchomości lub ich następców prawnych, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie pod rygorem uwzględnienia wniosku, jeśli zajdą przesłanki.

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 754/22 toczy się postępowanie z wniosku Grażyny Kulig i Mariusza Kuliga o zasiedzenie na ich rzecz – na prawach wspólności ustawowej – własności nieruchomości składającej się z działek ewid. nr: 1669/1,1223/1,1669/2 i 1669/4 o łącznej pow. 0,40 ha, położonej w Porębie Spytkowskiej gm. Brzesko. Wymienione działki objęte są księgą wieczystą KW Nr TR1B/00046218/4, w której jako właściciel wpisany jest Walenty Jędryka s. Antoniego i Marii.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

Sąd Rejonowy w Mrągowie I Wydział Cywilny ogłasza, że pod sygnaturą akt I Ns 399/21 prowadzi postępowanie z wniosku Kazimierza Ciołkowskiego o stwierdzenie zasiedzenia prawa własności nieruchomości położonej w Mrągowie, Plac Armii Krajowej 8 o powierzchni 0,0409 ha, na której posadowiony jest budynek mieszkalny dwukondygnacyjny o powierzchni zabudowy 62 m^2 oraz budynek niemieszkalny jednokondygnacyjny o powierzchni zabudowy 43 m^2.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, którzy mogą rościć sobie prawa do wskazanej nieruchomości, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie prawa własności nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Zambrowie w sprawie I Ns 58/23 z wniosku Alior Bank SA w Warszawie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Matuszelańskiej córce Romana i Janiny zmarłej w dniu 11 marca 2022 r. w Zambrowie, ostatnio zamieszkałej w Zambrowie.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie będą pominięci w tym postępowaniu.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 712/22, z wniosku Chełmskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Chełmie, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Krasuckim zmarłym w dniu 12 maja 2003 roku w Chełmie, ostatnio zamieszkałym w Chełmie, i Janinie Krasuckiej zmarłej w dniu 24 kwietnia 2018 r. w Chełmie, ostatnio zamieszkałej w Chełmie.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Henryka Krasuckiego i Janiny Krasuckiej, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 21/23 toczy się postępowanie z wniosku Lucyny Sołkowskiej o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonych w Niepołomicach, oznaczonych jako działki nr 2022 oraz 2095 objętych Aktem Własności Ziemi nr 2489/78.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności następców prawnych Stanisława Ptaka, syna Stanisława i Ludwiki, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 329/19 toczy się postępowanie z wniosku Marty Mogilan przy udziale Grzegorza Kizika, Tomasza Kizika, Elizy Nowak, Jakuba Kizika, Sabiny Wajs, Krystyny Paszkowskiej, Ireny Figury, Ryszarda Figury, Zofii Poddubik, Ewy Cichoń, Kamili Klamut-Pawlik, Elżbiety Andrzejewskiej-Koniecznej, Sławomira Chylińskiego, Skarbu Państwa o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości zabudowanej położonej w Brzeźnicy, gmina Bardo, składającej się z działki nr 157/1 o powierzchni 0,2000 ha, objętej księgą wieczystą prowadzoną przez Sąd Rejonowy w Ząbkowicach Śląskich nr SW1Z/00029362/5.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w tym spadkobierców po Zofii Sendrowicz, Alicji Ziomek i Stefanii Fajt, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Ząbkowicach Śląskich i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie może dojść do stwierdzenia zasiedzenia nieruchomości opisanych powyżej.

Sąd Rejonowy w Brzesku Wydział I Cywilny pod sygn. I Ns 184/22 prowadzi postępowanie z wniosku Protegat 1 Niestandaryzowany Sekurytyzacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty z siedzibą w Krakowie o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Prus s. Józefa i Marii, zmarłym dnia 26 lipca 2021 r. w Makowie Podhalańskim, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Szczurowej pow. Brzesko.

Sąd wzywa spadkobierców Józefa Prus do zgłoszenia się do tut. sądu i udowodnienia swych praw do spadku w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

DONIOSŁY AKT WOLNOŚCI

NATALIA DE BARBARO, PSYCHOLOŻKA:

Jeżeli nasze życie toczy się w celi zbudowanej z osądów – co muszę, co mi wolno, a czego nie – to mogę sobie siedzieć na połoninie i patrzeć na Bukowe Berdo, ale nadal będę w więzieniu.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kim są Marysia i Agnieszka, którym zadedykowałaś „Przędzę"?

NATALIA DE BARBARO: To moje ukochane babcie. Marysia to mama mamy, Agnieszka, którą nazywaliśmy Bajaszka, to mama taty. Obie już nie żyją. Ogromnie dużo im zawdzięczam.

Co mamie mamy?

Jej czułe gesty, to, w jaki sposób przysuwała krzesła, bym nie spadła z wąskiego tapczanu. Taki ostatni moment dnia, który mówi: „jesteś bezpieczna". Pamiętam, jak szklanką odciska kształt ciasta na pierogi. Mama opowiedziała mi, że babcia Marysia dziergała na szydełku ogromne firanki. Albo cięła na paski podarte pończochy i robiła kilimy na ścianę. Pamiętam spacery i prowadzone w ich trakcie rozmowy. Wakacje, podczas których przechodziłyśmy całą Białkę Tatrzańską, a to bardzo długa wieś, rozmawiając o sukienkach, jakie będziemy nosić, kiedy w końcu zostaniemy królewnami.

A co zawdzięczasz babci Bajaszce?

Rozwalała system. Była piękna, mądra, dowcipna i – to chyba najbardziej czuję – bardzo kochała żyć. Uczyła mnie pływać, jeździć na nartach. Dużo mówiła o Bogu, ale nie tym posępnym, tylko radośnie kochającym człowieka. Jej wiara była żarliwa i wyzbyta patosu. Propagowała hipotezę, że po śmierci człowiek trafia do nieba w najpiękniejszej wersji ze swoich ciał, w jakiej kiedykolwiek był. Dożyła 95 lat. Uczyła mnie mówić do kwiatów. W latach 50. robiła recykling, choć wtedy to się tak nie nazywało. Odpady organiczne segregowała osobno – wywoziła je potem na działkę i przeznaczała na kompost. Była profesorką biologii.

Dlaczego w dedykacji użyłaś wyłącznie ich imion?

Chciałam tę książkę zadedykować kobietom, którymi były, a nie rolom, które pełniły wobec mnie. Więcej wiem o Bajaszce – ostatni okres życia miała dłuższy, niż by się zanosiło. Nastąpił moment, kiedy byliśmy przekonani, że umiera, a ona domagała się, by ją przenieść ze szpitala, w którym było jej źle, do szpitala, w którym było lepiej. I pod wpływem tego przeniesienia, co też stanowiło ryzyko pod względem zdrowotnym, Bajaszka nagle wykonała rodzaj zmartwychwstania. Uznałam to za dar, ona żyła jeszcze parę miesięcy – czas odzyskany dla nas obu. Pytałam ją o wszystko, do czego wcześniej zabrakło mi śmiałości. Co zrobiła, jak jej córka umarła? Jak to przeżyła? Nie pytaj o więcej...

Babcię Marysię pamiętam mniej, chociaż patrzę na nią co wieczór, bo w sypialni trzymam jej zdjęcie.

„Przędzę" czytam jako wołanie o przywrócenie wspólnoty kobiet, która dawniej była bardziej naturalna.

↦

NATALIA DE BARBARO jest psycholożką i socjolożką. Prowadzi warsztaty dla kobiet „Własny Pokój". Autorka jednej z najlepiej sprzedających się polskich książek w 2021 r. – „Czuła przewodniczka. Kobieca droga do siebie" – oraz właśnie wydanej „Przędzy. Droga do własnej wolności" (Agora 2023).

AGATA SZYMANOWICZ / WYDAWNICTWO AGORA

↦ **Krewne z różnych pokoleń mieszkały pod jednym dachem. Dziś to rzadkość – migracje zbierają plon, więzi się poluzowały.**

Sytuacja wspólnoty, gdzie nikt się nie osądza, to dla mnie coś naturalnego. Ukułam tę optymistyczną hipotezę, bo widzę, co się dzieje na prowadzonych przeze mnie warsztatach „Własny Pokój". Do sali wchodzi dziesięć kobiet, które na ogół wcześniej się nie znały. Istnieją proste zasady dotyczące sposobu rozmowy, które spisuję, za każdym razem od nowa, na dużej kartce z flipchartu. A potem dzieje się między nami coś na kształt miłości: razem jesteśmy w nieosądzającej przestrzeni, z szacunkiem, z żarliwą gotowością wzajemnej pomocy, we wzruszeniu, śmiechu, płaczu. To jest naraz proste i też bardzo wytęsknione – jak powrót do domu.

Powiedziałaś: „nieosądzająca przestrzeń". Naprawdę? Przecież kobiety są specjalistkami od komentowania życia innych kobiet, mówią, co by zrobiły na ich miejscu, jakimi powinny być partnerkami, żonami, matkami, córkami, gdzie popełniają błędy, itp., itd.

Nie wydaje mi się, żeby były „specjalistkami". Kobiety poddają innych ocenom, podobnie jak mężczyźni, bo ten świat kategoryzowania i ścigania się na różnych skalach – czy chodzi o miejsce w hierarchii organizacyjnej, czy wskaźnik BMI – jest wszechobecny.

Wskaźnik BMI?

Body Mass Index – wskaźnik masy ciała.

Aha!

Jestem przekonana, że w tę dawną wspólnotę kobiet, o której wspomniałaś, też wpisany był element wartościujący – nie idealizujmy przeszłości. Jednocześnie widzę, że we współczesnym świecie wyłania się silna kontrpropozycja: nowa jakość wspólnoty kobiet. A może to stara wartość, tylko w przekształceniu?

Przykład?

Powiedzmy, że rano wkurzyłam się na mojego syna, bo obiecał wnieść ozdoby choinkowe na strych już jakiś czas temu – jest już marzec, umówiliśmy się! – i dalej tego nie zrobił. Wieczorem spotykam się z koleżankami. Mogę im powiedzieć, że dzisiejsi młodzi są nieodpowiedzialni, więc się boję, co będzie ze światem. Wygłaszam pewną ogólną prawdę, wchodząc na niewidzialną ambonkę. Ale przebywam w otoczeniu pięciu kobiet. Ta pierwsza, dwudziestoletnia, czuje się urażona, bo sama identyfikuje się z młodymi, druga ma wspaniałą córeczkę, z której jest dumna i nie rozumie w ogóle, o co mi chodzi, więc się antagonizuje, a trzecia się zgadza. Co ja zrobiłam? Wprowadziłam w przestrzeń wirusa hierarchii. Sytuacja odmieni się, kiedy powiem: „Strasznie mnie mój syn wkurzył". Zobacz: teraz osąd zamieniam na współistnienie oparte na równości. Po dziesięciu minutach rozmowy prowadzonej w takim duchu czuję się tak, jak gdyby mnie podłączyło do źródła ciągle żywego. A dopóki pozostaję w sferze osądu, nie korzystam z niego. Więc jeśli osąd jest wirusem, to szacunek przenosi się drogą kropelkową.

AGATA SZYMANOWICZ / WYDAWNICTWO AGORA

NATALIA DE BARBARO:

Co by to miało znaczyć, że nie akceptuję ciała? Że chcę żyć bez niego? Niewdzięczność wobec serca, płuc, krwi płynącej w żyłach, nóg, które mnie noszą, ramion, którymi mogę objąć kogoś, kogo kocham?

Proszę o jeszcze jeden przykład.

Kiedyś przyjechała na moje warsztaty szefowa zespołu pielęgniarek na oddziale intensywnej terapii dla dzieci. Poprosiłam, by sobie wyobraziła, że do sali, w której siedziałyśmy, wchodzą rodzice dzieci, które ona uratowała. Jestem przekonana, że słyszała setki, tysiące wyrazów wdzięczności od matek i ojców. Tyle że trudno było jej dać samej sobie pełną zgodę na wdzięczność za to dobro, które uczyniła dla tylu ludzi w różnym wieku. Wiele z nas nie docenia samych siebie.

Dlaczego?

Nasz umysł w pewnym momencie obliczył: by od człowieka dostać miłość, aprobatę i uwagę, to non stop potrzebuję udowadniać, że jestem dość warta, by chodzić po matce ziemi. A najlepiej – biec cały czas, w każdej minucie dnia, w różnego rodzaju konkurencjach-czynnościach, za które moja wewnętrzna surowa komisja przyznaje mi punkty.

Ale dlaczego tak się dzieje?

Źródło może być u samego początku. Na przykład: niemowlę płacze, rodzic po kwadransie traci cierpliwość, rośnie w nim irytacja i dziecko odczuwa to jako rodzaj opuszczenia. Jeśli ta sytuacja powtarza się, ono zobaczy, że świat jest dychotomiczny i że dostaje więcej miłości, kiedy nie płacze. Potem dziecko idzie do przedszkola i tam odbywa się ciąg dalszy tego treningu, zresztą nieuniknionego – socjalizacja jest potrzebna. Lecz fatalny jest sposób, w jaki ona przebiega: jak nie napiszesz porządnie egzaminu ósmoklasisty, to nie dostaniesz się do dobrego liceum, jak nie dostaniesz się do dobrego liceum, to nie dostaniesz się na studia i nie znajdziesz porządnej pracy itd... W ten sposób wzmacnia się przekaz, że akceptacja jest warunkowa.

I to naprawdę główny powód?

Do tego jeszcze dochodzą przepisy na to, co powinna dziewczynka i kobieta, a teraz powinna właściwie wszystko: ogarniać dom, robić karierę, młodo wyglądać, odnajdywać i rozwijać talenty dzieci, dbać o swoją sprawność fizyczną i to BMI. Jeśli poświęcę życie na odhaczanie punktów z tej niekończącej się checklisty, skieruję centrum kontroli na zewnątrz, to nie będę żyła swojego życia. Czasami mija się na ulicy kobiety, które idą tak, jakby cały czas były w kamerze. Dziewczyna siada na ławce, usta układa w dzióbek, robi sobie selfie, sprawdza, ile dostaje lajków. Wstaje z ławki i dalej idzie tak, jak gdyby cały czas ktoś na nią patrzył. Jeśli to jest jakiś rodzaj wyścigu, jak nazwać tę dyscyplinę, w której się odbywa?

Ścigamy się też o inne punkty, choćby w pracy. A one są potrzebne m.in. do tego, by w tej pracy zarówno się utrzymać, jak i spełniać swoje ambicje. Kobiety często nie mają czasu zatrzymać się i zastanowić, czego same chcą.

Ten argument zupełnie mnie nie przekonuje. Spotkanie ze swoim wnętrzem może zająć dosłownie moment i stać się praktyką codzienną, niezauważalną w kalendarzu. Jak to zrobić? Zamykam oczy i konfrontuję się z własnymi uczuciami, nie dodając do nich żadnego komentarza. Czuję swoje uczucia – tylko tyle. Popatrz, teraz to zrobię. Zajęło mi to cztery sekundy.

I co to daje?

Przede wszystkim wzmocnienie. Kobiety nie chcą tego robić, bo przeczuwają, że w ich wnętrzu czeka ta ich część wygłodzona i porzucona. Boją się spotkać z samą sobą. Ale nie znika potrzeba wglądu w siebie, rozpoznanie tego, co niewyrażone. Przeciwnie: drąży podziemne korytarze. I na przykład ujawnia się to, że ja nie lubię ludzi, z którymi mieszkam – czuję się przez nich niezauważona, ignorowana, wykorzystywana. Komu się to opłaca? Więc brak czasu dla mnie stanowi wytrych – teza broniąca porządku, w którym kobieta pozostaje w roli ofiary.

Upraszczasz.

Chociaż żyjemy dłużej niż nasze przodkinie, wiele z nas uprawia coś, co w „Przędzy" nazywam „rushmaggedonem" – pogonią za kolejnym celem. Przywołam taki obraz: Renata wstała o szóstej rano, w pracy spędziła osiem godzin, wraca do domu i wykończona bierze się za drugi etat: gotowanie i pomaganie córce w lekcjach. Po dwóch godzinach jej Kazek wraca z pracy i Renata mówi: „Pomóż Ani z polskim, ja potrzebuję wyjść na spacer". Mąż: „Ale ty jesteś lepsza w polskim".

Ona teraz ma dwa wyjścia: albo jakoś się serdecznie uprze, pójdzie na spacer i poczuje się dobrze, albo zostanie, odrobi z córką polski, a wieczorem zrobi Kazkowi awanturę lub w ciszy będzie parować od frustracji.

Co w tym wszystkim z Anią?

Obserwuje relację rodziców i wyciąga wnioski. Uczy się, co to znaczy być kobietą niezależnie od tego, jakie mądre dysputy toczy się przy stole i czy na samochodzie jest naklejka z piorunkiem. Czy być kobietą znaczy mieć własną przestrzeń, czy wyłącznie poświęcać się dla przestrzeni wspólnej? Czy to znaczy pracować w domu non stop i 90 procent obowiązków brać na siebie? Wiesz, co się dzieje, by kobiety mogły przyjechać na mój warsztat „Własny Pokój"? Ile one muszą logistycznych puzzli poukładać? Ale i tak często słyszę: niestety nie uda mi się dotrzeć, bo mój partner ma wtedy wyjazd, wykład, spotkanie...

To nierzadkie: przysłowiowy Kazek stawia na swoim, jest niereformowalny, a Renata odpuszcza – z nawyku i dla świętego spokoju.

Jeśli nawet statystyka wskazuje na powszechność takiej sytuacji, dla mnie najważniejszy i najciekawszy jest plan indywidualny – jedno życie. Czyli na przykład kobieta, która teraz czyta naszą rozmowę. Jak jest u niej? Co ona na to, że właśnie tak to wygląda? Czy jest coś, co chce zmienić?

No dobrze, kobieta zainwestuje w siebie, zobaczy, jakie ma potrzeby, nauczy się je wyrażać, ale w pewnym momencie zderzy się z systemem wrogo do niej nastawionym. Przed momentem wspomniałaś o naklejce z piorunkiem. To świetny przykład: mnóstwo ludzi wyszło z „piorunkami" na ulicę, protestując przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego, a decydenci i tak przegłosowali tę ustawę. Porażka.

W moich oczach Strajk Kobiet doprowadził do zmiany głębokiej i nieodwracalnej: wyzwoliła się energia, która nie jest do okiełznania. Mam poczucie, że PiS już wtedy przegrał wybory.

Czasami aż nie mogę uwierzyć, jak bardzo nieobecną postacią w wyobraźni polityków jest kobieta – jej prawdziwe życie z rozdrożami. A przecież to ona w dużej mierze decyduje o wielkości budżetu państwa, to od niej zależy, ilu za naście lat będzie podatników. Taki drobiazg: budżet państwa... Poza moralnym wymiarem tego, co się stało i co się dzieje, jest też i taki wymiar. Ale nie słabnie we mnie wiara, że kobiety idące po swoją wolność w codzienności zmienią też Polskę.

Dla siebie i dla dzieci?

↦

Natalia de Barbaro w czterech odsłonach

▪ **Dojść do głosu. Radykalnie praktyczny przewodnik po kampanii wyborczej, Znak (2006)**
Autorka w roli ekspertki (była głównym strategiem kampanii Donalda Tuska w wyborach prezydenckich w 2005 r.) odsłaniającej zasady marketingu politycznego. Poznajemy kulisy przygotowań i mechanizmy rządzące wyborczymi kampaniami w dojrzałych demokracjach.

▪ **Ciemna, „Zeszyty Literackie"(2010)**
Debiut poetycki uhonorowany nagrodą im. Konstantego A. Jeleńskiego. Blisko 50 wierszy, w których pod oszczędną, ascetyczną i wyważoną frazą kipi egzystencjalny niepokój, poczucie tymczasowości, kruchości istnienia. Wątkiem przewijającym się przez cały tomik jest życie po utracie.

▪ **Czuła przewodniczka. Kobieca droga do siebie, Agora (2021)**
Bestseller: ponad 20 dodruków, prawa do tłumaczenia i publikacji zakupiono m.in. w Hiszpanii, Portugalii, Brazylii, Bułgarii, Czechach, Słowacji, Litwie. Kluczową sprawą do przepracowania przez kobiety jest stawianie granic, porzucenie roli ofiary i przejście na pozycję tej, która bez poczucia winy zadba o swój dobrostan.

▪ **Przędza. W poszukiwaniu wewnętrznej wolności, Agora (2023)**
Kontynuacja „Czułej przewodniczki". W tej opowieści Natalia de Barbaro skupia się na marginesie codzienności: drobnych czynnościach, które odpowiednio celebrowane mogą czynić życie sensowniejszym. Nawołuje, by kobieta przejęła ster sprawczości, by zaczęła decydować, na jakich zasadach pragnie funkcjonować.

↦ I dla przodkiń, stąd też w „Przędzy" moja dedykacja... Istotne jest pytanie: jakie myślenie doda mi sił, by jak najwięcej zrobić? Leonard Cohen w jednej z piosenek śpiewał, jak sobie wyobraża córkę, i pada tam zdanie: „czego ja nie dokończyłem, to ona dokończy". Dla mnie ten moment „dokończenia" następuje z chwilą, kiedy Renata decyduje się wyjść na spacer – robi coś, do czego, być może, nie były zdolne jej babcia i mama. I Renata nie działa wbrew córce, tylko dla niej i dla siebie.

To są akty wolności?

Nie trzeba wszystkiego rzucać, zrywać z dotychczasowym życiem i jechać na drugą półkulę. Wystarczy świadomie innym krokiem poruszać się po swoim życiu. W „Przędzy" nazywam to tkaniem – energią, w której zabawa jest jakością nie mniej ważną niż znój, w której codzienność jest ważniejsza od wyczynu, i która skierowana jest w głąb, a nie wyłącznie do przodu, do góry, poza własne ciało i własne życie.

Jak to w praktyce ma wyglądać?

Niezwykle wyczerpana kobieta, zresztą ceniona ekspertka w swojej firmie, powiedziała szefowej, że albo przejdzie na cztery dni pracy w tygodniu, albo się zwalnia. Poprosili, by została. Inna kobieta dogadała się ze swoim partnerem, że dwa popołudnia w tygodniu on zajmuje się dziećmi, a ona wraca do swojej pasji sprzed lat – renowacji starych mebli. Istnieje tyle fascynujących możliwości na praktykowanie małych wolności. Jeżeli życie toczy się w celi zbudowanej z osądów – co muszę, co mi wolno, a czego nie – to mogę siedzieć na połoninie, patrzeć na Bukowe Berdo i nadal będę w więzieniu. W kobietach przywykłych do starego porządku tkwi mnóstwo oporu przed zmianą. Trudno sobie wyobrazić, że można żyć inaczej.

To naprawdę takie trudne?

Pamiętam taką sytuację ze swojego życia. Siedziałam naprzeciwko mojego męża i powiedziałam, że zaraz będę się zastanawiać, co zrobić do jedzenia na Boże Narodzenie. A mój mąż, który skądinąd wykonuje większość tak zwanych „obowiązków domowych", ale akurat na Boże Narodzenie nie gotuje, spytał mnie wtedy: „Ale dlaczego chcesz coś robić? Mówiłaś, że jesteś zmęczona". I we mnie się wtedy pojawiło bezbrzeżne zdumienie przemieszane z popłochem. „Jakże to tak?" – dziwił się we mnie głos, chociaż już dawno nie był on moim własnym głosem. Z tym dyskomfortem potrzebowałam się trochę pobujać.

NATALIA DE BARBARO:

Już się cieszę na zabawę w ubieranie się. Przeczuwam, że na starość w strojach będę coraz bardziej ekstrawagancka. Cudowny duch lekkości! No i wiesz: jak dobrze pójdzie, to na starość mogę też zmądrzeć.

Jak się skończyło?

Jednak zamówiłam jedzenie z knajpy. Było dobre.

Stać cię.

No tak, ale kobieta, która postanawia wyjechać gdzieś sama albo z przyjaciółkami, przyjmując śmiałe założenie, że jej rodzina mimo to przeżyje, kobieta, która zabiera głos tam, gdzie wcześniej by milczała, kobieta, która nie czuje osobistej odpowiedzialności za to, by przypominać każdemu o imieninach i urodzinach pozostałych bliskich, kobieta, która decyduje się przyjechać na Wielkanoc do swojej mamy ze swoją partnerką – to są dla mnie obrazki z tej samej bajki.

A kwestia ciała? Jego nieakceptacji?

To paradoks. Bo co to by miało znaczyć, że tego ciała nie akceptuję? Że go nie chcę? Że chcę żyć bez niego? Jest dla mnie też w tym jakaś niewdzięczność wobec serca, płuc, krwi płynącej w żyłach, nóg, które mnie noszą, ramion, którymi mogę objąć kogoś, kogo kocham. Tego nie akceptuję? Jeden z rozdziałów w „Przędzy" nosi tytuł „Muślinowa wstążka" i jest właśnie o powrocie do ciała – powrocie, chociaż nigdy przecież nie odeszłyśmy od niego ani ono od nas. A jednak jest on realnie potrzebny – to forma powrotu do siebie samej.

Ale to młodość jest łaskawa dla ciała.

Jestem joginką. Choć im dłużej praktykuję, a robię to od 18 lat, tym z większym wahaniem się nią nazywam, bo nadal czuję się na początku tej drogi. Równolegle widzę, i to jest wspaniałe, że dzięki jodze jestem giętka, schylam się do ziemi, sięgam na wysoką półkę, staję na głowie, robię mostek. To mi daje poczucie lekkości w ciele, ono mi służy z wzajemnością. Nawet kiedy pojawia się lęk i wydziela się kortyzol, to ciało „chce" dobrze, w ten sposób mnie ostrzega. Tym bardziej potrzebuję je afirmować. To nie znaczy, że nie wolałabym być parę kilo chudsza czy mieć mniejszy nos. I bardziej się sobie podobam na zdjęciach sprzed kilkunastu lat. Fakt, młodej urody trochę mi szkoda.

Ciuchy?

Już się cieszę na zabawę w ubieranie się – przeczuwam, że na starość w strojach będę coraz bardziej ekstrawagancka, dziś już idę w tę stronę. Cudowny duch lekkości! Lekkoduszenie, czyli lekki oddech. No i wiesz: jak dobrze pójdzie, to na starość mogę też zmądrzeć. Widzę więc starzenie się jako proces wielowarstwowy i wieloznaczny. Zrobiło na mnie wrażenie to, że 64-letnia Emma Thompson w filmie „Powodzenia, Leo Grande" w ostatniej scenie stanęła naga przed lustrem. A jeszcze większe wrażenie zrobiło na mnie to, że cały świat zobaczył w tym akt niebywałej odwagi. Nikt natomiast nie mówi o akcie odwagi, jeśli ktoś komuś na filmie wyłupywał oczy, a w co drugim serialu pojawiają się takie sceny.

Taka już norma.

Na szczęście na to, co oglądamy, też mamy wpływ. Bo poszukiwanie pozycji sprawczej we własnym życiu jest czymś kluczowym. Kiedyś przyjechała na mój warsztat młoda kobieta, która niewiele wcześniej została matką córeczki. Pojawiły się w niej uczucia i zachowania, których nie chciała, w których słyszała dalekie echo zachowań swojej mamy – były dla niej raniące. „Przyjechałam, bo poczułam, że coś jest nie tak i chcę to naprawić" – powiedziała. A mnie przeszły ciarki. Doniosły akt wolności: postanowić przerwać pokoleniowego berka, poczuć: „tak chcę, a tak nie chcę" i włożyć pracę w naprawę tego, czego nie zdołały naprawić poprzednie pokolenia.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

ARTURS PAVLOVS / TEATR DAILES W RYDZE

„Rohtko", reż. Łukasz Twarkowski, Teatr im. Kochanowskiego w Opolu, 2022 r.

Potęga zmysłów

DARIUSZ KOSIŃSKI

Nowoczesny, technologicznie wzmocniony teatr bogaty stanowi atrakcję i ostatni krzyk mody, przyciągający tłumy widzów. Ale u Łukasza Twarkowskiego nie polega on jedynie na oszałamiającym widowisku.

Przez pierwsze lata kariery Łukasz Twarkowski szedł niemal tą samą drogą, jaką od końca lat 90. zeszłego wieku pokonywały kolejne ważne postacie pokoleń „młodszych i zdolniejszych". Pierwsze kreacje teatralne realizował w Teatrze Polskim we Wrocławiu (w latach 2015-17 był nawet jego etatowym reżyserem) i Starym Teatrze w Krakowie. Jego przedstawienia u jednych wzbudzały znaczne zainteresowanie, reszcie sprawiały kłopot, a niemałą grupę widzów wprowadzały w stan poważnej konfuzji. Tworzył idealny materiał dla hipsterskiego kultu, którego dawni wyznawcy mogą dziś z satysfakcją mówić, że poznali się na nim długo przed innymi.

Między dawnymi i młodszymi laty

Jako reżyser Twarkowski od początku działał ze względnie stałą ekipą – kolektywem Identity Problem Group, który współtworzyli dramaturżka i dramatopisarka Anka Herbut, artysta wideo Jakub Lech, kompozytor Bogumił Misala i scenograf Piotr Choromański. Ich znakiem rozpoznawczym było intensywne i kreatywne wykorzystywanie nowoczesnych technologii i znoszenie granic między teatrem, sztukami wizualnymi i multimedialnymi oraz innymi gatunkami – koncertem, filmem czy instalacją dźwiękową.

Sporym zaskoczeniem było sięgnięcie po „Akropolis" według Stanisława Wyspiańskiego, zrealizowane w Narodowym Starym Teatrze w 2013 r. Zastosowanie technologicznych nowinek do dzieła Wyspiańskiego budziło szczególne napięcie samym zestawieniem wysokiej poezji, wawelskiej katedry i sprzętu hi-tech. W odniesieniu do swoiście „wirtualnego" świata „Akropolis" rozwiązanie znakomicie się sprawdziło, wprowadzając poetycki scenariusz Wyspiańskiego w ekscytujące drżenie.

Kolejnym krokiem na podobnej drodze była inscenizacja nieocenzurowanych baśni braci Grimm zrealizowana ponownie we Wrocławiu „GRIMM: czarny śnieg" (2016), w której do duetu Twarkowski-Herbut dołączył scenograf Fabien Lédé, współpracujący z reżyserem do dziś. Źródłowe, a wyparte mity eksplorowane były przy pomocy nowoczesnej technologii i wyobraźni skierowanej raczej w przyszłość. Między antropologię i futurologię wcisnęła się jednak zgrzytająca teraźniejszość – po ponadpartyjnym zaoraniu artystycznym Teatru Polskiego Twarkowski stracił miejsce pracy i na jakiś czas zniknął z polskiej sceny.

Odnalazł się szybko w zagranicy nieodległej, a teatralnie od lat należącej do europejskiej czołówki – na Litwie. Zrealizowany w Teatrze Dramatycznym w Wilnie „Lokis" (2017), oparty na opowiadaniu Prospera Mérimeégo połączonym ze ↦

↦ współczesnymi celebryckimi historiami pełnymi przemocy, odniósł na Litwie tryumf, zdobywając cztery najważniejsze krajowe nagrody teatralne, w tym za reżyserię i wideo Jakuba Lecha. Pokazywano go w Polsce na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych i toruńskim Kontakcie, gdzie pojawił się jak gość z innego świata. Rozbuchany i porywający wizualnie i muzycznie, był jednocześnie esejem na temat rzeczywistości rządzonej przez obrazy i podróżą poza nie.

Teatr bogaty

Choć w „Rohtko", przedstawieniu zrealizowanym w ryskim Dailes Teatris w koprodukcji z Teatrem im. Kochanowskiego w Opolu (2022), nad sceną nie świecił jasno (jak w „Lokisie") napis „*Image is everything*", to i tu obraz umieszczony został w centrum, a co ważniejsze – i tu to, co widać, jednocześnie przesłania i wskazuje na to, co usiłuje zaistnieć.

W taki sposób funkcjonuje już sam świadomie błędny tytuł: oznacza artystę, który jest jednym z bohaterów przedstawienia, jednocześnie sygnalizując, że nie o niego chodzi. Na poziomie głównego wątku fabuły chodzi o historię obrazu namalowanego przez nauczyciela z Szanghaju; po długich analizach obraz kupiono za 8,5 mln dolarów jako oryginalne dzieło Marka Rothko. Czemu jako uznany już za falsyfikat nie jest wart tyle samo? Na poziomie spajającego całość tematu chodzi o problem oryginału i kopii, łatwości powielania i pogoni za autentyzmem, który nawiedza od lat sztukę i jej świat.

Przy tym wszystkim „Rohtko" to rozbudowana machina sceniczna, teatr totalny współczesnej technologii i audiowizualności. Gdyby przedstawienie ekipy Twarkowskiego zobaczyli awangardziści głoszący – jak Andrzej Pronaszko w roku 1930 – że teatr to „piekielna myśląca maszyna, która burzy w schwyconym w swoje tryby człowieku równowagę i dynamizuje go", byliby zachwyceni. Fraza Pronaszki to niemal dokładny opis niezwykłej choreografii jeżdżących po ogromnej scenie pokoi, ścian, całych budynków (scenografia Fabien Lédé), która zsynchronizowana jest precyzyjnie z ruchem osób (choreografia Paweł Sakowicz) oraz kompozycją wizualną budowaną grą świateł (Eugenijus Sabaliauskas) i projekcjami wideo (Jakub Lech)

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

Twarkowski demonstracyjnie oddala się od tego, czym według dominujących narracji medialnej żyjemy. **Jego teatr dąży do innego jej rozumienia. Przez zmysły.**

na ogromnym wiszącym nad sceną ekranie. Wielką przyjemność daje już samo obserwowanie tej dynamicznej całości, która zatrzymuje się, rusza, przybliża i oddala w określonym dokładnie rytmie prowadzonym przez świetną muzykę nawiązującą do rave'u (Lubomir Grzelak). Działa to wszystko dzięki ogromnemu i niezwykle sprawnemu zespołowi obsługującemu scenę, więc nic dziwnego, że to właśnie osoby z tej ekipy wychodzą pierwsze do braw.

Teatr Twarkowskiego prezentuje się tu jako prawdziwy teatr bogaty – dowód na to, że Jerzy Grotowski, uznający świadome ubóstwo i skupienie na procesie przemiany aktorskiej za jedyną szansę przetrwania sztuki scenicznej, nie miał racji. I to w Opolu, gdzie narodził się teatr ubogi Grotowskiego, doszło do swoistego aktu odroczonej zemsty – gotowy koncept dla historyków idei teatralnych...

Choć nowoczesny, technologicznie wzmocniony teatr bogaty stanowi atrakcję i ostatni krzyk mody przyciągający tłumy widzów i uwagę środowiska, to nie polega jedynie na oszałamiającym widowisku. Sporą część wielogodzinnego seansu „Rohtko" stanowią długie intelektualne rozmowy, przypominające jako żywo teatr Krystiana Lupy. Podobne w rytmie słów i cisz, pozwalającym stopniowo wnikać w coraz subtelniejsze warstwy tematu i doznań, kojarzą się z teatrem Lupy także z racji podejmowanych zagadnień. Dotyczą sztuki, prawdy, autentyzmu i wielu innych kwestii, o których godzinami rozprawia się na uniwersyteckich seminariach i panelach organizowanych w modnych galeriach.

Teatr Twarkowskiego – tak jak swego czasu Lupy – demonstracyjnie oddala się od tego, czym według dominujących narracji żyjemy. Lokuje swoje kreacje w innych rejonach i na innym poziomie. Odejście od bieżących, „palących" zagadnień nie oznacza ucieczki od rzeczywistości, ale dążenie do innego jej rozumienia niż medialno-doraźne. To też poniekąd łączy Twarkowskiego z Lupą. Różni ich oczywiście estetyka, stopień orientacji w najnowszej kulturze popularnej i jej technologii.

Złośliwie można by powiedzieć, że Twarkowski to Lupa w wersji 5G stargetowany na pokolenie zoomersów. I choć byłoby to krzywdzące uproszczenie, to w tej złośliwości tkwi – jak mi się wydaje – sekret powodzenia Twarkowskiego. Takie wyrafinowane kompozycje jak „Rohtko" dają pewnemu typowi publiczności poczucie elitarności, przynależności do wyjątkowego klubu wtajemniczonych. A że jeszcze na dodatek wszystko tu jest bardzo *glamour*, to przyjemność jest podwójna – nawet jak się przyśpi na długiej rozmowie o sztuce, to po chwili basowy rytm wybudzi i będzie można podziwiać sunącą po scenie chińską restaurację z obsługą.

Ja też oczywiście miałem wielką przyjemność z oglądania tego przedstawienia, tylko cały czas dręczyło mnie dziwne poczucie, że proporcje są w nim zachwiane. Wydało mi się jakąś nadmierną rozrzutnością, że tyle wysiłku i kosztów inwestuje się, żeby rozegrać jeszcze raz brak zasadniczej różnicy między kopią i oryginałem, a jako wyjście wskazać siłę bezpośredniego doświadczenia, którego przybytkiem szczególnym jest teatr. Sztuka zajmująca się samą sobą – takie mam skrzywienie – zawsze wydawała mi się podejrzana i rozczarowująca, więc szukałem jakiegoś tajnego poziomu, którego istnienie niejasno wyczuwałem.

Być może szukałem czegoś, co niekiedy ofiarują najlepsze obrazy Marka Rothko – tej niedającej się ująć w słowa siły, jaka od nich bije i jaką z braku innej możliwości nazywa się „duchową". Spektakl z jednej strony zdaje się podważać jej istnie-

nie, ale z drugiej – wskazywać na nią jako najważniejszą. Ale właśnie w nim samym nie udało mi się jej znaleźć.

Głośniej od bomb

Znalazłem ją natomiast, gdy wreszcie udało mi się obejrzeć w Teatrze Studio w Warszawie „The Employees", pierwszą od dawna całkowicie polską produkcję Twarkowskiego (2023). Choć też naładowana technologią, o wiele bardziej bezpośrednio i dosłownie posługiwała się wymianą energii. Gdy leżąc na scenie (tak, tak – to przedstawienie można, a według mnie nawet najlepiej oglądać leżąc) czułem, jak w kulminacyjnej chwili wibruje od dźwięku moje ciało, miałem niemal pewność, że to, czego nie doświadczyłem w rysko-opolskim widowisku, właśnie wdziera się we mnie przez skórę.

„The Employees" wykorzystują powieść duńskiej pisarki Olgi Ravn „Załoga", wydaną po polsku niemal równolegle z premierą (adaptacja Joanna Bednarczyk). Ale materiał literacki zdecydowanie nie jest tu najważniejszy. Może nawet przeszkadza, bo cała sytuacja i ramy narracyjne są mało oryginalne, a wzięte z powieści dialogi – papierowe i chwilami trudne do słuchania. Stanowią natomiast niezbędny szkielet dla kompozycji zbudowanej z tego, co tu najważniejsze: obrazu, dźwięku i obecności aktorek i aktorów. To ostatnie zakrawa na paradoks, bo przedstawienie ogląda się w dużej mierze na wielkich telebimach umieszczonych po każdej ze stron stojącego na scenie Studio ogromnego prostopadłościanu, wewnątrz którego dzieją się zasadnicze wydarzenia.

Prostopadłościan to centralna część statku kosmicznego, którym w niejasnej misji podróżują ludzie i będące ich sobowtórami humanoidy. Ponieważ każda aktorka i każdy aktor gra obie wersje tak samo wyglądających postaci, to różnice między nimi już na tym podstawowym poziomie błyskawicznie się zacierają. Uczestnikom „misji" towarzyszą widzowie, którzy zgodnie z przedstawioną na początku instrukcją mogą siedzieć, stać, leżeć lub tańczyć – jak im wygodniej; mogą też wychodzić z sali i wracać na nią w dowolnym momencie. W przedstawieniu są poza tym trzy krótkie przerwy, w których publiczność może zmieniać dowolnie miejsca, by móc zobaczyć przedstawienie z innej perspektywy.

MAGDA-HUECKEL / STARY TEATR

„Akropolis", reż. Łukasz Twarkowski, Stary Teatr w Krakowie, 2013 r.

Tematem jest człowieczeństwo, jego istota i wartość. Wprawdzie pytanie, czemu tak wysoko cenimy człowieczeństwo i czy na miłość zasługuje bardziej osoba czy raczej funkcja (w ojcu kochać ojca, w dziecku – dziecko), może stać się punktem wyjścia do rozważań wcale nie błahych, ale Twarkowskiego mniej interesują subtelne dywagacje umysłu, a bardziej – filozofowanie zmysłami.

Przy całym bogactwie technologii i ogromnej roli, jaką odgrywają miksowane według najlepszych wzorów współczesnej sztuki elektronicznej dźwięki (kompozytor Lubomir Grzelak) i obrazy (wideo Jakub Lech), źródłem siły tego przedstawienia są osobowości aktorek (Dominika Biernat, Maja Pankiewicz, Sonia Roszczuk) i aktorów (Daniel Dobosz, Paweł Smagała, Rob Wasiewicz). Moc aktorskiej obecności znosi i zarazem przenosi na inny poziom opozycję między zakwestionowanym „ludzkim" i kwestionującym „ludzkopodobnym", przemieniając ją tak, jak sam teatr przepracowuje różnicę między rzeczywistością i iluzją, czyniąc z niej źródło swojej siły. Rezultatem tego procesu jest stworzenie nowej podstawy rzeczywistości, którą staje się sama osoba – bez względu na to, czy ludzka czy nie. Na tej płaszczyźnie powieściowy koncept i rozważania o człowieczeństwie jako rodzaju bytu i wartości łączą się w silny węzeł z pytaniem o teatr i jego sens, a może nawet szerzej – o przedstawienie i to, co się przedstawia.

I tu właśnie obraz przestaje być wszystkim, choć nadal obcujemy głównie z obrazami. Kulminacyjna scena przedstawienia to muzyczno-obrazowy *trip* rozpędzający się w pozornie chaotyczną, a w istocie precyzyjnie skomponowaną katastrofę obrazów. W wibracjach dźwięków wdzierających się pod skórę, w rozbłyskach zdjęć i kadrów, w widokach ikon uobecnia się coś, co bezwzględnie żąda uznania swego istnienia, narzuca jego doświadczenie nie mówiąc „ja jestem", ale stając się tu i teraz, na scenie, także w moim leżącym na niej ciele.

Ta katastrofa obrazów, która ujawnia to, co ukazują i ukrywają, nie jest katastrofą teatru, nawet jeśli jest katastrofą przedstawienia. Czy jest teatru jakąś przyszłością? Nie wiem, a nawet wątpię, bo siłę tego, co przywykliśmy tak nazywać, nauczyliśmy się wiązać ze spojrzeniem spoza i myśleniem o doświadczeniu cudzym. Myślenie przygotowanym doświadczeniem własnym, nawet jeśli jest z nami od dawna jako część teatru (w Polsce szczególnie ważna), jest z teatru wypierane. Ale wciąż z uporem (szczególnie w Polsce) do niego wraca. To może tylko koncept, ale nie mogę się oprzeć dodaniu, że wraz z Łukaszem Twarkowskim teatr znów przychodzi z Wilna, zahaczając o Opole.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE A24 FILMS

KE HUY QUAN *i* **MICHELLE YEOH,** *„Wszystko wszędzie naraz" – Oskar dla najlepszego filmu*

W pralni, czyli w Matriksie

ANITA PIOTROWSKA

Tegoroczne Oscary nieznacznie poprzesuwały akcenty na kulturowej mapie świata. Podczas święta amerykańskiego przemysłu filmowego zobaczyliśmy jego offowe, autorskie czy zagraniczne przyległości.

Wydawałoby się, że na Oscarach bez zmian, bo przecież podczas 95. edycji tej nagrody jak zwykle decydowały gusta mocno uśrednione. Dzieła najbardziej spektakularne i kasowe, „Avatar: Istota wody" Jamesa Camerona i „Top Gun: Maverick" Josepha Kosinskiego, dostały raptem po jednej statuetce, w dodatku „technicznej", kolejno za efekty specjalne i za dźwięk. Zdecydowanie najlepsi gracze zaś, jak „Duchy Inisherin" Martina McDonagha, „Tár" Todda Fielda czy „Fabelmanowie" Stevena Spielberga, opuścili Teatr Dolby z kwitkiem. Tymczasem dla „Wszystko wszędzie naraz" Daniela Kwana i Daniela Scheinerta zaczerpnięty z filozofii Wschodu tytuł okazał się proroczy – to głównie oni „pozamiatali" na oscarowej scenie. Niby można było taki wynik przewidzieć (na 11 nominacji przypadło im aż 7 statuetek), jednak zatriumfowało coś nie do końca oczywistego: amerykańskie kino niezależne, niskobudżetowe, dosyć ekstrawaganckie, w dodatku nakręcone głównie przez Azjatów i o Azjatach. Jednocześnie z myślą o wszystkich i zewsząd, choć ze względu na swoją specyfikę niekoniecznie dla każdego.

Lek na przebodźcowanie

Teoretycznie coś takiego udać się nie mogło: melanż *science fiction* spod znaku wieloświata, szalonej komedii zagranej na fortepianie palcami zamienionymi w parówki, dalekowschodniego kina sztuk walki i do tego ciepłej „obyczajówki" z życia chińskiej diaspory w USA. A jednak. Podczas seansu czujemy się niczym w pralce bębnowej, i nie jest to przypadek. Akcja filmu toczy się bowiem w małej rodzinnej pralni, po czym przenosi się do urzędu skarbowego, gdzie przed zestresowaną podatniczką w średnim wieku otwiera się portal do równoległych rzeczywistości. Oglądamy film, w którym prócz mało wybrednego humoru znalazło się miejsce na cytaty z klasyki filmowej i buddyjskie czy taoistyczne symbole, a alternatywnym scenariuszom przeżywanym przez główną bohaterkę towarzyszy psychomachia, w której stawką jest doprawdy wszystko – dom, rodzina, tożsamość.

Poza tym oglądamy także wspaniały benefis dwóch dojrzałych aktorek: Michelle Yeoh i Jamie Lee Curtis (obie zresztą nagrodzono).

Jeśli zwycięski film miałby być wyznacznikiem tego, gdzie dzisiaj jesteśmy (w życiu oraz w kinie) albo dokąd zmierzamy, film Danielów wymyka się jednoznacznym odpowiedziom. Bo niektórzy zatracą się w niezobowiązującej zabawie, inni się po prostu nią umęczą, jeszcze inni będą rozkminiać ten filmowy bajgiel, z definicji pusty w środku, a jednocześnie przekładany absurdem i wszystkoizmem. Być może właśnie w owej pustce i dookolnym chaosie, ostatecznie zaś w prostym, rodzinnym przesłaniu, widzowie znajdują lekarstwo na dzisiejsze przebodźcowanie i niepewność.

Lekcje wojny

Werdykty tegorocznej gali nieznacznie poprzesuwały akcenty na kulturowej mapie świata. Oscary były zawsze świętem amerykańskiego przemysłu filmowego, tym razem lepiej były widoczne jego offowe, autorskie czy zagraniczne przyległości – choć wszyscy wiemy, że to naczynia trwale ze sobą połączone.

Tak było z zagranicznym i bardzo komercyjnym obrazem Szweda Rubena Östlunda „W trójkącie", nominowanym w trzech najbardziej prestiżowych stawkach. Jeszcze lepszym przykładem może być sukces „Na Zachodzie bez zmian" Edwarda Bergera – produkcji niemieckiej, która wygrała w kategorii najlepszego filmu międzynarodowego, za zdjęcia (James Friend), scenografię (Christian M. Goldbeck, Ernestine Hipper) i muzykę (Volker Bertelmann). To film wręcz idealnie skrojony pod wielkie nagrody: wysokojakościowe widowisko wojenne, a zarazem jeden z flagowych tytułów Netfliksa.

Podczas gdy na Wschodzie zmian mamy aż nadto, w zachodnim kinie święci triumfy antywojenny przekaz Ericha Marii Remarque'a sprzed stu lat, w niektórych wątkach potraktowany nader swobodnie. Nie popada jednak ani w rozpaczliwy nihilizm, ani naiwny idealizm, kiedy w maksymalnym zbliżeniu ukazuje totalne widowisko destrukcji i dehumanizacji. Główny swój dramatyzm buduje na zderzeniu indywidualnego do-

świadczenia wojennego z masową inżynierią, okopowego koszmaru z gabinetowym „wersalem", wielkiej ekranowej batalistyki i kameralnej polityki. Uniwersalizując lekcję wojny, film tym samym nieco ją upraszcza, co w przypadku Oscarów okazało się całkiem opłacalne.

Żal duchów

Ta prawdziwa, współczesna wojna nie przebiła się podczas ceremonii transmitowanej z Los Angeles na cały świat. Organizatorzy ponownie odmówili czasu antenowego Wołodymyrowi Zełenskiemu, jednemu z najważniejszych dziś aktorów i reżyserów świata. Niektórzy tłumaczyli to polityczną poprawnością (wszak to nie jedyna na świecie krwawa wojna, w dodatku całkiem „biała"), chociaż przyczyny były bardziej prozaiczne – Ameryka jest dziś podzielona w kwestii pomocy dla Kijowa, trzeba więc było zadbać o ten bardziej sceptyczny elektorat, w myśl powiedzenia „nasza chata z kraja". Odhaczono temat pod postacią nielicznych przypinek w kolorach ukraińskiej flagi i przyznając nagrodę za najlepszy dokument „Nawalnemu" Daniela Rohera, kiedy to obecna na scenie żona bohatera przypomniała, za co m.in. przebywa on obecnie w ścisłej izolacji (choć w Ukrainie ten werdykt wzbudził kontrowersje).

Odbywały się także wojny symboliczne, jak we wspaniałych „Duchach Inisherin". Oto pośród dalekich ech irlandzkiej batalii o niepodległość, na tytułowej wysepce, pewnego dnia rozpada się stara dobra męska przyjaźń. Dlaczego kumpel na złość drugiemu kumplowi postanawia obciąć sobie palec? Jakie emocje i ambicje stoją za tym bratobójczym w gruncie rzeczy konfliktem? Pozostaje to do końca gorzką tajemnicą, opalizującą w trakcie i po seansie rozmaitymi sensami. Brak nagrody dla McDonagha, przynajmniej za scenariusz oryginalny, był jednym z największych niesprawiedliwości tego rozdania.

Nie zbłękitniał, nie odleciał

Zdecydowanie pacyfistyczną wymowę miał także „Avatar: Istota wody", lecz Oscar tym razem ani nie zbłękitniał, ani nie wyrósł mu koci ogon i elfie uszy. Przebój, któremu wraz z „Top Gun: Maverickiem" branża zawdzięcza popandemiczny powrót widzów do kin, stał się kolejnym wielkim przegranym. Okazał się przede wszystkim technologicznym popisem i imponującym spektaklem, choć podbój rajskiej Pandory przez Ziemian, szukających kolonii dla swej podupadłej planety, wprawia w ruch rozmaite ważkie dyskursy naszych czasów, na czele z ekologią, antyimperializmem, transhumanizmem i genderyzmem. A wszystko to w imię rodziny, tradycji, międzyplemiennej i międzygatunkowej wspólnoty.

Sukces kasowy rozminął się z głosami akademików również w przypadku nowego „Top Gun". Dostaliśmy wysokooktanowe widowisko zbudowane ze snów o lataniu, o wielkich żelaznych ptakach, spełnionych życiowych misjach i lotniczych stylówkach, niesione na skrzydłach nostalgii. A wszystko w rytm triumfalnego hymnu Harolda Faltermeyera, naznaczone charyzmą Toma Cruise'a, który wygląda i zachowuje się tak, jakby po 30 latach wyszedł właśnie z kapsuły kriogenicznej, znanej nam z „Avatara".

Co znaczące, zamiast kolejnej filmowej reaktywacji przeboju na sterydach, członkowie Akademii pokochali dużo skromniejszy i nieco pokraczny film o zwariowanej imigrantce, żonie, matce zagubionej w alternatywnych rzeczywistościach. Równocześnie można to uznać za dobry znak dla tak zwanego kina środka. I raczej zły omen dla kina z bardziej artystycznymi ambicjami.

Królowa sfinks

Całkowite zignorowanie filmu „Tár", nakręconego przez Fielda po kilkunastu latach reżyserskiego milczenia, było i zarazem nie powinno być zaskoczeniem. Ma on nie tylko posągową twarz Cate Blanchett, ale i – tak jak jej bohaterka – naturę sfinksa. Czy dyrygentka musi być dyktatorką? Czy geniuszka musi stać się potworą? Czy prezentyzm unicestwi dzieła przeszłości, a kultura unieważniania i media społecznościowe całkowicie przejmą rolę sądów i artystycznych wyroczni? To tylko próbka tego, co oferuje ten niejednoznaczny film. Doczekał się już muzykologicznych analiz i ostrej krytyki genderowej, przede wszystkim jednak pozbawia nas komfortu, jaki przynosi twarda ocena zachowań bohatera i reżyserskich intencji.

Trudno zaiste zdobyć się na nią w przypadku tak zniekształconego obrazu świata, a lodowa królowa świetnie potrafi tę wieloznaczność rozegrać i jeszcze bardziej pokomplikować. Dlatego nagrodzenie za najlepszą rolę żeńską malezyjskiej aktorki z „Wszystko wszędzie naraz" mogło wyglądać na gest kary wymierzonej w perfekcyjną pod każdym względem australijsko-amerykańską gwiazdę, tudzież w jej reżysera. Być może Hollywood poczuło się tą zimną perfekcją zmęczone, bo przerosła je skala intelektualnych, psychologicznych i stylistycznych komplikacji.

Spielberg i zmiana warty

Nie można tego powiedzieć o najnowszym filmie Spielberga, który ma wszelkie ↦

DANIEL KWAN, DANIEL SCHEINERT, MICHELLE YEOH

DANIA MAXWELL / LA TIMES / GETTY IMAGES

↦ cechy kina poprawiającego samopoczucie i o wiele prostszą strukturę, a też przeszedł niezauważony. Weteran filmowej rozrywki w autobiograficznych „Fabelmanach" nakłada na kamerę nostalgiczny ocieplacz, choć dotyka także bolesnych miejsc w historii swej rodziny i dorastania. Z wdziękiem rozkłada na czynniki pierwsze swój eskapizm i podwójną, marzycielsko-inżynieryjną naturę, która naznaczyła całą jego filmografię, lecz ujawnia przy tym coś więcej. Pokazuje mianowicie, że ukrytym motorem twórczości jako wehikułu emocji jest manipulacja, a ceną za to bywa narcyzm i samotność.

I jeśli nawet mamy do czynienia z seryjnym „listem miłosnym", to przecież nie tylko do kina, ale i do tych wszystkich, którzy pomagali przekuwać w to kino dziecięce marzenia. Są w tym gronie bardzo nieidealni rodzice, przyjaciele wespół z wrogami i przypadkowo napotkani ludzie. Dawno Spielberg nie nakręcił tak udanego filmu, a nigdy tak osobistego. Być może w tym przypadku zignorowanie mistrza to jednak nie akt przekory, ale znak, że po pięknym ukoronowaniu własnej twórczości czas na zmianę warty. W tym roku na Oscarach wychylone w przyszłość, acz opiewające teraźniejszość bałaganiarskie multiwersum zdecydowanie wygrało z tradycyjnymi powrotami do przeszłości.

Kobiety bez głosu

A co z samą galą? W ostatnich tygodniach jej twórcy szumnie zapowiadali, iż z całych sił będą się starali udowodnić, że przedwcześnie pogrzebano kino jako instytucję i zbiorowy rytuał. Bo nawet po śmierci kina orkiestra w Teatrze Dolby będzie grała dalej, gwiazdy będą się prężyć na czerwonym czy – jak w tym roku – na szampańskim dywanie, będą wzruszać się przed mikrofonem, tak jak konferansjerzy będą nas raczyć swoimi sucharami.

Mówi się, że dopiero zniknięcie Oscarów postawiłoby na Hollywood definitywny krzyżyk. Wdrożono więc system naprawczy, by po pandemii uczynić te nagrody znowu wielkimi. Przywrócono transmisję z rozdania wszystkich, a nie tylko najważniejszych, zaproszono ponownie sympatycznego Jimmy'ego Kimmela jako prowadzącego ceremonię, oglądalność miała też poprawić obecność w głównej stawce największych hitów, będących zresztą sequelami tych wcześniejszych. Zadbano o zróżnicowanie rasowe nominowanych, czego nie można powiedzieć, niestety, o reprezentacji kobiecej. W czterech najważniejszych kategoriach, obejmujących 12 tytułów, jedynym listkiem figowym była Sarah Polley i jej „Women Talking", czyli opowieść o budowaniu siostrzeństwa i nawiązywaniu dialogu w gronie menonitek skrzywdzonych przez patriarchalno-religijny system (Oscar za scenariusz adaptowany). Ekranizacja książki Miriam Toews wydanej u nas pod tytułem „Głosy kobiet", wyprodukowana m.in. przez Frances McDormand, okazała się ironicznym komentarzem do całej sytuacji. Lista reżyserek pominiętych w nominacjach byłaby zresztą całkiem spora, ale najbardziej brakowało wśród nich „głosu" Charlotte Wells i jej debiutanckiego „Aftersun". Przebił się jedynie Paul Mescal ze swą wybitną rolą młodego ojca w depresji.

Męskie, zwierzęce

Nie doczekał się jednak nagrody, bo męskie kategorie aktorskie były w tym roku wyjątkowo mocno obsadzone. Znalazło się w nich całe spektrum podejścia do filmowej roli. Musiał jednak zwyciężyć Brendan Fraser, jako że Hollywood najbardziej ceni sobie wcielenia ekstremalne, najlepiej połączone z szokującą fizyczną transformacją. Bohater „Wieloryba" Darrena Aronofsky'ego zawdzięcza ją w dużej mierze mistrzostwu charakteryzacji (drugi Oscar dla filmu), jakkolwiek dość kuriozalna debata na temat odgrywania na ekranie postaci z otyłością (zamiast, w imię równości szans, zatrudniania osób otyłych do takich właśnie ról) o mały włos nie zamknęła aktorowi drogi do zdobycia złotej statuetki. Obok tak radykalnie wypracowanej kreacji mieliśmy jeszcze aktorski mimetyzm wizualny i wokalny w wykonaniu Austina Butlera w „Elvisie" oraz rozmaite odsłony wyspiarskiej oszczędności w stosowaniu środków wyrazu, uprawianej przez Colina Farrella w „Duchach Inisherin", Billa Nighy'ego w „Living" i wspomnianego już Mescala. Dla jurorów musiał to być wyjątkowo twardy orzech do zgryzienia.

JEFF KRAVITZ / FILM MAGIC / GETTY IMAGES

BRENDAN FRASER

W przeciwieństwie do najbliższej nam w tym roku kategorii filmu międzynarodowego. Kiedy w pewnym momencie na scenę Dolby Theatre wkroczył osiołek, polskie serca zaczęły bić mocniej. Niestety, był to zupełnie inny kłapouch, ten (a właściwie ta) z fikcyjnej wyspy Inisherin. „IO", chociaż został świetnie przyjęty przez krytykę za oceanem i wpisuje się w bardzo aktualne debaty na temat posthumanizmu i naszych relacji z braćmi mniejszymi, ostatecznie wyjechał z Los Angeles bez trofeum. Konkurencję miał jednak ogromną i jakże zaszczytną. Z jednej strony był nią „czarny koń" tych wyścigów, czyli „Na Zachodzie bez zmian", z drugiej zaś porażające psychologiczną intensywnością belgijskie „Blisko" Lukasa Dhonta czy irlandzka „Cicha dziewczyna" Colma Bairéada i, dla odmiany, świetne studium rozrachunku z dyktaturą, „Argentyna, 1985" Santiaga Mitre. Miejmy nadzieję, że najstarszy w tym gronie Jerzy Skolimowski nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, jego film przeczy bowiem metryce, a i w tym gronie wyróżniał się oryginalnością i przekorą.

Amerykański sen

Podobnie jak zwycięski film Quana i Scheinerta. Ci twórcy oraz ich aktorzy: Yeoh, Curtis czy uhonorowany za rolę drugoplanową Ke Huy Quan, wnieśli na tę wyjątkowo grzeczną (a więc zapewne trochę nudną) galę nieco sponta-

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

Najlepszy film: **WSZYSTKO WSZĘDZIE NARAZ**, *łącznie 7 Oscarów.*

Najlepsza reżyseria: **DANIEL KWAN, DANIEL SCHEINERT** *i najlepsza aktorka pierwszoplanowa:* **MICHELLE YEOH,** *„Wszystko wszędzie naraz”.*

Najlepszy aktor pierwszoplanowy: **BRENDAN FRASER,** *„Wieloryb”. Hollywood, 12 marca 2023 r.*

nicznej energii. Ten ostatni przypomniał o tym, jak przed laty dostał się łodzią do Stanów Zjednoczonych i wreszcie, po latach i wielu perypetiach, udało mu się spełnić swój „amerykański sen”. Z kolei Quan, również z rodziny azjatyckich imigrantów, podkreślał w przemówieniu, jak ważna w procesie powstawania filmu jest kolektywność i kontekstualność, w tym wypadku związana z etniczną i rasową tożsamością. Nie było w owych słowach ani krzty deklaratywności czy grania pod publiczkę. Zresztą, kto widział „Wszystko wszędzie naraz” albo wcześniejsze, równie zwariowane filmy duetu Danielów, uwierzył im na słowo.

Jakie zatem były tegoroczne Oscary? Przede wszystkim odrobinę mniej hollywoodzkie, biorąc pod uwagę to, z czyich stajni pochodziła znaczna część nagrodzonych filmów i osób. Niezależne studia typu A24, ale także – czy tego chcemy, czy nie – bogate platformy streamingowe, w dobie pocovidowego kryzysu nie boją się inwestować w bardziej oryginalne produkcje, jak „Wieloryb” czy laureat głównej statuetki, pozytywnie wpływając na różnorodność kinowej i/czy internetowej oferty. Z drugiej strony giganci w rodzaju Netfliksa mają dziś przebicie promocyjne na ogromną skalę, w związku z czym dużo skromniej ustawione filmy, typu nasze „IO”, nie mają szans w takim starciu.

Świeżość

A jednak po chudych i dusznych latach pandemicznych powiało świeżością. Zamiast największych blockbusterów czy wystawnych wydmuszek na kształt „Babilonu” Damiena Chazelle’a doceniono filmy na miarę bardziej ludzką; mniej prestiżowe, za to bez wątpienia naznaczone indywidualnością.

Już ubiegłoroczna „CODA”, a wcześniej dużo lepszy „Nomadland” zapowiadały taką zmianę. W tym roku zwycięzca połączył żywioły, zdawałoby się, niemożliwe, bo i silny wydźwięk rodzinno-społeczny, i bezwstydnie rozrywkowy ton, i pewną formalną dezynwolturę, której często brakuje dopiętym na ostatni guzik produkcjom hollywoodzkim czy sterowanym algorytmami tytułom powstającym z myślą o platformach streamingowych. Zapewne ucierpiało na tym uśrednieniu kilka najbardziej autorskich tytułów. Chciałoby się wierzyć, że samo kino coś jednak zyskało. ©

Lektor:
Poeta wolny

▪ *Jan Skácel*
BOSO PO TŁUCZONYM SZKLE. 222 CZTEROWIERSZE
Przełożył Michał Tabaczyński, ilustracje Vendula Chalánková. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, ss. 112.

„Zdaje się, że lody ruszyły” – pisał 7 listopada 1989 roku do swojego niemieckiego przyjaciela i tłumacza Reinera Kunzego. To był ostatni list i zarazem ostatni dzień życia jego autora. Jan Skácel (1922-1989), wspaniały poeta czeski, nie doczekał aksamitnej rewolucji. W latach 60. redaktor pisma „Host do domu”, ważnego dla epoki liberalizacji, po stłumieniu praskiej wiosny został objęty zakazem druku.

Właśnie wtedy, jak pisze Michał Tabaczyński, sięgnął po formę maksymalnie lakoniczną. Zwrócił się ku czterowierszom, „które całe są z brzmienia i rytmu, pozszywane rymami zapewniającymi istotny mnemotechniczny potencjał”. Zyskał „wolność absolutną, która przekraczała nie tylko cenzuralne obostrzenia, ale i wszelkie reguły poetyki”. Dla Milana Kundery czterowiersze Skácela były świadectwem czarodziejskiej mocy czeszczyzny, czymś, co najmocniej wiąże go z rodzimym językiem. Dla tłumacza są wyzwaniem i przyznaje on, że w wieloletniej pracy nad nimi „zadufanie walczy wciąż z niepewnością i poczuciem bezradności”. Dwie setki czterowierszy pochodzą z powstałych w latach 70. zbiorów „Skaza brzoskwini” i „Orzeszki dla czarnej papużki”, garść – z ostatniej książki poety „Kto w ciemności pije wino”.

Wiersze Skácela tłumaczyli u nas m.in. Józef Waczków (wybór „Godzina między psem a wilkiem”, 1991) i niedawno zmarły Leszek Engelking (w antologii „Maść przeciw poezji”, 2008). „Z czystych konturów wiersza Skácela – pisał Engelking – wyłania się mroczna wizja świata przesyconego niepokojem, tragizmem i cierpieniem, które wpisane jest w naturalny porządek rzeczy. Nienatrętny, ale czytelny jest etyczny wymiar tej twórczości”. A Tabaczyński zauważa, że czterowiersze bywają też „zabawne, frywolne, błazeńskie” – bez tych rejestrów nie ma przecież pełnej wolności.

I na koniec znów Reiner Kunze, autor „Cudownych lat” (1976) – jednego z najlepszych portretów totalitarnej codzienności, zmuszony po ich wydaniu w RFN do wyjazdu ze wschodnich Niemiec. Ostatnią część tej książki, „Café Slavia”, poświęcił czeskim przyjaciołom. Więc zacytujmy wybrany przez niemieckiego poetę czterowiersz Skácela: „my żebracy tak mało chcemy / starczy że ktoś nam słowo poda / oczywiste jak czysta woda / a w ciepłe kraje odejdziemy”. ©℗

OLGA

Drenda:
Co tak chrupie?

Szczur w panierce – takim tytułem opatrują folkloryści najbardziej uporczywą z legend miejskich. Już w 1980 r. badacz Gary Alan Fine zebrał kilkadziesiąt wariantów „absolutnie prawdziwej" historii o tym, jak to niespodziewający się niczego klient zamówił kurczaka w panierce, a otrzymał danie, które okazało się zawierać chrupiącego gryzonia. Szczury i inne mało apetyczne stworzenia, a także trucizny i wydzieliny ciała, pojawiały się w pogłoskach dotyczących większości sieci fast food, restauracji azjatyckich, supermarketów. Te „legendy spożywcze" to część szerszej kategorii „legend rynkowych", które, choć początkowo samorodne, często bywają wykorzystywane w nieuczciwej konkurencji jako metoda obrzydzenia klientom rywala i jego wyrobów. Bywają w tym bardzo skuteczne, ponieważ silna emocja obrzydzenia bierze górę nad namysłem, czy informacja nie została aby zmyślona.

Dlatego dementi tak często trafia w próżnię, a nawet pogarsza sprawę. Kto z sentymentem wspomina gumę Turbo, ten być może pamięta również panikę na tle rzekomo rakotwórczych substancji zawartych w tym przysmaku i innych słodyczach z importu. To polskie echa słynnej francuskiej „listy z Villejuif", zawierającej barwniki i konserwanty mające wywoływać raka. Najgorszą sławę zyskał E330, jak się okazało – kwasek cytrynowy. Lista („tajny wyciek ze szpitala"), dystrybuowana w maszynopisie i na ksero, była zjawiskiem o tyle ważnym, że ukazała, jak przeciwskuteczne bywa zaprzeczanie pogłoskom. Każdy komunikat, w tym ze strony samego szpitala, sprawiał, że przekonani o prawdziwości niebezpieczeństwa tym bardziej w nie wierzyli.

Chomik w bułce (to nie jest propozycja podania).

OLGA DRENDA

Ta historia odruchowo przychodzi na myśl w związku z ekspresową karierą niedawnej sensacji o planowanym nakazie konsumpcji robaków. Dla każdego, kto zna się na mechanizmie współczesnych mitów i legend, to niemalże klasyk w chwili powstania. Odwołanie do silnych negatywnych emocji (robak – równie apetyczna propozycja, co szczur w panierce)? Niezidentyfikowany, lecz potężny zły („oni", „elity")? Przekonanie o zagrożeniu i konieczności walki o prawdę? Odwołania do rzeczywistych zjawisk czy idei, ale interpretowanych tak, by pasowały do logiki opowieści? Mamy tu wszystko.

Od razu uruchomił się też mechanizm znany z „listy rakotwórczych E": każde zaprzeczenie czy nawet niedowierzanie natychmiast spotykały się z gwałtowną reakcją. Tak jakby pandemia sprawiła, że ludzie stali się skłonni do wiary we wszystko, co wiąże się z elementem kontroli przez jakieś siły. Można byłoby powiedzieć, że ludzie masowo zaczęli wierzyć w teorię Michela Foucault o społeczeństwie nadzorowania i karania, choć nie powoływali się na nią. „Słyszeli państwo o gotowaniu żaby?", „historia nie takie rzeczy widziała", „zawsze zaczyna się od zaleceń", „znają państwo eksperyment z mysią utopią?" – zwolennicy daleko posuniętej nieufności od razu przechodzili do ofensywy.

Siłą pogłoski, nawet najbardziej z pozoru niebywałej, jest uruchomienie odruchu przezorności: „a co, jeśli w tym jest odrobina prawdy, lepiej dmuchać na zimne". Przemawia ona również do tych, którzy mają w sobie silny instynkt podejrzliwości, każący się doszukiwać wszędzie najgorszego, a przede wszystkim z góry zaplanowanego scenariusza. I to właśnie czynnik obecności scenariusza, a raczej opowieści, przesądza o powodzeniu i faktycznej nieśmiertelności miejskich legend czy teorii próbujących wyjaśniać tajne zasady świata. Jako gatunek przez większość swojego istnienia przekazujący sobie wiedzę ustnie, ciążymy ku spójnym, nawet jeśli nieprawdziwym opowieściom. Zwłaszcza gdy oferują bilet do uczestnictwa w manichejskim teatrze dziejów. Być po właściwej stronie w odwiecznej walce światła i ciemności to wielka pokusa. Prof. Bartłomiej Dobroczyński twierdzi, że większość teorii, w których występują „oni", ukrywający przed światem „prawdziwą wiedzę", to spadek po dawnej manichejskiej wizji świata, zgodnie z którą trzeba przejrzeć na oczy i odrzucić złudzenia, by uwolnić się spod wpływu złego demiurga.

Opowieści te są tak trwałe i skuteczne, bo oddziaływają nie tylko na silne emocje, ale też czerpią z naszej wspólnej pamięci kulturowej, w której tkwią utrwalane przez wiele wieków proste schematy opowieści, znane badaczom folkloru: domena baśni, legendy i mitu. Pragnienie zaczarowania świeckiego świata jest potężnym motorem działań i kto chce na poważnie przeciwstawiać się cynicznie wykorzystywanym opowieściom, ma jedno wyjście: musi zastępować je innymi. ©

PAWEŁ

Bravo: *Udomowienie*

Jedenaście tysięcy lat temu ludzie udomowili winną latorośl. Zdanie to wygląda na jedną z tych banalnych ciekawostek działu „naukowego" dowolnego portalu śmietnika. Jednak każdy z jego członów obejrzany z bliska i rozebrany na kawałki sensu okaże się jak skromna kulka zielonej herbaty *gunpowder*, rozwijająca się po zalaniu gorącą (ale nie wrzącą!) wodą w rozłożysty, piękny liść.

Co to znaczy udomowić? Usłyszmy słowo „dom". Sugeruje istnienie siedziby będącej przestrzenią trwałą i świadomie zarządzaną, nowy rodzaj władztwa nad horyzontem życia codziennego. Kiedy roślina staje się domownikiem, wchodzi w skład szerzej pojętej rodziny, a więc do kręgu troski, odpowiedzialności, ale i manipulacji. Rodzina, dając schronienie i ciepło, w zamian przycina i wyznacza wzrost, co dziś często bywa określane traumą.

Oglądane przez lupę genetyka udomowienie oznacza celowo wywołane zmiany w genomie. Dla pszenicy było to np. przekształcenie kłosa tak, by w momencie osiągnięcia pełnej dojrzałości nie rozpadał się. W naszym konkretnym przypadku badacze zajmujący się sekwencjonowaniem tysięcy próbek starych i nowych odmian winorośli ustalili kluczowy moment, gdy stała się samopylną hermafrodytą. Ingerencja w sposób rozmnażania – czy może być bardziej oczywisty przykład władzy nad drugim organizmem? Płodzę (lub nie płodzę), jak chcę i z kim chcę – to przecież jeden z podstawowych obecnie emblematów wolności i kapitalne zagadnienie polityczne.

Co to zaś byli za ludzie? Mieszkańcy odległych od siebie, ale nie byle jakich obszarów: Kaukazu, który już Księga Rodzaju wskazuje jako miejsce odrodzenia po potopie, oraz Bliskiego Wschodu – zachodniego skraju tzw. Żyznego Półksiężyca, miejsca, gdzie wedle nauk badających nie Księgę, lecz ślady kultury materialnej, po lodowcowym resecie powstały pierwociny współczesnych cywilizacji. Pępek świata. I jak to pępek – zarośnięty, schowany, niewyględny. Wręcz niepotrzebny, jeśli spojrzeć, jak potrafimy od stulecia niszczyć wszystko, co tam żyje, rośnie i stoi.

Nie miejsce tu, by rozebrać na czynniki pierwsze, czym jest winna latorośl i jak odróżniamy tę jedną szczególną, będącą przedmiotem badań z ważnego powodu: jej przefermentowane owoce zapewniają jeden z filarów ludzkiego pożywienia, czyli wino. Dość nam wiedzieć, że to zawiła sprawa i każdy ośrodek wiedzy enologicznej będzie wam pokazywał własną obłędnie poplątaną mapę krzyżowania się rozlicznych gatunków. Skupmy się za to na 11 tysiącach lat. Szmat czasu tak rozległy, że nie rozepniemy go na żadnych intuicyjnych słupkach. Mam zresztą wrażenie, że nawet 50 lat to już jest skala dziejowa, którą trudno sobie bliźnim wyobrazić.

Mniejsza zatem o to, jak bardzo było to „dawno" – dla nas ciekawsze jest co innego. Ta liczba lat oznacza bowiem, że winna latorośl została udomowiona wcześniej, a w każdym razie na pewno nie później niż zboża. Jest pierwszą rośliną, obok płaskurki i samopszy, którą człowiek zechciał przyjąć pod dach swego domu. Podjąć wysiłek, by zagwarantować sobie trwałą i przewidywalną podaż jej coraz dorodniejszych jagód.

Osiadły tryb życia szkodliwy dla ciała, podział ról w ślad za specjalizacją rolnictwa i produkcji, społeczna stratyfikacja, przemoc zakodowana w coraz bardziej złożonych instytucjach, a dalej spustoszenia ekosystemów trwające od starożytności – ostatnio ożywił się nurt refleksji metahistorycznej, który widzi udomowienie zbóż nie jako założycielski moment „rozwoju", lecz jako inaugurację pasma nieszczęść. Jest to oczywiście dyskusja raczej kawiarniana niż naukowa. Ale podoba mi się myśl, że nasi przodkowie, wciskając guzik „start" w silniku postępu i inicjując morderczą przemianę w osiadłych rolników, zapewnili sobie od razu środek, który choć trochę znieczulał jej skutki. Wino, o ile stosowane z rozsądnym umiarem, czyni strawniejszym chleb, który wpycha nam do gardeł coraz bardziej niepojęta cywilizacja. ©℗

W rubryczce sprzed dwóch tygodni może zbyt obcesowo potraktowałem śmietanę, na przeprosiny z tym składnikiem szepnę, że godni zaufania kucharze dodają ją nawet do sosu bolońskiego.

ADOBE STOCK

Nie zdążyliśmy dwa tygodnie temu dobrze się nim zająć, pora więc na przepis będący rozsądnie wyciągniętą średnią z wielu „kanonicznych" wersji. Średnią – ale nie w smaku! Roztapiamy na dużej patelni 100 g boczku pokrojonego w drobną kostkę, dodajemy drobno posiekane marchew, cebulę i łodygę selera naciowego, dusimy pomału, aż zmiękną, ewentualnie dolewając łyżkę wody. Dodajemy zmielone 300 g łopatki lub karku wołowego plus 100 g zmielonej łopatki wieprzowej, zwiększamy ogień, smażymy, aż mięso zacznie skwierczeć i zacznie się zrumieniać. Wlewamy 150 ml czerwonego wina, odparowujemy, dodajemy 20 g mocnego koncentratu pomidorowego rozprowadzonego w niewielkiej ilości wody, gotujemy pod przykryciem na bardzo wolnym ogniu co najmniej dwie godziny, dodając co jakiś czas mleko (w sumie szklanka) i doprawiając do smaku solą i pieprzem. No i pod sam koniec można dodać parę łyżek bardzo tłustej śmietanki.

ZMYSŁY

JAK BYĆ SOKOŁEM

Dlaczego ktoś miałby chcieć przeistoczyć się w ptaka? Trudno o gromadę zwierząt, w której kolejność dziobania zaznaczona byłaby równie dobitnie. Skrzydlate uniwersum ocieka krwią. Wypełnia je dźwięk trzaskających kości.

ADAM ROBIŃSKI

Na pierwszy, przelotny rzut oka nurzyk i alka to ten sam ptak. Takie mają dominujące barwy, poza którymi wszystko jest inne. Ciemny grzbiet idealnie skontrastowany z jasnym brzuchem – czarno-biała elegancja, tak przecież powszechna w ptasim uniwersum. Wiąże się ona z prozaiczną żądzą przetrwania. Widziany z góry lotnik jest trudną do wyłapania ciemną plamą na grafitowym płótnie oceanu. Z dołu, dla obserwatora znajdującego się na wodzie lub pod jej powierzchnią, staje się ziarnkiem kaszy w mamałydze chmur.

Natura zna wiele wyrafinowanych metod kamuflażu, ale ta, wypracowana przez morskie ptaki, jest prosta jak konstrukcja cepa. Tam, gdzie w grę wchodzi ruch, potrzeba wytrychów. W domowym zaciszu wystarczy atlas ptaków. Dziób nurzyka jest smukły i sztyletowaty. Ten alki z profilu przypomina krzywo obcięty paznokieć. Bocznie spłaszczony, dopiero widziany z frontu wykazuje pewien stopień ostrości. Biała, pionowa linia w jego poprzek, która w tropikach przeszłaby zapewne niezauważona, na surowych wodach północy wygląda wręcz fantazyjnie. Ale zarówno nurzyk, jak i alka to gatunki pelagiczne, związane z wodą, obserwowane w Polsce wyłącznie zimą i to kilka kilometrów od wybrzeża. Żeby je zobaczyć, trzeba wsiąść na pokład łódki. Wracamy więc do punktu wyjścia, zdani na trzymaną w trzęsących się rękach lornetkę i własne, niewprawne oko. Nurzyk i alka – niepozorne, beczkowate sylwetki, ciemniejsze punkty w tłumie towarzyszących łodzi mew.

Dwie prawdy

Nigdy nie byłem mocny z ptaków. Być może to kwestia niedoborów ambicji, a może korygowana soczewkami wada wzroku, będąca przeszkodą w szczegółowych analizach ptasiej fizjonomii. I choć w terenie właściwie nie rozstaję się z lornetką, to zadowalam się małymi sukcesami. Nie czuję potrzeby wędrowania myślami między blisko spokrewnionymi gatunkami. Często obywam się nazwą rodzajową. Dzięcioł jako taki jest wystarczająco pięknym stworzeniem. A że ten, który akurat łupie w próchno nad moją głową, jest duży, mały albo średni? Niech się inni przejmują detalami. Ciemna plamka, która obok brązowej czapeczki odróżnia mazurka od wróbla, to – parafrazując bawarskiego reżysera Wernera Herzoga – prawda księgowych, a więc taka, za którą kryją się wyłącznie suche fakty. Jest jeszcze prawda poetów, ta, która niesie ze sobą iluminację, oświecenie i nieprzetłumaczalny na linneuszowską łacinę dreszcz emocji.

„Nie macie pojęcia, czym jest wolność, dopóki nie widzieliście sokoła na wiosennym niebie, swobodnie przemierzającego odległe prowincje światła". Wyobrażam sobie, że egzemplarz książki „The Peregrine" Johna Aleca Bakera, którą Herzog trzyma w podręcznej bibliotece, jest równie pokreślony

Sokół wędrowny, Finlandia, 2015 r.

MARKUS VARESVUO / BE&W

jak mój. Zdanie po zdaniu zaznaczone zdradzającym poruszenie ołówkiem. Studentom swojej „łobuzerskiej szkoły filmowej", niesformalizowanego kursu reżyserii, Herzog każe przede wszystkim czytać. Wśród obowiązkowych lektur wymienia m.in. „Georgiki" Wergiliusza, dydaktyczny poemat o tematyce agrarnej; końcowy raport komisji Warrena w sprawie zabójstwa prezydenta Kennedy'ego; „Eddę starszą", będącą pierwszym zabytkiem islandzkiego piśmiennictwa; oraz właśnie „The Peregrine", wydane w 1967 r. dzienniki angielskiego obserwatora sokołów wędrownych.

Mam tę książkę od lat, ale jeszcze do niedawna nigdy nie przeczytałem jej od deski do deski. „The Peregrine" jest lekturą trudną, uszytą za pomocą języka wymagającego nieustannego skupienia. „Rzeczowniki, które zamieniają się w czasowniki. Czasowniki, które wyfruwają z przymiotników. Głęboki, przemyślany rytm każdej frazy. Zdania można dzielić na wersy i zamieniać w poemat" – pisze o niej w „Dwunastu srokach za ogon" znany z tygodnikowych łamów Stanisław Łubieński. Chwila nieuwagi i padasz trupem. „Sokół" jest jak sokół, który spada z nieba na swoją ofiarę, i z czytelnika zostaje mokra plama. Przez moment byliśmy bekasem, mewą, grzywaczem, a teraz już tęskno nam do bezpiecznego świata ludzi i ich prozaicznych spraw.

Spadł z nieba – to samo można napisać o polskim wydaniu „Sokoła" w przekładzie Pawła Lipszyca. Książka z pozoru nieprzetłumaczalna świetnie wpasowała się w koleiny polszczyzny i bez większego rozgłosu została wydana w końcówce ubiegłego roku. Dlatego zanim o Bakerze i tym, czym stał się jego dziennik dla współczesnych ptasiarzy, ukłon w stronę wysiłku tłumacza i efektu jego pracy. I smutna konstatacja, że tak doskonale przygotowana merytorycznie publikacja może zostać spektakularnie rozbita w pył przez wydawcę, który najwyraźniej poskąpił na korekcie. Lektura jednocześnie zachwyca i boli. Niech więc ten tekst będzie wyrazem zachęty, by mimo tego niedbalstwa „Sokoła" zauważyć i docenić.

Słońce na powiekach

Fabuła książki to dziesięć zim na wybrzeżu hrabstwa Essex skompresowanych do paru tylko miesięcy, podczas których narrator z uporem maniaka ugania się za zimującymi w Wielkiej Brytanii sokołami wędrownymi. Nie wiemy o nim wiele. Informacje biograficzne są skąpe, a żeby wydobyć je na światło dzienne, potrzeba było wytężonej pracy literaturoznawców. To nie jest życiorys kogoś, kto całe życie oddał ptakom. Robotnicze pochodzenie, dziecięca choroba kręgosłupa, literacka drobiazgowość, która sprawiała, że jeden list potrafił pisać tygodniami. Nie był ani genialnym robotnikiem, ani ludowym poetą, raczej skrytym erudytą, który głęboko przemyśliwał własną twórczość.

↦

MATERIAŁY PRASOWE

John Alec Baker, ok. 1965 r.

JOHN ALEC BAKER:

Rozgrzany, stojąc pewnie w długiej trawie pachnącej słońcem, wtopiłem się w skórę, kości i krew sokoła. Ziemia pod moimi stopami stała się gałęzią, ciepłe słońce kładło się na powiekach.

↦ Na obserwacje ptaków namówił Bakera kolega z pracy. Wybrał sokoła, najszybszy gatunek o przysłowiowej ostrości wzroku, bo ten pozwalał mu wzlecieć ponad własne ograniczenia – zesztywniałe po zapaleniu stawów kończyny i słabe oczy. Pisarz nie był zawodowym ornitologiem, w terenie poruszał się na rowerze, ubrany jak do pubu: szare flanelowe spodnie, rozpinana koszula, pulower od matki, tweedowa marynarka, kaszkiet i płaszcz z gabardyny (ówczesny odpowiednik goreteksu).

Ale to wszystko sprawy, o których czytelniczka i czytelnik „Sokoła" wiedzieć nie może. Narrator jest tu bowiem anonimowy, a jedyny opis, który go dotyczy, to ten poświęcony stopniowemu przeobrażeniu z patrzącego w obiekt jego zainteresowania. To nie jest książka o obserwacjach, ale o stawaniu się sokołem, przekonuje Herzog. Pisarz Robert Macfarlane (którego posłowie wieńczy również polskie wydanie) dodaje, że to raczej naiwne, desperackie, nieudane próby. Nie ma wątpliwości, że coraz głębsze wchodzenie w świat sokolich zmysłów jest wyłącznie literacką kreacją. Zawiedzie się ten, kto szuka u Bakera rzetelnej relacji z kolejnych dni spędzonych w towarzystwie ptaków. Z brakiem wiarygodności wiążą się zarzuty stawiane „Sokołowi" przez – jeszcze raz zacytujmy Herzoga – wyznawców prawdy księgowych.

Książce wytyka się niespotykaną liczbę trucheł, sokolich ofiar, na które trafia podczas przemierzania wybrzeża Essex (619 – jak wyliczył ktoś skrupulatny). Trzeba też wiedzieć, że Chelmer Valley, gdzie Baker odnajdywał sokoły, wcale w nie w latach 60. nie obfitowała. Być może więc ptaki, które weszły na karty jego książki, były tak naprawdę oswojonymi towarzyszami lokalnych sokolników. Podejrzane wydają się również ponadnaturalne możliwości percepcyjne Bakera, jego dokładne przeliczanie ptasich stad i bezpośredni kontakt wzrokowy, który nawiązuje z drapieżnikami.

„Rozgrzany, stojąc pewnie w długiej trawie pachnącej słońcem, wtopiłem się w skórę, kości i krew sokoła. Ziemia pod moimi stopami stała się gałęzią, ciepłe słońce kładło się na powiekach" – pisze. Innym razem zastanawia się, jak widzi go ptak. „Myślę, że zaczął mnie postrzegać jak połączenie sokoła z człowiekiem – spekuluje. – Istotę zasługującą na to, by co pewien czas do niej podlecieć i obejrzeć, lecz nigdy nie zasługującą na pełne zaufanie. Może widział we mnie kalekiego sokoła, niepotrafiącego latać ani czysto zabijać, niepewnego i humorzastego".

Być może właśnie z myślą o wątpiących lub tych, którzy w czasie lektury rozminęli się z jego intencją, Baker rozwiewa ułudę w ostatnich, jakże malarskich akapitach dziennika. Kiedy większość zimujących w Essex sokołów poczuła już wiosnę i ruszyła za Kanał La Manche, jeden maruder zasiedział się na falochronie nieopodal rzecznego estuarium. Narrator pełznie do niego na czworaka, próbuje pozostać niewidzialnym. Choć nos ma w trawie, płoszy kolejne ptaki, więc co rusz przystaje, by nie niepokoić tego najważniejszego. Powolny, wiosenny zmierzch oblepia krajobraz, „mgła porusza się na groblach i oblepia futrem skraje pól". Wreszcie człowiek podejmuje ryzyko, wstaje i ku swojemu zdumieniu widzi znieruchomiałego sokoła pięć metrów od siebie. Ptak pręży mięśnie nóg, zaciska pazury, skrzydła ma luźne, w gotowości, ale nie odlatuje. „Wielkie oczy patrzą w moje. Kiedy przesuwam ręką przed jego twarzą, oczy patrzą nadal, jakby widziały coś poza mną, coś, od czego nie mogą się oderwać. Resztki światła łuszczą się i opadają. Dal przesuwa się wzdłuż niewyraźnych wiązów w głąb lądu, podchodzi bliżej i gęstnieje za ciemną sylwetką sokoła. Wiem już, że nie odleci. Wdrapuję się na falochron i przed nim staję. Sokół śpi".

Słonawa krew

Dlaczego ktoś miałby chcieć przeistoczyć się w ptaka? Trudno o gromadę zwierząt, w której kolejność dziobania zaznaczona byłaby równie dobitnie. Dopada mnie ta wątpliwość na bałtyckiej plaży, dzień po rejsie, podczas którego starałem się łowić anatomię alki z szarych zimowych fal. Teraz stoję na wyblakłym od śniegu piachu, opatulony paroma warstwami wełny. Spod kaptura wystają tylko nos i lornetka. Pomorski rezerwat „Mewia łacha" to o tej porze roku poletko wszelkiej maści kaczek: oharów, świstunów, cyranek, szlacharów, krakw i ogorzałek, których różnice w upierzeniu są tak subtelne, że nie widzę sensu w odhaczaniu każdego z gatunków na liście moich obserwacji.

O wiele bardziej zajmującą scenę wychwytuję na pasie piaszczystej mierzei wieńczącej lagunę. Sześć puchatych, ciemnobrązowych kul na żółtych nogach kołysze się na jednostajnym zachodnim wietrze. Bieliki wyglądają jak komicznie nieporadne kuraki, ale nawet z tej odległości widać, że ziarno, które skubią, to tak naprawdę ociekające krwią mięso innego ptaka. Ścięgna ciągną się jak makaron, czerwień wybija z monotonii zimowego krajobrazu. Obok przysiadły kruki, a jedzenia jest tyle, że nikt ich nie odgania.

Gdyby nie fakt, że sokoły raczej gardzą padliną, mogłaby to być jeszcze jedna z obserwacji Bakera. Nie da się bowiem ukryć, że skrzydlate uniwersum to w oczach jego narratora kraina ro-

dem z horroru. Ociekająca krwią, wypełniona głosem trzaskających kości. Greenwich, symboliczne geograficzne zero sąsiadujące z Essex, to doprawdy krwawy południk. Stanem naturalnym dla przemierzanych przez Bakera krajobrazów jest lęk. Lęk przed śmiercią, która spada jak grom z jasnego nieba i gasi światło. Lęk, którego odbicie widać w przestrzeni jeszcze długo po zniknięciu nasyconego drapieżnika. Lęk, który nam, ludziom, jest zupełnie obcy, zapomniany, bo przynależny czasom szczytowych drapieżników, których już na Ziemi nie ma: „Człowiek byłby może znośniejszy, mniej kłótliwy i zadufany w sobie, gdyby bardziej się bał. Nie mam na myśli lęku przed nienamacalnym, duszącej grozy introwertyka, ale lęk fizyczny, zimny pot lęku o własne życie, lęk przed niewidoczną, groźną bestią tuż obok, najeżoną, wyposażoną w upiorne kły, głodną naszej gorącej słonawej krwi".

Empatia jednostki

Ale fascynacja ptakami nie zawsze musi przecież przeradzać się w obsesję. Nie każdy, kogo ich świat pociąga, pójdzie tak daleko jak literacki narrator „Sokoła". Od każdej z osób, które w grudniowy poranek stoją ramię w ramię na bałtyckiej plaży, szczękając na mrozie zębami, z ramionami obwieszonymi sprzętem fotograficznym i optycznym wartym tysiące złotych, dostałbym zapewne inną odpowiedź na prozaiczne pytanie: dlaczego ptaki?

Wiem, że są wśród nich tzw. twitcherzy, a więc zaliczacze – kolekcjonerzy, którym kolorowe istoty robią za Pokemony lub wklejane do klasera znaczki. Im więcej, tym lepiej. Są domorośli fotografowie i fotografki, którzy dla udanego kadru będą bez skrupułów płoszyć. Ale też autentycznie przejęci otaczającym światem wrażliwcy, dla których ptaki są bramą do poznania Innego. Dziennikarz Maciej Zdziarski próbuje na pytanie „dlaczego" udzielić o wiele bardziej rozbudowanej odpowiedzi, relacjonując swoje pierwsze świadome zetknięcie z ptakami, wyrosłe z doświadczenia pandemii i lockdownu. Jest ono jednak tylko tłem dla szeregu opublikowanych w książce „Na skrzydłach. O ludziach, ptakach i radości życia" wywiadów z tymi, dla których *birdwatching* stał się motorem codzienności.

Zdziarski rozmawia m.in. z psychiatrą, który stara się zaszczepić na polskim gruncie nurt ornitologii terapeutycznej. Przepytuje kapitana żeglugi wielkiej i jego osiadłą nad dolnośląską Odrą żonę, którym uprawiana na dystans wspólna pasja wypełnia długie miesiące rozłąki. Albo przewodnika turystycznego, który prowadząc swoich klientów na gody pozornie pospolitych rybitw, chce zarażać własną fascynacją. W zebranych w zbiorze relacjach jest, oczywiście, miejsce na eskapizm czy zachwyt czysto artystyczny. Ptaki bywają też prozaicznym wypełniaczem czasu dla kogoś, kto nagle dostaje go w nadmiarze.

Najbardziej jaskrawym przypadkiem opisanym przez Zdziarskiego jest członek zarządu miejskiej spółki autobusowej w Warszawie, którego ornitologiczna pasja bezpośrednio wpływa na funkcjonowanie miasta. Kiedy żyjące w Kanale Piaseczyńskim nurogęsi przeprowadzają wyklute wiosną młode do Wisły, służby miejskie wstrzymują ruch na jednej z bardziej ruchliwych arterii stolicy. Początkowo spontaniczna akcja została sformalizowana i włączona w tryby administracji. Od lat nikogo nie dziwi już policjant z lizakiem strzegący pociesznych nurogęsiątek, które powoli kroczą przez Wisłostradę. Empatia jednego urzędnika udzieliła się całemu miastu.

Zdziarski cytuje jednostkowe świadectwa i próbuje utkać z nich panoramę ptasiarskiej pasji. Inny punkt widzenia prezentuje w zaskakującym eseju otwierającym polskie wydanie „Sokoła" filozofka Patrycja Sasnal, prywatnie jeszcze jedna – jak sama przyznaje – wyznawczyni prozy Bakera. Dla Sasnal ważniejsza od obiektu obserwacji jest sama czynność patrzenia. Patrzący znaczy wiedzący, rozglądanie się jako samorozwój oraz troska o własne zdolności kognitywne i analityczne. Ptaki to pierwsze, co zauważamy, gdy zaczynamy patrzeć poza czubek własnego nosa. Poza tym są wszędzie. Zaludniają – zaptaszają – pola, lasy, morza, miasta i wsie. Żyją po sąsiedzku, a za sprawą swoich corocznych, systematycznych migracji oferują zmienność i znaczą upływający czas.

Klatka horyzontów

W swoim tekście Sasnal przywołuje wielki eksperyment socjotechniczny przeprowadzony przed II wojną światową w Wielkiej Brytanii. Jego nadrzędnym celem było wykształcenie nowoczesnego, światłego obywatela. Do tego celu powołano kilka instytucji z Brytyjskim Funduszem Ornitologicznym na czele, który miał wzbudzić w wyspiarzach nową pasję. „Poprzez rozpoznawanie ptaków, znajomość krajobrazu, utrzymywanie szczegółowych dzienniczków i tworzenie wspólnoty nowy obserwator budował silną więź z krajem, opartą na nauce". Same suche naukowe dane – prawda księgowych – były tylko ubocznym skutkiem zamysłu. To, że przy okazji Wielka Brytania stała się najlepiej zbadanym pod kątem ornitologicznym miejscem na planecie, nie było w zamierzeniu tak istotne jak narodziny krytycznie myślącego, aktywnego, demokratycznego społeczeństwa.

Sasnal snuje ten politologiczny wywód w poetyckiej książce, bo nie da się nie zauważyć, że Baker – późniejszy autor arcydzieła – to produkt wspomnianych procesów. Uważny, czuły, drobiazgowy obserwator dzień w dzień przemierzający swój kraj. Jeśli wierzyć wspomnianemu już Łubieńskiemu, dziś do ptasiarskiego hobby przyznaje się 6 milionów Brytyjczyków. Jeśli nie są to przesadzone szacunki, to co jedenasty mieszkaniec Wysp odróżni w locie alkę od nurzyka, wróbla od mazurka. Ci sami ludzie są więc przywiązani nie tylko do kolorowej płachty w granatowo-czerwone barwy i języka, w którym pisał ich znany przodek nazwiskiem Szekspir, ale przede wszystkim do przestrzeni, w której przyszło im – w sąsiedztwie między innymi sokołów – funkcjonować. Oto patriotyzm jutra.

Ale może to wszystko niepotrzebna paplanina? Szukanie uzasadnienia dla czegoś, co w rzeczywistości jest instynktowne i uniwersalne? Tak jak uniwersalne, niezależne od numeru południka jest sąsiedztwo ptaków. Czy najlepszą odpowiedzią na pytanie „dlaczego ptaki" nie będzie dwieście kilkadziesiąt stron zapisanej prozą poezji Bakera?

„Uwięziony w klatce horyzontów, zazdrościłem sokołowi bezkresu nieba. Sokoły żyją na krzywiźnie powietrza. Ich kuliste oczy nigdy nie widziały szarej płaskości, będącej udziałem ludzkiego wzroku". My, płaskoziemcy, i one, które znają prawdziwą naturę świata. Tylko tyle i aż tyle. © ADAM ROBIŃSKI

J.A. Baker **SOKÓŁ. OPOWIEŚĆ O MIŁOŚCI DO GINĄCEJ PRZYRODY** *przeł. Paweł Lipszyc, Eperons-Ostrogi 2022; Maciej Zdziarski* **NA SKRZYDŁACH. O LUDZIACH, PTAKACH I RADOŚCI ŻYCIA**, *Znak Horyzont 2022*

STANISŁAW

Mancewicz: *Kapusta*

Warto właśnie teraz przemyśleć pewne kwestie, a należy to zrobić prędko, zanim sushi zamieni się w bigos. Oczywiście tylko z polskiej perspektywy będzie to transformacja oczywista i nieunikniona.

Bigos, popatrzmy, poza tym, że jest realnym skarbem narodu, jest celem, do którego wszystko zmierza. Jest takoż wyśnioną parabolą naszych rozumów i po wielokroć przywoływaliśmy tę potrawę, traktowaną przez nas w naszych znakomitych analizach czasem jako wypełniacz, ale też jako bezceremonialnie używane zastępstwo nauk wszelakich, nie tylko wyzwolonych. Jako synonim myśli tutejszej, nawet tej skrzydlatej. Bigos, ktoś tu teraz słusznie powie, nie jest rdzennie polskim wynalazkiem. Nie jest, to prawda, ale jakaż inna potrawa oddałaby lepiej i czytelniej zmieszanie wszystkiego ze wszystkim, jeśli idzie o pomyślunek, kojarzenie i kompozycję?

To pytanie retoryczne. Bigos jest po prostu najwygodniejszym, bo najczytelniejszym symbolem braku jakiejkolwiek dyscypliny, też umysłowej, znakiem anarchii, dowolności i pełnego miszmaszu oraz fiksum-dyrdum. Jest produktem – o czym zapominać nie wolno – z kapusty, a kapusta kształtem przypomina głowę. Słyszymy teraz liczne głosy oburzenia, że znów, bez upoważnienia, w imieniu ogółu brniemy w samobiczowanie, że padamy na kolana, że z tych kolan nie wstajemy, że to narracja wstydu albo coś w tym guście. Rzecz jasna żaden z tych zarzutów nas nie może dotyczyć. Oto od zawsze głosimy wszem i wobec, że jeśli idzie o myślenie, klęcznik jest najgorszym z możliwych mebli, że najlepiej myśli się pod pierzyną albo w wannie. Kto się upiera i powiada, że to nieprawda, nigdy nie leżał ani w wannie, ani w łóżku, słowem, nie ma na koncie koniecznych doświadczeń z kulturą, technologią i cywilizacją.

Bigos w głowie to prawie zawsze problem. Poważniej robi się, gdy bigos w głowie ulega awarii. Oto gdy innym nacjom nie rozkładają się panele słoneczne na statkach orbitujących, padają wielkie serwery, rakiety im nie lecą w wymarzonych kierunkach, nowe auta rdzewieją, wszechświaty wypełniają się nowymi treściami, to w tym czasie tu, w głowach, psuje się bigos. Awaria bigosu w głowie jest wadą jakby archaiczną, wydaje się fabryczną, niestety niepodlegającą reklamacji. Jest i kropka. Ktoś – słyszymy – szeptem prosi, byśmy przestali, byśmy wreszcie zaczęli mówić wprost, bez udziwnień. Jak jest. Nie ma problemu.

Kochamy każdą tradycję, byle własną, może być zmyślona przez byle kogo. Zamach na tradycje uruchamia w Polsce niesamowitą, wulkaniczną energię. Jednostek i mas, energię organizacji, partii i kościołów. Tą energią można by bez problemu zasilić najbardziej zaawansowane projekty, innowacyjne rewolucje, cokolwiek, co mogłoby służyć rozwojowi. Jest jednak inaczej, owa energia grzeje bigos, albo go schładza, słowem: bezustannie służy owemu bożkowi dla jego dobrostanu. Gdy bigos ma być zimny – energia go chłodzi, gdy ma być wrzący – grzeje. Onże, jak lawa, bądź zastyga, bądź paruje. Pachnie.

Mieliśmy w ciągu ostatnich dni kilka wybuchów histerii związanej z myśleniem na wskroś tradycyjnym. Zasililiśmy owe erupcje niesłychaną dawką drogiej energii, większość z tych wydarzeń to sprawy oczekiwane, drzemiące, gdzieś pozornie jakby stygnące, z gigantycznym potencjałem awaryjności myślenia i totalnego zbigosowania. Wydarzenia w powszechnej ocenie niebezpieczne. Rzec jednak musimy, że naszą uwagę przykuła inna szarża, inny bój o wszystko, inna potrzeba uderzenia lancą w pędzący tank, na marginesach dzisiejszych odlotów: politycy polskiej prawicy sprzeciwili się zdecydowanie, na forach międzynarodowych, ze łzami w oczach, z pieśnią na ustach, propozycji ograniczenia stosowania pestycydów w hodowli roślin. Tak. Z dbałości o tradycję. Niech żyją i trwają, też w kapuście, wszelkie bakteriocydy, fungicydy i herbicydy, defloranty i defolianty, zoocydy, atraktanty i repelenty oraz insektycydy owe fosforanoorganiczne i koniecznie te polichlorowe. Nie będzie nam lewak mówił, czym Polak ma pryskać. Do boju! ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

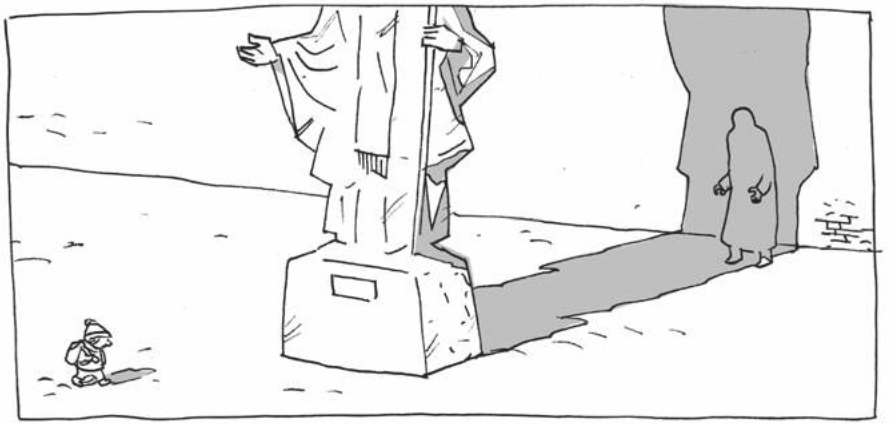

REKLAMA

DZIWNE, ZABAWNE, PRZERAŻAJĄCE...

TEORIE SPISKOWE

Czym są? Skąd się biorą? Jak im nie ulec?

Teorie spiskowe rzadko biorą się znikąd.

Nikt z nas nie jest na nie odporny.

Czasami są prawdziwe...

WYDAWNICTWO ALBATROS

„Totalnie genialna!
JEREMY CLARKSON

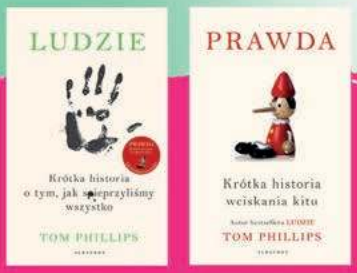

PRZECZYTAJ TAKŻE!

Zamów „Tygodnik" w prenumeracie

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wiosna na okrągło!

REKLAMA

Kup na przekroj.pl

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRóJ